

Maria Pruszkowska

Piękne dni Aranjuezu

WSTĘP

Kiedyś, gdy byłam nie tyle piękna, ile za to młoda i lekkomyślna, dawno, dawno temu, za owych dla dzisiejszych malkontentów mlekiem i miodem płynących lat międzywojennych palnęłam krótką, ale niefortunną w skutkach mówkę, która stała się przyczyną całej afery.

Właśnie świeciło wiosenne słońce, gdy w magistracie warszawskim ogłoszono wieczorówki. Rozpaczaliśmy wszyscy i szlag nas trafiał ze złości na myśl o dwóch miesiącach zapaskudzonych co dzień trzema godzinami dodatkowej pracy. Perorując pośród gromady zirytowanych koleżanek i kolegów, zawołałam z wypiekami na twarzy:

— Świat został idiotycznie stworzony! Ktoś wreszcie powinien się tym zająć i tak wszystko zorganizować, żeby każdy człowiek te najbardziej potrzebne mu do istnienia rzeczy, jak dach nad głową, skromne jedzenie, skromną odzież otrzymywał bez pracy. Bez harowania na to przez dziesięć godzin na dobę. Słuchajcie! — wrzasnęłam głośniejszym głosem, porwana tak nadzwyczajną ideą. — To byłoby dopiero życie!

Połowa słuchających oblizwała się lubieżnie na widok roztaczanych przeze mnie rewelacyjnych perspektyw, a ja kończyłam:

— To byłaby dopiero epoka „pięknych dni Aranjuezu”, czyli „Aranżuezu”, mówiąc z francuska, „Aranchuezu” — z hiszpańska — popisywałam się swoją erudycją. — Patrz „Don Karlos” Schillera — dodałam już ciszej na użytek bliżej stojących koleżanek.

Z taką to właśnie wizją idealnego świata wystąpiłam publicznie i nawet mi do głowy nie przyszło, że zaczajony między segregatorami diabeł uśmiechnął się złośliwie i zanotował smołą na moim koncie: Zrealizować jej te marzenia. Niech bez pracy ma dach nad głową, niech ma odzież i wyżywienie, niech zrealizują się jej „piękne dni Aranjuezu”. Hi hi... — zaśmiał się skrzypiąco, a ja pomyślałam, że odgłos ten wydają zawsze same się otwierające drzwi krzywo ustawionej szafy.

I rzeczywiście tak zostałam urządzona, że leżąc do góry brzuchem i nie stuknąwszy palcem o palec, bez pracy miałam i dach, i odzież, i utrzymanie przez długie, długie miesiące i wtedy dopiero przekonałam się, jak diabła warte są takie mądre marzenia.

I. KU...



1. ASMODEUSZ ZACZYNA DZIAŁAĆ

Do miejsca, w którym miały się zrealizować rojenia o życiu bez pracy, zostałam doprowadzona przez mojego prywatnego diabła Asmodeusza drogą dość męczącą. Każdy człowiek jest dla siebie pępkiem świata, ponieważ na świat patrzy przez własne „ja”, które siedzi mu na karku aż do samej śmierci. Nie pozbawione więc logiki jest moje twierdzenie, że to Asmodeusz rozpętał powstanie warszawskie. Wszystkie bowiem dotychczasowe jego posunięcia i pułapki, zastawione w celu wywabienia mnie w kierunku mojego przeznaczenia, omijałam szczęśliwie i do tego momentu nic nie potrafiło ruszyć mnie z pokoiku na parterze, którego podczas okupacji trzymałam się rękami i nogami. Uważałam go bowiem nie wiadomo dlaczego za najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

Gdy więc zaczęła się ta jedna z najbardziej chyba okrutnych kart naszej historii, a z wielu stron jednocześnie rozległy się odgłosy strzelaniny i detonacje świadczące o tym, że rozpoczęła się walka na śmierć i życie, wyskoczyłam jak zając z ukochanego pokoiku i uciekłam do piwnicy. Ale niedługo mogłam we względnym spokoju martwić się tam i denerwować. Niezbadane drogi przeznaczenia w grupie przygodnych osób szukających tu schronienia przed ostrzeliwaniem wpędziły z ulicy Irenę. Ona i jej indywidualność zainteresowały mnie najbardziej spośród bezbarwnej gromadki przerażonych ludzi. Szczupła, drobna, nerwowa, ciągle w ruchu, miotała się bez przerwy po mieszkaniach i piwnicach. Na bladym wysokim czole miała jakby wykuty w marmurze bilet wizytowy: „Pracownik społeczny”.

— Nie! Ja nie jestem pracownikiem społecznym — tłumaczyła mi cierpliwie któregoś późnego wieczoru, gdy układałyśmy się do spania na materacach przywleczonych do piwnicy. — My, wychowankowie Studium Pracy Społeczno-Oświatowej przy Wolnej Wszechnicy jesteśmy pracownikami służby społecznej. Pani rozumie tę różnicę? Pracownik społeczny a pracownik służby społecznej?

— Uhum — mruknęłam ospale, ponieważ jedynym moim pragnieniem było zasnąć jak najprędzej i wyłączyć się choć na parę godzin z tego, co się działo dookoła, nie słyszeć wybuchów pocisków i bomb, nie widzieć pożarów, nie myśleć o walących się domach i ginących ludziach.

A Irena niezmordowanie perorowała o Helenie Radlińskiej, tak zwanej „Babci”, o doktorze Goldszmicie, czyli Januszu Korczaku, o szczytnym posłannictwie pracowników służby społecznej...

Zasnęłam podczas tego słodko, jak niewinna dziecina zasłuchana w szmer opowiadanych nad kołyską bajek o dobrych wrózkach, ponieważ istota tego całego wykładu tak właśnie się miała do otaczającej nas rzeczywistości.

Dzięki Irenie, jej wspaniałemu przygotowaniu do służby społecznej i jak przypuszczam, jeszcze bardziej dzięki nadczytności jej gruczołów, jakoś dość szybko przeszły mi te pięć dni siedzenia w piwnicy. Wzięła mnie bowiem do ostrego galopu i nie pozostawiła czasu ani na strach, ani na tępe, przerażone czekanie na własną śmierć. Jej ruchliwa, silna indywidualność zapanowała nad moją ślamazarnością. Toteż i ja miotałam się dla dobra zgromadzonych w naszej kamienicy ludzi w sposób nie tak fachowy jak Irena, ale w każdym razie gorliwy. Poza tym tak się przejęłam jej wykładami, że przemogłam w sobie wrodzoną zachłanność ludzką i obdarowałam ciepłą bielizną, kocami, swetrami naszych przygodnych gości. Zachwyt Ireny nad moją szlachetnością tak mnie wziął pod włos, że rozdobrzyłam się ponad miarę i jakiejś starszej pani dałam nawet jesionkę.

Żałowałam trochę tego, ale tylko przez jedną noc, ponieważ na drugi dzień rano Niemcy otoczyli nasz dom i rykami „Raus!” wypędzili z piwnic do zasłaniania czołgów.

To co się potem zaczęło wyprawiać, wyгнаło doszczętnie z mojej głowy wszelkie przyziemne myśli.

— Nie czas żałować, róż i jesionek, gdy płoną lasy — mamrotałam bezmyślnie, całą uwagę skupiwszy na usiłowaniu wyratowania mojej tak bardzo mi przecież drogiej ziemskiej powłoki z tego kataklizmu, który zorganizował Asmodeusz, ażeby wykurzyć mnie z Warszawy i pognać w kierunku wymarzonego bytowania bez pracy.

Gdy wieczorem moje moralnie i nerwowo zmaltretowane resztki znalazły się wśród tłumu ludzi w Saskim Ogrodzie, ucieszyłam się niesłychanie na widok Ireny. Poczulałam, że to był rzeczywiście ktoś bliski i drogi, chociaż znany dopiero od paru dni.

Siedziała na trawie niańcząc w ramionach rozwrzeszczane dziecko, usiłując je uspokoić. Dziecko wyło i darło się jednak, jak obdzierane ze skóry. Okazuje się, że ryczało zupełnie celowo, bo nagle z przelewających się w różne strony gromad ludzkich wypadła jakaś kobieta, wyrwała Irenie dzieciaka, zamiast podziękować, zwymyślała nas obie paroma soczystymi słowami i popędziła przed siebie.

Irena spojrzała na mnie promiennie i uśmiechnęła się serdecznie. Ten uśmiech jakoś zdecydował, że postanowiłam trzymać się jej poły i zawierzyć mój tak niesłychanie cenny los jej opiekuńczym skrzydłom. Toteż trzymałam się jej boku, jak pijany płotu, ażeby mi nie zginęła w tłumie, tak jak to się już raz przytrafiło podczas zasłaniania czołgów.

W dwa dni potem wpędzono nas po różnych przejściach, o których lepiej nie wspominać, do kościoła Świętego Karola Boromeusza na ulicy Chłodnej.

Przycupnęliśmy na drewnianych schodkach bocznego ołtarza, aby trochę odsapnąć i zebrać myśli. Roilałam nawet o przespaniu się — już od dawna funkcja ta należała do marzeń nieziszczalnych — ale w rachunku swoim nie wzięłam pod uwagę mej towarzyszki niedoli. Irena dość szybko rozejrzała się w sytuacji i bystrymi oczami zlustrowawszy najbliższe otoczenie wypatrzyła w nim młodziutką, może dziewiętnastoletnią, zmizerowaną do ostateczności kobietkę, tulącą rozpaczliwie małe dziecko. Irena przesunęła się do niej. Ja też przepchałam się w pobliże i uzyskałam idealne oparcie we wgłębieniu między dwoma filarami, już zabierałam się do spania, gdy resztki mojej trzeźwości zostały zaalarmowane rozkazem Ireny, że mam się wdrapać na ołtarz i podać jej stamtąd świecę. Ponieważ od tych paru dni mojej znajomości z Ireną nauczyłam się spełniać jej rozkazy bez szemrania, z głuchym stęknieniem uczyniłam, co mi zleciła, i wyjąwszy wielką grubą kościelną świecę ze srebrnego lichtarza podałam ją nad głowami ludzi. Nagły wrzask jakiejś paniusi sprawił, że o mało nie gruchnęłam na głowy siedzących pod ołtarzem kobiet.

— Świętokradztwo! Świętokradztwo! — wołała i pokazywała na mnie brudnym paluchem.

— Ona wzięła świecę z ołtarza! — ryczała coraz głośniejsze.

Poczulałam się straszliwie głupio, tym bardziej że wszystkie oczy naokoło wpatrzyły się we mnie. Całe szczęście, że zainteresowanie wrzeszczącej baby przeniosło się z mojej osoby na świecę i na Irenę, bo już zaczynałam się pocić z przejęcia.

Irena nie robiła sobie nic z ujadającej baby. Usadowiła się na podłodze, zapaliła świecę i w blaszanym garnuszku zaczęła podgrzewać nad słabym płomieniem resztkę wody z miodem dla dziecka. Obmierzała, do makbetowskiej czarownicy podobna dewotka przepchnęła się do kącika, w którym siedzieliśmy, i zaczęła zsyłać na nasze głowy wszystkie przekleństwa nie tylko doczesne, ale i pozagrobowe. Żadna z nas nie odpowiadała ani jednym słówkiem na ten potok wymowy, pomimo że kipiałyśmy ze złości. Dewotka znudziła się po jakimś czasie i odczepiła, gdy dziecko piło wreszcie podgrzaną wodę, a Irena zgasła świecę.

Już myślałam, że będzie trochę spokoju, gdy nagle wstrętna baba znów rozwrzeszczała się o parę kroków od nas.

— Świętokradztwo! Świętokradztwo! — zaczęła na nowo wykrzykiwać po swojemu.

Wypatrzyła bowiem, że jakaś drobna zastraszona staruszka przytulała czule do siebie małego pieska.

— Świętokradztwo! Psów do kościoła wprowadzać nie wolno!... — ryczała.

— Jak tej babie zamknąć gębę — wymamrotałam do siebie. Spojrzałam na Irenę i aż się zdziwiłam. Wspaniałe jej oczy gorzały. Twarz była bardzo blada. Podniosła się z podłogi. W zaciśniętej ręce trzymała grubą kościelną świecę.

— Jeśli tak traktujesz Dom Boży, masz trzecie świętokradztwo — powiedziała przez zaciśnięte zęby i nagle gruchnęła babę w głowę tak mocno, że świeca przełamała się na połowę.

Ryk śmiechu, który przetoczył się przez kościół, sprawił, że ludzie odprężyli się choć na chwilę. Dewotka zaś zniknęła z naszego najbliższego otoczenia i pewno poszła gdzie indziej dręczyć już i tak do ostateczności udręczonych ludzi.

W Pruszkowie rozmyślałam, jak by tu urwać się z obozu i rzuciłam się na prawo i lewo, wlokąc za sobą Irenę. Przez krótką chwilę zajaśniało mi nawet światełko nadziei. Wędrując po wszystkich salach wielkich hal w poszukiwaniu rodziny, znajomych i jakichś możliwości ucieczki, natknęłyśmy się na sanitariuszkę Czerwonego Krzyża. Wybiegła właśnie z pokoju lekarskiego, a wymijając nas zatrzymała się i spojrzawszy na Irenę zapytała:

— Pani Nowakowska?

— Tak — odpowiedziała Irena, patrząc na młodą pannę badawczo i usiłując sobie przypomnieć, czy ją zna.

— O nie. Pani mnie nie zna — odpowiedziała domyślnie panna. — Ja znam dobrze pani męża, który teraz przecież mieszka tu w Pruszkowie, a panią znam z widzenia. Niech pani za żadną cenę — trzepała prędko — nie da się wywieźć dziś z obozu. Ja popołudnie mam wolne. Dam znać pani mężowi i obmyślimy jakiś sposób wydostania pani z tego okropnego miejsca. Już miałam pociągnąć Irenę za rękaw, ażeby zwrócić na siebie jej uwagę i wstawić także swoją osobę w ten plan uwalniania, gdy Irena nagle wyprostowała swą drobną postać, tak że nie wiem jakim sposobem, ale z góry spojrzała na roślą dziewczynę i z lodowatą uprzejmością odpowiedziała:

— Bardzo dziękuję, za pani uprzejmość, ale od mego męża nie przyjmę żadnej pomocy. Światełko nadziei na pozostanie w kraju zostało zdmuchnięte przez dumę napompowaną do serca Ireny na pewno przez Asmodeusza. Kiwnąwszy głową sanitariuszce odwróciła się i energicznym krokiem ruszyła w kierunku drugiego końca ogromnej hali.

W tym samym momencie kordon żandarmerii niemieckiej wbił się klinem w tłum i zaczął brutalnie wygarniać ludzi na perony do podstawionego pociągu. Irena znalazła się w samym środku zamieszania.

— Oooo... — jęknęła dziewczyna stojąca koło mnie.

Zostawisz przyjaciółkę w nieszczęściu? — usłyszałam szept albo sumienia, albo Asmodeusza.

— Ireno! Ireno — zaskomlałam więc najpierw przerażona, potem niezdecydowana, aż wreszcie coś pchnęło mnie naprzód i przesunąwszy się między łokciami dwóch żandarmów dostałam się w otoczony kordonem kocioł. Z oczami utkwionymi w czubek głowy Ireny, który to ginął mi w tłumie i zamieszaniu, to znów się pojawiał, przepychałam się między zrozpaczonymi i przerażonymi ludźmi.

Dotarłam do mej drogiej przyjaciółki w momencie, gdy wpychano ją do towarowego wagonu. Pociągiem, do którego wskoczyłam za Ireną, przebyłam jedną trzecią drogi ku mojemu przeznaczeniu, dowiózł on nas bowiem do Głogowa na Śląsku, zwanego wtedy Glogau. Wraz z około czterema tysiącami maltretowanych ludzi wiezionych tym transportem zostałam zakwalifikowana jako świeży zastrzyk siły roboczej dla przegrywającej już na wszystkich frontach Rzeszy Niemieckiej.

Zakwaterowano nas na luksusowym boisku nad brzegiem Odry. Czego jak czego, ale świeżego powietrza i deszczu mżącego mieliśmy ponad miarę przez ten tydzień, podczas którego segregowano nas z wrodzoną Niemcom skrupulatnością. Ponieważ chodzić po boisku dla rozgrzewki można było tylko przez pierwszą dobę, drugiego dnia było mi już wszystko

jedno i ułożyłam się do drzemki na wilgotnej trawie. Obudziłam się z przeraźliwie rozbolełym krzyżem i z dziecinnym szowinizmem wściekałam się na Irenę, że moją dolegliwość nazywa heksenszusem. Zwymyślałam ją nawet, pomimo że niańczyła mnie, jak mogła.

— Nie używaj, do cholery, przy mnie niemieckich słów, Ireno! — zawołałam, gdy przywlokła deskę, ażeby oddzielić mój obolały tył od wilgotnej ziemi.

— Ależ na to jesteś chora. I zdaje się, że nie ma polskiego odpowiednika na określenie tego bólu — odpowiedziała potulnie.

— Więc stwórz go! — Czy nie masz ani odrobiny wyobraźni, ani fantazji? Możesz mówić chociażby, że boli mnie kuper. Wolę takie sformułowanie!

Przez dwa dni leżałam zwalona z nóg przez ten okropny heksenszus... Tfu! Przez ten obolały kuper, aż wreszcie kuper w jakiś dziwny sposób zaaklimatyzował się i poczułam się znów zdrowa na ciele i umyśle.

Ten powrót do zdrowia, zwłaszcza na umyśle, bardzo mi się przydał, ponieważ pomógł mi rozegrać honorowo niezwykle i trudną sprawę.

Ktoregoś dnia, gdy siedziałyśmy z Ireną skulone na naszej desce, z tłumu spacerujących po boisku ludzi wyłoniła się nagle Starsza Pani, ta której dałam ongiś jesionkę w ongiś naszej kamienicy. Miała ją wciąż na sobie. Przycupnęła koło nas na trawie i drżącym ze wzruszenia głosem powiedziała, że pierwszego dnia pobytu na boisku zauważyła mnie i przez te wszystkie dni robiła, co mogła, żebym jej nie spostrzegła i nie odebrała jesionki. Potem cichym i zawstydzonym szeptem przyznała się do walki duchowej, którą stoczyła. Wreszcie oświadczyła, że jednak przemogła się! Zwalczyła pokusę! I właśnie przyszła oddać mi palto! Tu zdjęła je i położyła przede mną na trawie. No a potem już prawie ze łzami w głosie zaczęła przeproszać, że robi to dopiero teraz.

Siedziałyśmy z Ireną oniemiałe.

Bydłęca brutalność wywołuje brutalność. Uczciwość wywołuje zdaje się uczciwość. Tym chyba tylko potrafię wytłumaczyć to, że odpowiedziałam Starszej Pani, iż w żadnym wypadku nie odbiorę jej płaszcza, ponieważ jest ona tylko w letniej sukience, tak jak była w naszej piwnicy, gdy zaczęło się powstanie pierwszego sierpnia. Na to Starsza Pani zaczęła jeszcze bardziej nalegać, żebym jesionkę wzięła, na co znów nadęta własną uczciwością oznajmiłam, że gdybym jej płaszcza nie dała, to byłby dla mnie i tak stracony wraz z szafą, w której wisiał. Na to z kolei ona powiedziała, że musi koniecznie oddać, a ja, że nie wezmę. I doszłyśmy obydwie do momentu, że żadna z nas nie chciała jesionki, która leżała między nami i zdaje się pysznie bawiła się tą sytuacją.

W końcu odwołałam się do autorytetu Ireny i powołałam ją do rozsądzenia naszego sporu o jesionkę. Naturalnie Irena przyznała płaszcza Starszej Pani, która rozplakała się ze wzruszenia. Ja też poczułam w gardle jakieś drapanie a swędzenie w oczach i byłam naprawdę bardzo rozczulona uczciwością Starszej Pani, a trochę także własną wspaniałomyślnością. Irena tylko pozostała swobodna i pogodna, bo właśnie to, co się wyprawiało na naszej desce, nareszcie było najzupełniej zgodne z jej wizją świata.

W ogóle tego dnia nad naszym obozowiskiem rozbiła się bania ze szlachetnością, bo gdy myłyśmy się z Ireną pod pompą, a właściwie rozmazywałyśmy zimną wodą brud na twarzach i rękach, jakaś zupełnie nieznajoma Dobra Pani, która koczowała niedaleko pompy na małej walizce, zawołała nas do siebie i dała w prezencie prześliczne, białe, długie, męskie kalessony, aby zastąpiły nie istniejące ręczniki. Gdy rozpruwałyśmy je pożyczonym od kogoś scyzorykiem na dwie równe części, ażeby jedna nogawka służyła Irenie, a druga mnie, wysłuchałyśmy bardzo wesoło opowiedzianej historii o tym, jak Dobra Pani rozsądnie zapakowała jedną walizkę z rzeczami swoimi, a potem drugą, też bez paniki, z rzeczami męża. Jak spokojnie wyszli z kamienicy. Jak w marszu na Dworzec Zachodni okazało się, że jej walizka jest bardzo ciężka, wobec czego zamieniła się na walizki z mężem i jak potem

mąż się gdzieś zgubił. I ona właśnie siedzi na walizce pełnej męskich koszul, kalesonów i skarpetek. Rozmyślanie, co też mąż teraz robi z jej koszulami i biustonoszami w jakimś innym obozie w Niemczech, bawiło ją niesłychanie i nas z wielkiej wdzięczności też. Z boiska w Głogowie rozwieziono nas grupkami do małych powiatowych miasteczek i Asmodeusz wysilił całą swoją pomysłowość, ażebym się nie nudziła. Dostarczył mi dużo ciekawych i wzbogacających duszę wrażeń. W tym wypadku sięgnął nawet do literatury i przerzucił mnie diabelską sztuczką z rzeczywistości podobno bardzo kulturalnego i cywilizowanego dwudziestego stulecia w stulecie poprzednie, 'to jest w okres handlu niewolnikami z „Chaty Wujka Toma”.

Przed Arbeitsamtem w jakiejś niemieckiej małej mieścinie ustawiono nas dookoła siatki drucianej, otaczającej placyk, jak towar wystawiony na sprzedaż, i targ się zaczął.

Przed bramę zajeżdżali furmankami bauerzy, wchodzili na placyk, bacznie lustrowali towar, wprawionymi i doświadczonymi oczami oceniali jego przydatność do swoich celów, następnie ładowali upatrzone sztuki na wózki i odjeżdżali w nieznaną.

O tym, że czułyśmy się z Ireną zdruzgotane tym widokiem, nie potrzebuję chyba wspominać. Toteż odpowiednio do sytuacji zagrałam przeznaczoną mi rolę nie tylko bezbłędnie, ale nawet, muszę przyznać, z wielkim artyzmem i gdy opasły bamber zdecydował się wybrać mnie, musiał wraz z urzędnikiem Arbeitsamtu siłą odrywać mnie od Ireny.

Z zapuchniętą od płaczu twarzą, ocierając nogawką kalesonów tryskające fontanną łzy, odjechałam w końcu bryczuszką w moje nieznaną, zostawiając Irenę w jej nieznanem.

Moje gościnne występy u bambra trwały tylko dwa tygodnie. Gdyby zostały przedłużone, wyładowałabym z pewnością na cichym wiejskim cmentarzyku, a bamber w szpitalu wariatów.

Nie znając niemieckiego, nie rozumiałam zupełnie, czego ode mnie chcą. Nie potrafiłam sobie poza tym w żaden sposób poradzić z wiejską robotą i pętałam się z wyhodowanym przez długie lata siedzenia w biurze zadkiem po zabudowaniach jak lunatyczka.

Gdy bamberka zasadziła mnie pod krową i rozpoczęła lekcję dojenia, ciągnęłam potulnie za wymiona, przejęta wewnętrzną obrzydliwością. Ciągnęłam i ciągnęłam bez żadnego rezultatu. Bamberka widząc bezowocność moich wysiłków tłumaczyła mi coś po niemiecku, a w końcu zaczęła krzyżeć. Z wielkiego strachu pociągnęłam jakoś mocniej i widocznie inaczej, bo rzeczywiście struga mleka nareszcie siknęła, ale nie wycelowała do wiaderka, tylko zalała mi twarz i oczy. Bamberka zaczęła krzyżeć jeszcze głośniejsze, więc nie tracąc czasu na wycieranie twarzy zaczęłam ciągnąć jeszcze mocniej i zalałam gospodyni całe nogi i dół sukni. W konsekwencji zleciałam ze stołka, bamberka uznała — ku mej wewnętrznej radości — że jestem za głupia na wykonywanie tak odpowiedzialnej czynności i sama zajęła zajmowane przeze mnie przed chwilą miejsce.

Gdy wetknięto mi w rękę kubeł z pomyjami i pokazano chlew, ucieszyłam się, że nareszcie potrafię wywiązać się ze zlecenia. Otworzyłam energicznie drzwi chlewa i zobaczyłam przed sobą długi na jakieś siedem metrów korytarz, prowadzący do pomieszczenia, skąd dolatywał chrząkanie. Byłam już chyba w połowie tego korytarza, gdy nagle w drugim jego końcu pokazała się wielka świnia, która wyraźnie rzuciła się w moim kierunku, szarżując według wszelkich przepisów sztuki wojennej. Oparłam się więc jedną ręką o ścianę i wyciągnęłam przed siebie nogę w nadziei, że świnia tej zapory nie sforsuje... Dalej to już nie wiem, co się stało. Wiem tylko, że leżałam w wielkiej kałuży pomyj, z obolałym obojczykiem, który niebezpiecznie zatrzęszczał pod kopytkiem świni. A potem bamber mnie podnosił, sycząc coś po niemiecku przez zaciśnięte zęby, bamberka zaś gonila po polu za wyrwijącą świnia. W końcu i my musieliśmy się dołączyć do tej zabawy i ze trzy kwadransy uprawialiśmy biegi na przełaj po łąkach i zagonach, ponieważ świnia była ciągle szybsza niż my.

Gdy cały dzień chodziłam wraz z bauerką za maszyną, wiążąc snopy czegoś kolącego i myślałam, że utopię się we własnym pocie i że od ciągłego nachylania krzyż mi z bólu pęknie, wynik tych wysiłków był taki, że wszystkie snopki po mojej stronie rozleciały się przy wkładaniu na wóz i trzeba je było wiązać od nowa.

Gdy bauer wetknął mi w rękę grabie i widły, każąc lecieć za maszyną w kierunku łąk nad rzeczką, a sam zaczął ścinać tam trawę opuściwszy taki dziwny sterczący przedtem do góry kawał maszyny, usiadłam nareszcie szczęśliwa, że przyszedł moment zasłużonego odpoczynku. Wiedziałam co prawda, że gdy on skończy z tą trawą, zaczną się jakieś kombinacje z grabiami, widłami i ze mną. Ale na razie słońeczko świeciło, wiaterek powiewał i krajobraz, pomimo że niemiecki, przedstawiał się ładnie. Po pewnym czasie bauer, jego koń i maszyna przenieśli się ze swoją robotą w bezpośrednią moją bliskość, ja więc powlokłam się nad brzeg rzeczki. Niebieska smuga niezapominajek, ukryta pod wysokim w tym miejscu brzegiem, wprawiła mnie w rozmarzenie. Nagle usłyszałam za sobą trzask i wycie bambra. Okazało się, że najechał na zostawione przeze mnie w trawie widły i złamał coś w maszynie. Długo, bardzo długo wykrzykiwał po niemiecku pod moim adresem, a ja cieszyłam się z tego, że nic nie rozumiem.

Od tej roboty na „niwie” coraz bardziej bolał mnie krzyż i ręce, i nogi i sypiać w nocy nie mogłam pomimo śmiertelnego zmęczenia. A bamber, gdy mówił do mnie lub o mnie, dostawał piany na ustach i aż chrypl od wrzasku. Toteż wszyscy odetchnęliśmy, gdy przyszedł urzędowy papier, który zawierał widocznie jakieś dyspozycje co do mnie, bo zostałam wsadzona na bryczuszkę, odwieziona na stację i wpakowana do pociągu.

Wiedziałam tylko, że mam jechać do mego macierzystego Arbeitsamtu w powiatowym miasteczku.

Co dalej? było znów dla mnie wielką niewiadomą.

2. PRZYWIĄZUJĘ SIĘ DO IRENY

W Arbeitsamcie poinformowano mnie łamaną polszczyzną, że zostałam przeniesiona do jakiegoś obozu w jakiejś innej wsi. Zaprowadzono mnie na stację, wpakowano znów do pociągu i gdy wysiadłam na stacji; której nazwę miałam skrupulatnie zapisaną na kartce, wpadłam od razu w szeroko na mój widok rozpostarte ramiona Ireny.

Z wrażenia, z rozczulenia i radości nie mogłam słowa przemówić, a gdy Irena opowiedziała mi, że to spotkanie jej zawdzięczam, oczy moje i nos musiały wejść w bezpośredni kontakt z uniwersalnym szczegółem męskiej garderoby, który ciągle spełniał nie tylko rolę ręcznika, ale i chustki do nosa.

Obóz okazał się rzeczywiście miejscem opatrnościowym, gdzie zupełnie spokojnie można się było zadekować w oczekiwaniu na zakończenie wojny. Położenie jego o kilka kilometrów od dawnej granicy polskiej dawało gwarancję, że gdy wojna się skończy, tam gdzieś na dalekich frontach, wystarczy tylko jeden dzień marszu, ażeby znów znaleźć się w Polsce. Sam obóz składał się ze stu pięćdziesięciu mężczyzn, a właściwie chłopców w wieku od siedemnastu do dwudziestu pięciu lat. Byli to Polacy, którzy od początku wojny pracowali u bauerów, a obecnie zostali przeniesieni do kopania wielkich rowów przeciwczołgowych i mniejszych rowków dla piechoty. Poza tym w skład obozu wchodziły jeszcze trzy Ukrainki, które pracowały jako praczki, i my, cztery Polki, do reperowania bielizny w szwalni obozowej. Niemiecka kadra składała się z kupy Lagerführerów, Gruppenführerów, Arbeitsführerów, Kuchenführerów, Magazinführerów, bo Niemcom „wodzostwo” uderzyło do głowy i tytuł „führer” doczepiano do najędźniejszej z najędźniejszych funkcijek, aby upoić się władzą. Komendantem tej zwariowanej całości był zupełnie, jak na Niemca, porządny staruszek z Wiednia. Irena zaraz po przybyciu poznała się na jego przyzwoitości i zaczęła go błagać, ażeby na czwartą szwaczkę sprowadził mnie, czyli jej cioteczną siostrę,

która została przydzielona na roboty rolne, a która jest za słaba fizycznie do takiej pracy. Jej zabiegi odniosły skutek — przeprowadził korespondencję z Arbeitsamtem i wystarał się dla mnie o skierowanie. Przyjazd mój jednak, jak się potem dowiedziałam, był uzależniony od zgody mojego poprzedniego pracodawcy.

Czy mój bauer zgodzi się oddać pracownika, było przez parę dni troską Ireny, ale to już wynikło samo przez się wskutek mojej zupełnej niezdatności do pracy na roli. Irena bardzo się cieszyła, że mnie wyciągnęła z tak strasznej niedoli, czuła się bowiem odpowiedzialna za mój los, no i teraz mogła się zrewanżować za mój uczynek w Pruszkowie.

Dzięki więc Irenie wszyscy byli zadowoleni. Ja, że rozpoczęłam względnie spokojny żywot na koszt Trzeciej Rzeszy, a bamber, że pozbył się mnie bez morderstwa.

Mieszkałyśmy nie w obozie, a w małym pokoiku na wsi. U sąsiedniego bauera mieszkały Ukrainki, z którymi bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Pracowałyśmy w innym budynku, gdzie mieściła się pralnia i szwalnia. Sam obóz to właściwie była tylko wielka, pełna zaduchu sala kinowa, zastawiona trzypiętrowymi łózkami, i przyległa piwiarnia, przerobiona na obozową kuchnię i jadalnię. Tam zjawiałyśmy się trzy razy dziennie na posiłki, o ile to, co dostawałyśmy do jedzenia, miało coś wspólnego z posilnością.

Gdy Ukrainki prały bieliznę i odzież mieszkańców obozu, my objąłyśmy się udając, że coś robimy, a gdy pranie wyschło i przechodziło do cerowania i łatania w szwalni, Ukrainki objąły się i udawały, że mają pełne ręce roboty.

Jedna tylko Irena miała zawsze wiele zajęć, ponieważ ta cała nasza praca służyła przecież dla dobra zgromadzonych w obozie polskich chłopców. Przerabiała dla nich swetry, szyła koszule, reperowała rozłazące się łachy. Bardzo prędko Gertruda, nasza führerka (czytaj: wódz pralni i szwalni), zorientowała się co do charakteru Ireny i zwała na nią wszystkie swoje obowiązki. Przestała się też u nas pokazywać i założyła magazyn mód dla miejscowych bauerek, pobierając naturalnie dalej swoje pobory kierowniczkę. Irena wzięła nas ostro do galopu, wiążąc się nie tylko bez zarzutu z polecanej pracy, ale jeszcze wynajdując sobie i nam nadprogramowe zajęcia. Gdy zaczęły się jesienne i zimowe chłody, tłumaczyła komendantowi, że ludziom z obozu koniecznie potrzebne są rękawice. Dowodziła, że lepiej będą kopać rowy i rowki, mając ręce zabezpieczone od zimna. Komendant dał się oplotać, przyznał Irenie rację i zrobiwszy we wsi zbiórkę starej odzieży, zważył nam w szwalni kupę starych lumpów, z których uszyłyśmy sto pięćdziesiąt par luksusowych i ciepłutkich rękawic, pełne radości, że nasi chłopcy nie podmrażają sobie rąk.

Tak zabawiałyśmy się dzięki Irenie w dzień.

Późne popołudnia i wieczory poświęcone były na świetlice. Nie darmo Irena była wychowanką Babcy Radlińskiej i Janusza Korczaka. Z niczego potrafiła zawsze stworzyć coś, jeśli nie wiekopomnego, to w każdym razie dającego bezpośrednio bardzo dużo radości i zadowolenia. Wobec tego od piątej godziny po południu ciągnęły w kierunku naszej sztuby małe grupki chłopców, a o szóstej pełno już ich było na łózkach, stołkach i podłodze.

Zasłuchani w improwizowane na poczekaniu oświatowe pogadanki Ireny siedzieli u nas zwykle do godziny policyjnej, której wioskowy żandarm Fibich przestrzegał bardzo rygorystycznie. Po pogadankach — nigdy Irenie nie zbrakło na nie konceptu — przychodziła kolej na część artystyczną, a więc opowiadania przeczytanych ongiś książek, deklamowanie utajonych w pamięci wierszy i śpiewanie piosenek.

Nasze towarzyszkę niedoli, pani Pelagia i panna Zosia, bardzo z początku protestowały przeciw temu, tak dziwnemu dla nich, spędzaniu popołudni. Ale gdy nastały chłody i głody, a chłopcy zaczęli przynosić kradzione polana do naszego żelaznego piecyka i kartofle, które piekłyśmy przemyślnie, były nawet zadowolone z tych zebrań.

Irena zachwycona takim początkiem zaczęła nawet robić w komendanturze starania o przydzielenie odpowiedniego lokalu na świetlicę, ale komendant zgasił jej zapał oświadczeniem, że i tak ma duże kłopoty z żandarmem, który krzywym okiem patrzy na te

dziwne a liczne codzienne zebrania w naszej sztubie. Pozostało więc wszystko tak, jak się zaimprovizowało na początku, a z Fibichem do końca naszego przebywania we wsi miałyśmy kłopoty tylko nocami. Nie mogąc rozprawić się z nami po swojemu, bo podlegałyśmy komendantowi, usiłował dokuczać nam, jak się tylko dało.

Każdej nocy o różnych godzinach wchodził do naszej sztuby, której nigdy nie wolno było zamykać na klucz, i świecąc latarką w oczy sprawdzał, czy leżymy na naszych łózkach. Jeśli przypadkiem któraś z nas spała z głową nakrytą kocem, ściągał koc i zachowywał się tak, żeby nas wszystkie pobudzić. Ja z Ireną i Zosią ignorowałyśmy tę jego dokuczliwość w nadziei, że mu się to wreszcie kiedyś znudzi, ale panią Pelagię każda jego nocna wizyta doprowadzała do furii. Zawsze gdy zaświecił jej w twarz latarką, siadała na łóżku i zaczynała wymyślać:

— A żebyś zdechł! Żeby cię cholera zatłukła! Żebyś ręce i nogi połamał!... — leciało za żandarmem, który dopiero wtedy najspokojniej wychodził z pokoju, zostawiwszy naturalnie drzwi szeroko otwarte, a żeby zmusić którąś z nas do wstania z łóżka.

Używałyśmy z Ireną wszelkich argumentów, a żeby uspokoić panią Pelagię i powstrzymać od reagowania na dokuczliwe wizyty, ale zdaje się, że i jej, i jemu te nocne sceny dawały bardzo dużo jakiejś satysfakcji, a że nikomu ostatecznie nie robiły krzywdy, przyzwyczailiśmy się więc w końcu do conocnego rytuału — jego wizyt i jej przekleństw.

Z naszymi towarzyszkami niedoli nie potrafiłyśmy się zżyć ani zaprzyjaźnić. Pani Pelagia była ponurą pięćdziesięcioletnią kobietą, zamkniętą w sobie i tylko ciągle rozpatrującą materialne straty, na które naraził ją nasz warszawski los. Panna Zosia była znów hysiwata i naprawdę nie można się było z nią dogadać. Wszystko, co mówiła i robiła, zupełnie się nie kleiło. Irena ciężko nad nią pracowała i nieraz wydawało się, że już... już... Zosia znormalniała, ale to były tylko pozory.

Kiedyś, gdy wyciągnęłam z torebki fotografie rodziny i przyjaciół i po raz nie wiem który zaczęłam Irenie opowiadać, jak się cieszę, że w ostatniej chwili wychodząc z mieszkania wydarłam je z albumu i wpakowałam za dekollet, i gdy pochyliwszy się nad fotografiami wskoczyłam obiema nogami w przeszłość, opowiadając Irenie o każdym z osobna i o wszystkich razem, uwagę naszą odwrócił od tego tak miłego w obrazach zajęcia płacz panny Zosi. Poskoczyłyśmy do niej, pytając o powód.

— Ja nie mam żadnej fotografii! Ja nie mam za kim tęsknić! — powtarzała wśród łkań.

Bardzo nas to oświadczenie zmartwiło i zaczęłyśmy Zosi tłumaczyć, tak jak tłumaczyłyśmy same sobie po parę razy dziennie, że koniec wojny jest już bardzo bliski i wszyscy wrócimy do rodzin, i skończą się nasze tęsknoty. Ale te pocieszenia nie docierały do jej świadomości. Z długich a bardzo zawitych wywodów zrozumiwałyśmy tylko to, że ona właśnie pragnie za kimś tęsknić i że brak jej do tego tylko fotografii.

Patrzyłyśmy na siebie z Ireną trochę oszołomione.

— Mówiłam wam przecież, że ona jest zupełnie głupia — odezwała się z pogardą pani Pelagia.

— No to jestem głupia — ucięła wśród łkań panna Zosia. — Niech mi pani da jakąś fotografię — zakończyła zupełnie niespodziewanie zwracając się do mnie.

Byłam zaskoczona tą prośbą. Wydała mi się ona tak beznadziejna, że rozpoczęłam długą przemowę do Zosi, tłumacząc jej cierpliwie, jak bezsensowne jest to żądanie. Cóż przyjdzie jej z fotografii kogoś zupełnie obcego, kogoś nie znanego? Dowodziłam jej długo i szeroko, że te wszystkie podobizny tylko dla mnie jednej mają wartość.

Zosia nie słuchając łkała dalej cichutko. Nagle Irena podniosła się ze stołka, wyjęła spod słomianej poduszki portfel i pogrzebawszy w nim chwilkę, podała Zosi jakąś fotografię.

— Proszę — powiedziała sucho. — Jeśli pani chce, może pani ją sobie wziąć. Mnie niepotrzebna.

— Och! Jaki śliczny! Będę go bardzo kochała — zapewniła z zapałem Zosia wpatrzona w fotografię.

Irena popatrzyła na nią zamyślonym wzrokiem, zakręciła się po pokoju i bez jednego słowa wyszła zamykając za sobą cichutko drzwi.

I Pani Pelagia, i ja rzuciłyśmy się obejrzeć fotografię. Przedstawiała bardzo przystojnego, roześmianego mężczyznę.

— To na pewno jej mąż — szepnęła pani Pelagia. — Niech pani, panno Zosiu, włoży z powrotem tę fotografię do jej portfela.

— Nie — oparła się Zosia. — Przecież mi dała.

— Cóż za głupi łeb! — zawołała pani Pelagia, — Czy nie czujesz, że wyjęła ją dla ciebie spod serca? Dla pani przecież to zupełnie obcy człowiek.

— Nie — odpowiedziała Zosia, rozanielonymi oczami wpatrzona w fotografię.

— Panno Zosiu — i ja wtrąciłam się do rozmowy, zawstydzona swoim dotychczasowym sobkostwem. — Irena ma tylko tę jedną jedyną fotografię i pewno jest to fotografia jej męża. Niech ją pani odda, a wybierze sobie którąś z moich. O! Może pani weźmie mego wuja? Zosia rzuciła okiem na wuja.

— Nie! Za stary! — odpowiedziała i znów wpatrzyła się w fotografię trzymaną w rękę.

— Panno Zosiu! Niech pani spojrzy, jaka śliczna fotografia mojej siostry — podałam jej następną, pragnąc w duszy, żeby i tę odrzuciła.

— Nie chcę kobiety — spełniła moje pragnienie Zosia.

— No to niech pani bierze szwagra — podsunęłam jej następną.

— Ma za grubo nos — odpowiedziała Zosia, porównawszy obydwie fotografie i oddając mi szwagra.

Strapiona już kompletnie, żeby jednak postawić na swoim i odebrać z rąk Zosi własność Ireny, spróbowałam uczynić największą ofiarę.

— O panno Zosiu — zaczęłam znów zachęcająco. — No to ja dam pani fotografię mojego przyjaciela, takiego sławnego w Warszawie malarza. Opowiem pani o nim różne zabawne historie. Będzie więc pani miała fotografię kogoś, o kim pani będzie coś wiedzieć, chociaż z opowiadań. Ma takie ładne imię: Janusz i jest jednym z najbardziej uroczych, ciekawych ludzi artystycznego świata Warszawy. A jak się wojna skończy, to pójdziemy do niego na wódkę.

— Ma ptasie oczy — powiedziała panna Zosia, obrażając straszliwie moje uczucia zaślepione przyjaźnią.

— Co?! — ryknęłam ze złością. — Janusz ma ptasie oczy?!

— Co pani będzie gadać z głupią — zreasumowała naszą rozmowę pani Pelagia.

Widząc że twarze z mojego zapasu fotografii nie pobiją pod względem urody męża Ireny, wrzuciłam wszystkie pod poduszkę i poleciałam trzasnąwszy drzwiami polatać po polu, tak jak zrobiła to wcześniej Irena. Czułam, że muszę się trochę uspokoić.

Gdy wróciliśmy, ze ściany nad łóżkiem Zosi uśmiechnął się do nas pan Nowakowski. Zosia zaś stała nad jakimś chłopcem z obozu, którego sprowadziła do zmajstrowania prymitywnej półeczki na kwiaty pod fotografię, najpierw jesienią prawdziwe, a potem w zimie papierowe. Tak więc uśmiechnięty pan Nowakowski patronował nam nad kolorowymi kwiatami i Zosia miała swoją kapliczkę, do której się przypuszczalnie modliła. Irena zaś robiła, co mogła, ażeby nie widzieć ściany przy łóżku Zosi.

— Kto to? — spytała Marusia, gdy do nas przyszła z Nastazją.

— To fotografia panny Zosi — odpowiedziałam prędko, a że Zosi w pokoju nie było, jakoś o tej sprawie nigdy się już więcej nie mówiło.

Marusia i Nastazja były uroczymi dziewczętami, wywiezionymi na roboty z radzieckiej Ukrainy. Przychodziły do nas bardzo często i bardzo się polubiłyśmy. Trapiło nas z Ireną tylko to, że były komunistkami. (Mój Boże, takie porządne dziewczyny!). A Marusię i Nastkę trapił dla odmiany fakt, że nie mogą nas przerobić na komunistki. Wiele, bardzo wiele godzin

straciłyśmy na wzajemnych przekonywaniach, niestety bezowocnych, bo my z Ireną tokowałyśmy jak głuszce, zasłuchane w nasze argumenciki wbite do głowy przez propagandę antykomunistyczną okresu międzywojennego.

Natomiast piosenki radzieckie, śpiewane jasnym głosem Marusi, miały nad nami dziwną władzę. One to potrafiły i nas, i chłopców łączyć w jakimś trudnym do wytłumaczenia wzruszeniu, budząc nadzieję na lepsze jutro.

Jeśli idzie o chłopców z obozu, to muszę przyznać, że w pierwszej chwili przerazili mnie. Robili wrażenie zupełnie zdziuczonych. Wywiezieni na roboty rolne do Niemiec zaraz po rozpoczęciu wojny w trzydziestym dziewiątym roku z poznańskich i śląskich wsi, stali się przez te długie lata poniewierki wprost okropni. Przede wszystkim przerażał ich język, który w najlepszym wypadku był jakimś dziwnym konglomeratem słów niemieckich, polskich i rosyjskich.

— Chodi szpaciren — zapraszał na przykład któryś z nich wytwornie Marusię.

A gdy potrząsała przecząco głową, pytał:

— A warum ty ne chcesz?

Do zupełnej jednak rozpaczyny doprowadzał nas jeden czasownik, przy pomocy którego potrafili określić wszystkie swoje nieskomplikowane funkcje życiowe w obozie. Słowo to było jednym z najobrzydliwszych słów, i nie wiem dlaczego zrobiło tak niesłychaną karierę. Irena starała się innymi czasownikami wzbogacić język obozowy, ale przez długie tygodnie słyszałyśmy tylko:

— Spierdoliliśmy się dziś przy kopaniu...

— Wpierdoliliśmy już obiad...

— Heniek z Jankiem rozpierdoliłi sobie nosy...

— Przez Fibicha komendant wypierdolił Julka z drugiej grupy do karnej...

— Niech mi pani spierdoli tę rozpierdoloną jakę...

Na pewno aż obrzydliwość bierze, gdy się czyta te słowa. My byłyśmy zdruzgotane i wydałyśmy temu słowu wielką wojnę. Chłopcy patrzyli na nas z politowaniem, bo przecież czy to nie wszystko jedno, w jaki sposób ludzie się porozumiewają? Ważną rzeczą jest tylko, ażeby się zrozumieli. Powoli jednak i my zaczęłyśmy przyzwyczajać się do języka obozowego i już nie tylko, że przestał nas razić, ale nawet, o zgrozo!...

— Jak się w tej chwili nie uspokoić, to was tak opierdolę, że się nie pozbieracie! — krzyknęła Irena na trzecią grupę, która przy odbiorze bielizny rozdokazywała się ponad miarę i przewróciła jej stolik z równiutko ułożoną bielizną.

— Widzisz! Jaki ma wpływ środowisko na jednostkę! — mówiła zawstydzona, gdy wracałyśmy ze szwalni. — Jeżeli wojna prędko się nie skończy i my wszyscy z naszego obozu nie przetasujemy się z innymi ludźmi, to nawet ty i ja rozpierdolimy zupełnie nasz sposób mówienia.

Z wielkiej radości musiałam oprzeć się o płótek, tak niesłychanie śmiesznie brzmiało to słowo w zafrasowanych ustach Ireny.

Tak więc względnie spokojnie i nawet czasem wesoło żyłyśmy sobie do końca grudnia.

Na święta otrzymałam paczkę od rodziny i nasz wigilijny wieczór świetlicowy wypadł, jak na obozowe warunki, luksusowo. Dostałam też zaraz po świętach list od wujka, że nareszcie trafił na możliwości wydostania mnie z obozu i że po Nowym Roku rozpocznie starania.

Przez cały dzień chodziłam jak pijana z radości.

Takie posunięcia rodziny i moja radość groziły Asmodeuszowi pokrzyżowaniem jego planów. Toteż zaraz pierwszej nocy po nadejściu listu przypuścił do mnie szturm.

— A czy Kraków gorszy od Warszawy? — zadał mi retoryczne pytanie. — Kraków też może zorganizować powstanie i trafisz jak śliwka w kompot.

— Kraków jest starszy niż Warszawa i mądrzejszy — odpowiedziałam przewracając się na twardym sienniku.

— Tak, ale Kraków jest teraz pełen warszawiaków. Więc kto wie?... Poza tym Kraków jest najważniejszym miejscem w Generalnej Guberni. Jest w zasięgu i alianckich, i radzieckich bombowców. Czyż nie lepsza jest ta cicha wioska z jednym głupim Fibichem?

A gdy jeszcze na tę szalę poza możliwościami powstań i bombardowań dorzucił wspomnienie rozstrzeliwań ulicznych, przypadkowość dostania się do obozów koncentracyjnych, perspektywa powrotu do Generalnej Guberni tak mnie przeraziła, że na drugi dzień rano po nie przespanej nocy poleciałam do naszego komendanta, opowiedziałam mu o poczynaniach rodziny i błagałam, ażeby nie dał swego zezwolenia na mój wyjazd.

Komendant patrzył na mnie jak na wariatkę. Zupełnie nie mógł zrozumieć dlaczego, gdy się trafi formalna okazja, nie chcę wrócić do kraju.

— Warum? Warum?... — dopytywał się.

A że przecież nie miałam odwagi opowiedzieć mu o Asmodeuszu i koszmarach nocnych, płatałam się w wykrętach. Komendant zdenerwował się, zwymyślał mnie wrzeszcząc głośno, tak jakby nie był już „dobrym wiedeńczykiem”, a zwyczajnym plugawym szkopem. Wreszcie wyrzucił mnie za drzwi, rycząc, że jak przyjdzie Befehl, pojedę tam, gdzie należy.

Wobec tego pisywałam niesłychanie długie i skomplikowane listy do wszystkich członków rodziny, dając im do zrozumienia w sprytny sposób, ażeby zostawili mnie w spokoju tu, gdzie jestem. Oni zaś, nie znając stosunków w naszym obozie, przypuszczali, że do pisania takich listów jestem zmuszana. Odpisywali, że stają na głowie, żebym jak najprędzej mogła się już znaleźć w Krakowie, a Asmodeusz straszyl mnie po nocach.

Tak denerwująco upłynęła dla mnie pierwsza połowa stycznia. W drugiej zaś przyszły wielkie mrozy i wszystkie drogi zaroily się nie kończącymi się sznurami wozów, bryczek, pojazdów konnych i motorowych, wiozących ewakuowanych ze wschodu Niemców, Reichsdeutschów i Volksdeutschów. Przypomniało to nam wrzesień trzydziestego dziewiątego roku. Karta historii nareszcie zaczęła się odwracać na naszych oczach. Serca nasze napełniły się niską radością na widok udręki dotychczasowych dręczycieli. Chodziłyśmy ponure, nie odzywając się do siebie i nie patrząc sobie w oczy, ale rozsadzane od wewnątrz satysfakcją odwetu.

Tylko panna Zosia zareagowała naturalnie inaczej niż wszyscy. Tylko jej trochę pomylona dusza mogła sobie pozwolić na ludzkie uczucia. Nasze zatwardziły się już w nienawiści i nie potrafiły sobie na ten luksus pozwolić.

Któregoś popołudnia wpadła do naszej sztuby i łkając rzuciła się na łóżko.

— Co się stało? — zapytała ze swego łóżka Irena.

— Nie mogę patrzeć, jak te biedne dzieci w tak straszny mróz płaczą na tych wozach — wyjęczała.

Pani Pelagia zerwała się, złapała kamienną donicę i skoczyła w stronę Zosi.

— A o naszych dzieciach z Zamojszczyzny to już pomniałaś?... Jak Boga kocham, teraz to rozwalę ten głupi łeb! — ryknęła z pasją i zamierzyła się na Zosię.

W ostatniej chwili udało mi się jakimś cyrkowym skokiem rzucić z łóżka, na którym leżałam, i przytrzymać ręce rozwścieczonej kobiety. W sekundę znalazła się przy mnie Irena i wspólnymi siłami odebrałyśmy pani Pelagii kamienną donicę.

A potem jedna wyła o krzywdzie dzieci i biednych, może niewinnych Niemców, a druga klęła ich ostatniego pokolenia.

Nikt do nas tego dnia nie przyszedł, bo chłopcy popędzili za las nadśluchiwać, czy dochodzą już odgłosy zbliżającego się frontu, czy jeszcze nie. A my z Ireną nie mogłyśmy się ruszyć ze sztuby i z zupełnym zamętem w uczuciach ponuro stróżowałyśmy nad bezpieczeństwem panny Zosi.

W parę dni potem już nie trzeba było latać za las, ażeby usłyszeć huki armatnie.

Cała wieś i funkcyjne Niemki z obozu zostały ewakuowane, pralnia i szwalnia zlikwidowane, nas przerzucono do robót przy kuchni, a chłopcy byli zmuszeni do pracy przy tych głupich rowach po czternaście i szesnaście godzin na dobę.

W końcu i nasz komendant otrzymał rozkaz ewakuowania, ale tylko męskiej grupy. Wyjazd został naznaczony na szóstą godzinę. Poczciwi chłopcy po zapakowaniu swoich mizernych ruchomości przypędzili do nas całą gromadą, gorączkowo radząc nad naszym bezpieczeństwem. W końcu rzucili się do roboty i do najsolidniejszej według nich piwnicy we wsi pościgali chyba wszystkie sienniki z obozu, ażeby nam wymościć bezpieczny schron. Po pożegnaniu, prawie że oblanym łzami, poczułyśmy się nieswojo. Byłyśmy same w wyludnionej wsi. Wobec tego Marusia i Nastka zdecydowały przenieść się do nas na noc. Ściągnęły też ciocię Nataszę, która nie zносиła Zosi, więc i od nas stroniła. Spodziewałyśmy się, że ta noc przejdzie jeszcze spokojnie i że dopiero za dnia przeniesiemy się do wybranego nam przez chłopców schronu. O spaniu nie było mowy, głucha cisza opustoszałej wsi napawała nas niepokojem. Przed północą usłyszałyśmy turkot rozpędzonego wozu, który nagle zatrzymał się przed naszym domem.

— Schnell! Schnell! — rozległy się wołania jeszcze za drzwiami i nagle wpadł do pokoju jeden z naszych Gruppenführerów, każąc nam natychmiast ładować się na wóz. Był bardzo wystraszony i popędzał nas bezlitośnie. Wskoczyłyśmy w obozowe drewniaki. Złapałyśmy płaszcze — ja za dekolt zdążyłam wdeptać fotografie — i już ładowałyśmy się na stojący przed domem wóz, przynaglone kułakami panicznie spieszącego się Niemca.

— Pan Nowakowski! — wrzasnęła nagle przeraźliwym głosem Zosia i stoczywszy się z wozu na ziemię wpadła do chaty.

— Donnerwetter! Verflucht! — poleciało za nią.

Po sekundzie Zosia zjawiała się z powrotem z panem Nowakowskim w ręku. Wciągnęłyśmy ją na wóz, Niemiec zaciął konie i pognałyśmy na zachód po nowe wrażenia i przeżycia.

3. AURORA FITZGERALD

Po dwóch godzinach galopady oblodzonymi drogami dowieziono nas do wsi, w której zatrzymał się nasz obóz i znów ze łzami w oczach witałyśmy się z chłopcami.

Od tego miejsca aż do Odry przez chyba dziesięć dni wędrowaliśmy przed samym frontem z ostatnią linią Wehrmachtu. Te dziesięć dni to był jakiś szatański kołowrót; dzień nie był dniem, a noc nocą. W każdej wsi, do której przybywaliśmy, chłopcy uzbrojeni w łopaty i kilofy gnani byli na jej przedpole, gdzie musieli udawać, że wydłubują w zamarznętej ziemi jakieś ubezpieczenia dla żołnierzy niemieckich, a my plądrowałyśmy po opustoszałych domach, ażeby zdobyć jak najprędzej jak największą ilość czegoś do jedzenia.

Najbardziej ratowały nas pozostawione przy żłobach krowy. Marusia z Nastką doiły je na wyścigi. My z Ireną rozpałałyśmy ogień. Pani Pelagia pilnowała gotowania. Potem my z Ireną i ciocią Nataszą leciałyśmy z wiadrami parującego na zimnie mleka za wieś, ażeby podkarmić choć trochę i ogrzać naszych chłopców.

Z Zosią tylko działa się coś złego, ale przepracowane przy struganiu kartofli nie miałyśmy zupełnie ani czasu, ani głowy do zaopiekowania się nią. Zosia bowiem z jakimś dziwnym uśmiechem na twarzy chodziła po opuszczonych domach, otwierała szafy, dotykała różnych rzeczy rękami i jak zahipnotyzowana szła dalej.

Komendant zapowiedział, że mamy brać z chat wszystko do jedzenia, co uznamy za potrzebne, ale że najmniejsza próba rabunku czy kradzieży będzie karana rozstrzelaniem. Dziwne zachowanie Zosi denerwowało nas tym bardziej, że odłączała się ciągle od naszej gromadki i laziła po wszystkich domach we wsi pełnej żołnierzy. Bałyśmy się, żeby nie spotkało jej coś złego.

Toteż jednocześnie i przerażenie, i śmiech nas ogarnął, gdy w czasie wydawania komendantowi i Gruppenführerom czegoś w rodzaju posiłku wkroczyła do izby Zosia przystrojona w wielki słomkowy kapelusz ozdobiony nieprawdopodobnie czerwoną różą. Na szyi miała przedpotopowe boa z piórek wystrzępionych przez mole. Te strojne dodatki na jej

postaci ubranej w obozowy drelichowy kombinezon i sina z zimna twarzyczka o nieprzytomnie rozbieganych oczach wyglądały makabrycznie.

— O Jezu! — jęknęła pani Pelagia.

Gruppenführerzy gapili się na Zosię bez słowa z pootwieranymi ustami, a komendant odwrócił się do ściany, ażeby ukryć twarz na pewno rozśmieszoną tym widokiem.

— Schnell! Schnell! — ryknął nagle, niby groźnie, i pognął Niemców i nas za wieś z obiadem dla reszty obozu.

Ta jego wyrozumiałość wobec tak wyraźnego aktu rabunku dokonanego przez Zosię rozzuchwiała nawet Irenę i mnie. Po długiej naradzie ważąc skrupulatnie wszystkie za i wszystkie przeciw zabrałyśmy sobie z chaty, w której rezydowałyśmy, po jednym ręczniku i po jednej chustce do nosa. Ja co prawda wołałabym stać się posiadaczką dwóch chustek i dwóch ręczników, ale zdawałam sobie sprawę, że mam do wyboru albo nadmiar dóbr doczesnych, albo przyjaźń Ireny. Wybrałam więc naturalnie to drugie, ćwicząc swą duszę w pogardzie dla materialnych korzyści.

W tej wędrowce przez wsie Dolnego Śląska czasem zdążyłyśmy ugotować coś do jedzenia i nakarmić naszych stołowników. Często jednak przytrafiało się, że gdy już... już... miała się zgotować dziwna zupa, w którą wrzucałyśmy wszystko, co do jedzenia się znalazło, pojawiali się przygnani chłopcy. Łopaty wrzucano na wóz, zupę wylewano z kotłów i galopem przierzucano nas do następnej wsi, gdzie znów trzeba było zaczynać wszystko od początku.

Tempo tej całej zabawy zwiększało się coraz bardziej w miarę zbliżania się do Odry. Aż w końcu tabor naszego obozu przejechał przez most na rzece. Zaraz za nim w pierwszych zabudowaniach trzeba było znów zasiadać do strugania kartofli, ponieważ nic innego do jedzenia nie znalazłyśmy. Chłopcy po wielogodzinnym marszu zostali zatrzymani przed mostem do gorączkowego budowania zapór przeciwczołgowych. Już kartofle się dogotowywały i właśnie radziłyśmy, w jaki sposób i w czym zatarabanić je chłopcom, gdy nagle straszny huk targnął powietrzem.

Most na Odrze został wysadzony i z naszego obozu została teraz tylko mała grupka po tej stronie rzeki.

W chwilę potem wpadł do naszego domu komendant z jednym, jaki mu pozostał, Gruppenführerem i wrzaskiem pobudzając do większego pośpiechu wyprowadził nas prosto pod strzały radzieckich czołgów, które już jeździły po przeciwnym brzegu rzeki. Jeden z celnych pocisków trafił w odległą o jakieś pięćdziesiąt kroków stodołę, gdzie stały nasze konie i wozy. Jednym rzutem oka zdążyłam tylko zauważyć, że za mostem chłopcy wrzeszcząc z radości biegli całą falangą w kierunku radzieckich czołgów, gdyż zaraz komendant ściągnął nas za nasyp szosy i poprowadził przez kolczasty zagajnik.

W zagajniku Zosia ciągle gubiła swój śliczny kapeluszek z różą, zaczepiając nim o wszystkie gałęzie, a widok ten rozładował nasz strach przed pociskami i gorzką zazdrość, że nie jesteśmy na miejscu chłopców, dla których skończyły się już wojenne przygody.

Do późnej nocy prowadził nas komendant bocznymi drogami i drózkami, ponieważ główna szosa na Lignicę była pod ostrzałem radzieckich samolotów. Późną nocą dotarliśmy do jakiegoś myśliwskiego zameczku w wielkim lesie, obsadzonego przez Wehrmacht. i nieprzytomne ze zmęczenia zwałyśmy się na słomę piwnicy, gdzie stał piec centralnego ogrzewania.

W czasie wojny w trudnych momentach bardzo nie lubiłam podejmować samodzielnych decyzji. Wołałam już być zmuszana do takiego czy innego działania. Wtedy, chociażby to, co się stało, obróciło się na najgorsze, mogłam pocieszać się łzawym przeświadczeniem, że to przecież nie moja wina. Gdy zaś miałam wolną wolę pójścia na prawo lub na lewo, wybrałszy jedną z dróg nie wiedząc, co by się stało na tej drugiej, zatruwałam sobie życie wątpliwościami a nuz?... a gdyby?... Najgorzej zaś się czułam, gdy poniosło mnie i

zaczynałam kombinować, czyli na własny głupi rozum pomagać losowi. Od wyrzutów, które sobie później robiłam, puchła głowa.

Tejże nocy, którą spędzaliśmy zagnane przez przypadki wojenne do myśliwskiego pałacyku, zaczęłam jednak kombinować i stwierdziłam, że w nosie mam Asmodeuszowe straszenie mnie frontem i bolszewikami. Postanowiłam nie dać się dalej gnać w głąb Niemiec.

Postanowiłam za wszelką cenę urwać się i pędem wracać do kraju. Ponieważ front leciał na zachód w tempie maratonu, można więc było mieć nadzieję, że i zameczek bardzo szybko zostanie zajęty przez wojska radzieckie. Dla chłopców, naszych dotychczasowych przyjaciół i opiekunów, wojna się już skończyła. Pragnęłam, by i dla mnie skończyła się jak najprędzej. Niechże Europa, jeśli chce, bawi się dalej w wojnę, bez mojego w tym udziału. Ja już naprawdę miałam dość!

Powziąwszy decyzję należało obmyślić, jak to przeprowadzić. Zameczek zawałony był wojskiem. Schować się za piec centralnego ogrzewania? Głupi pomysł! Komendantowi z całego obozu został jeden Gruppenführer i nas siedem. Za mało osób, ażeby urwać się niepostrzeżenie. A poza tym Irena! Wstrząsnęłam się na myśl o rozłące z Ireną. Powiedzieć jej o moich planach?... Nie! Irena nie umie zręcznie kłamać. Postanowiłam więc na rano ciężko zachorować. Irena nie opuści mnie przecież w potrzebie. Zostanie na pewno, żeby się mną opiekować. Pałacyk stoi w lesie, przy bocznej drodze. Front przeskoczy bezboleśnie nad naszymi schowanymi w piwnicy głowami i za dwa dni będziemy maszerować z Ireną szeroką drogą na Warszawę... Na polach będą kwitły piękne pachnące kwiaty... — ten dalszy ciąg to już były senne bredzenia.

Rano bardzo łatwo udało mi się komedia z ciężką chorobą. Byłam przeziębiona podczas naszej kampanii przyodrzańskiej i właśnie febra wyrzuciła mi się na usta. Z ustami całymi w pęcherzach przypominałam rzeczywiście chorego mrówkojada, i to przekonało do mojej choroby i ryczącego Gruppenführera, i komendanta, i bardzo strapioną tym obrotem sprawy Irenę.

Komendant był przerażony naszym losem. Starał się też zrobić dla nas, co tylko mógł. Polecił nas opiece jakiegoś podoficera w zameczku i na pożegnanie przyniósł bochenek chleba. W ostatniej chwili usiłował jeszcze namówić Irenę, ażeby jednak z nim poszła dalej, a gdy ona odpowiedziała szlachetnie, z odrobiną patosu w głosie, że nie zostawi w takiej sytuacji chorej przyjaciółki, wychodząc już z piwnicy powiedział nie wiadomo dlaczego po francusku:

— A votre responsabilite, madame.

Tym zwrotem pan komendant, zdaje się pułkownik sprzed pierwszej wojny światowej, przebudował, według swego wyobrażenia, całą swoją dotychczasową postawę polityczną wobec zdarzeń w środkowej Europie. Obalił w swoim przekonaniu barierę oddzielającą jego, komendanta obozu pracy, od Ireny, niewolnicy zesłanej na roboty. W jego mniemaniu oboje znajdowali się już w jednym obozie, w obozie inteligencji zachodnioeuropejskiej, co wyraził właśnie przeciwstawiając się choć salonową francuszczyzną nawale bolszewickiej, walącej od wschodu.

Całe szczęście, że w piwniczce panował mrok i nie można było zobaczyć mojej rozradowanej gęby, nad którą nie mogłam zapanować.

Zostałyśmy wreszcie same, gdyż Marusia, Nastazja, pani Pelagia i Zosia wraz z panem Nowakowskim ukrytym w kieszeni pomaszerowały znowu dalej.

Zostałyśmy więc same i Irena ogromnie się zdziwiła, że usiadłam na słomie, podczas gdy przedtem nie mogłam nawet podnieść ręki z tej wielkiej choroby, a potem zdziwiła się jeszcze bardziej, ale w tym wypadku i ja też to zrobiłam wraz z nią, bo zza pieca wygramoliła się czternastoletnia dziewczynka i przysiadła się do nas na słomę.

— Uff! — rozcieraa sobie biodro. — Myślałam, że ci Niemcy nigdy nie wyjdą z piwnicy i że nie wytrzymam już za piecem. Tam okropnie twardo i tak ciasno, że nie można zmienić pozycji.

— Co ty tu robisz? — zapytała Irena.
— Tak jak i panie czekam na radziecki front — odpowiedziała domyślnie.
— A kto ty jesteś?
— Tak jak i wszyscy byłam na robotach.
— Nonsens — powiedziała Irena, patrząc podejrzliwie na dziewczynkę. Ja też tak na nią patrzyłam, bo bardzo dziwnie wyglądała na naszym tle i na tle tej słomy i piwnicy. Trudno bowiem było sobie wyobrazić, ażeby ta drobna dziewczynka należała do naszej upośledzonej klasy auslendrów*. Ubrana w wytworną aksamitną sukienkę, w futrzanej kurteczce, w wysokich skórzanych bucikach, wyglądała, jakby, należała do jakiegoś zupełnie innego żywota i przeskoczyła magicznym sposobem w nasze życie.
— Jak się nazywasz? — zapytała znów Irena.
— Aurora Fitzgerald — odpowiedziała zuchwale, patrząc wyzywająco na Irenę.
— Nonsens — zawołałyśmy już obydwie.
— Dlaczego? — zapytała. — Aurora to takie samo imię jak każde inne.

* Żargonowe, z niem. Auslander — cudzoziemiec.

Byłyśmy zupełnie zdezorientowane. Już zapomnieliśmy z Ireną, jak wygląda wytworne życie. Może i ta pretensjonalna „Aurora” pasuje do aksamitnej sukienki i wytwornego futerka...

— Jak to dobrze, że panie tu zostały. Tak bardzo czułam się samotna — nawiązywała z nami serdeczność dziwna dziewczynka.

— A dawno tu już siedzisz? — zapytałam.

— Od wczoraj. Też urwałam się z transportu. Och! Panie mają chleb. Czy mogę dostać kawałek? Ja mam sardynki. Zrobimy sobie pyszne śniadanie.

— Sardynki i transport! To się też nie zgadza — powiedziała Irena.

— Te trzy puszki sardynek znalazłam na szosie.

— A kluczyk do otwierania też?

— Tak — odpowiedziała Aurora nachylając głowę nad pudełkiem.

Siedzieliśmy więc na słomie i posilałyśmy się wojskowym chlebem i sardynkami, mówiąc: „Dziękuję, Auroro! Proszę, Auroro!” i powtarzając sobie w myśli, że imię Aurora jest takie samo jak inne imiona. Aurora zaś rozsiadła się między nami z bardzo zadowoloną miną. W końcu Irena zbuntowała się i powiedziała:

— Nie dam rady z tą „Aurorą”.

— Tak! „Aurora” nie pasuje do dnia powszedniego. To jest imię odpowiednie tylko na niedzielę — dodałam oblizując oliwę z brudnych palców.

— Będziemy do ciebie mówić „Asia”. Dobrze?

— Wołałabym, żeby pani nazywała mnie Aurora, ale jeśli pani chce, to niech będzie Asia — zgodziła się dziewczynka.

— Słuchaj, Asiu! Czy na roboty zostałam wywieziona z rodzicami? — zaczęła się znów dopytywać Irena.

— O nie! Ja jestem sierotą. Mnie samą wywieziono na roboty.

— Nonsens — zawołałyśmy znów obie, bo to wszystko, co gadała, było nieporadnym kłamstwem.

Żadne jednak najcierpliwsze szturmy i zniecierpliwione rzucane pytania nic a nic nie przybliżyły nas do prawdy o dziewczynce. Została więc wraz z nami, ale jednak nie w charakterze Aurory Fitzgerald, tylko jako Asia, X-27, tajemniczy Dżems.

Dla Ireny wojna i jej wszystkie przejawy były niesłychanie rzeczywiste. Wytwarzające się bowiem ciągle sytuacje dawały wielkie pole do popisu dla tego „motoru służby społecznej”, który mruczał w jej wnętrzu.

Ja natomiast podczas wojny drzemałam wewnątrz. Może był to jakiś psychiczny odruch samoobrony, ale w bardzo wielu sytuacjach, zwłaszcza tych najgorszych, tępiałam zupełnie. Miałam wrażenie, że jest to tylko makabryczny, zupełnie bezsensowny sen i że jest rzeczą niemożliwą, ażeby to, co się dzieje dookoła, było prawdziwe. Z poczuciem nierealności i z tępą bezmyślnością czekałam zawsze na rozbudzenie.

Toteż podczas dwudniowego siedzenia w piwnicy Aurora była dla mnie jeszcze jednym z nieprawdopodobnych elementów koszmarnego snu, a dla Ireny jak najbardziej rzeczywistą Asią, może trzynasto-, może czternastoletnią dziewczynką potrzebującą nie tylko pomocy i opieki, ale i niesłuchanie skomplikowanych metod wychowawczych. A tymczasem front huczał za laskiem, to zbliżał się, to znów oddalał.

Co jakiś czas robił się w zameczku alarm i z wielkim dudnieniem schodów żołnierze wylatywali do lasu, bo znów zbliżała się strzelanina. Gdy po iluś tam godzinach słyhać było kroki, patrzyliśmy przez szparę w drzwiach w nadziei, że nareszcie otworzymy je szeroko i nareszcie wrzaśniemy: „Zdrowstwujię, towarzyszczi!” Ale za każdym razem czekało nas rozczarowanie, wracali ci sami Niemcy. Trzeciego dnia front ucichł zupełnie, żołnierze niemieccy gdzieś sobie pomaszzerowali, a my zostałyśmy w piwnicy, jak te głupie.

W południe przysły jakieś cywilne władze z opaskami, uzbrojone po zęby, i o mało nas nie rozstrzelały. Wyglądałyśmy im bowiem na szpiegów czekających na front radziecki. Całe szczęście, że ja w dalszym ciągu wyglądałam na chorego mrówkojada, Asia zaś przypominała jednemu z Niemców jego córkę. W końcu po bardzo denerwujących rozmowach urozmaiconych wrzaskami, bo Niemcy bardzo lubią wrzeszczeć i przy lada okazji to czynią, zlitowali się, machnęli na nas ręką, doprowadzili nas do jakiejś polskiej wsi i dołączyli do ostatniego, paręset ludzi liczącego transportu, który pognali na zachód.

Cały ten nowy koszmar z usiłowaniem rozstrzelania nas pod płotem był na pewno robotą Asmodeusza, który w ten sposób dowiódł mi, że moje próby pokierowania własnym losem nie mają sensu, zwłaszcza podczas takich kataklizmów, jak wojna. A i ponieważ, która zaczęła się w transporcie, pokazała mi, że nie należy przechytrzać losu. Gdybyśmy pozostały pod opieką naszego dotychczasowego komendanta i jego wytwornej francuszczyzny, ta ewakuacja przed frontem radzieckim miałaby może przebieg mniej bolesny. A może spotkałyby nas jeszcze gorsze rzeczy, to jednak było wielką niewiadomą. Do borykania się więc z głodem i ze zmęczeniem doszło mi jeszcze borykanie się z wyrzutami sumienia i żal, że zrobiłam tak, a nie inaczej. Wciąż plułam sobie w brodę za mój samodzielny wyskok i czułam się bardzo winna wobec Ireny, którą naraziłam na te przejścia.

4. ZNAJDUJEMY SABINĘ

Gdyby udało nam się zostać w zameczku jeszcze dwa dni...

Gdyby...

Bo front nareszcie ruszył galopem, a nas w parotysięcznej gromadzie pognano w kierunku Drezna, a gdy Drezno zostało prawie na naszych oczach zbombardowane, zmieniono kierunek na Lipsk. Maszerowaliśmy bocznymi drogami — główne zawałone były wojskiem — po trzydzieści, czterdzieści kilometrów dziennie, w głodzie, chłodzie i wszach. Zaraz pierwszej nocy na pierwszym postoju przeprowadziły się one ze słomy na nasze osoby i obgryzały nas do kości.

Podczas tej okropnej drogi, w której kolejność wydarzeń utopiła mi się w morzu wielkiej niedoli, zaadoptowałyśmy do naszej rodziny Sabinę i Aurora ostatecznie weszła w skórę Asi. Sabinę znalazła Irena w rowie, osłabioną do ostateczności i ułożoną według najlepszych wzorów zakładów pogrzebowych do przeniesienia się na łono Abrahama. Irena naturalnie wtrąciła się w tę tak intymną sprawę Sabiny. Wypchnęła ją z rowu, przy mojej i Asi pomocy ustawiła na nogach, trochę prośbą, trochę groźbą, trochę ciągnąc, trochę popychając pognęła

ją wraz z nami. Po paru kwadransach Sabina jakoś się rozchodziła i przestała się wybierać na tamten świat.

A Aurora zrobiła nam dziwną niespodziankę.

Sytuacja, w której ją spotkałyśmy, nasuwała mi stale przypuszczenie, że dziewczynka tak jak ja spróbowała na własny rozum coś zmienić w swoim losie. Ale co? Zastanawiałam się też, jak długo będzie się nas trzymała. Można było oczekiwać, że zniknie nam z horyzontu tak niespodzianie, jak się pojawiła, tym bardziej, że wychowawcze metody Ireny nie zawsze należały do przyjemnych. Ale, o dziwo, Asia przyłgnęła do Ireny i robiła wrażenie, że przywiązała się naprawdę.

W drodze do Lipska zniknęła nam co prawda parę razy na postojach, ale zawsze wracała i za każdym razem trochę inna, w każdym razie inna zewnętrznie.

Najpierw zamieniła z kimś aksamitną sukienkę na roboczy drelichowy kombinezon, taki jak nasze, i na bochenek chleba.

Byłyśmy wzruszone i rozczulone tym jej postępkami. Ale gdy następnym razem Asia przehandlowała futerko na okropną wytartą jesionkę i chleb, a ciepłą czapkę na brudny szalik i papierosy dla Sabiny, to Irena była w dalszym ciągu rozczulona i wzruszona jej czułym sercem i oddaniem dla nas, a mnie zaczęło chodzić po głowie, że Asia nie chce zwracać uwagi swoim ubraniem i chce zginąć w masie auslendrów, wyglądając tak samo jak wszyscy.

Już pod samym Lipskiem przejadłyśmy ostatni z wytwornych odzieżowych szczegółów Asi, czyli jej oficerskie butki. Wkroczyła do miasta drepcząc koło nas w okropnych, tak jak i nasze, drewnianych trzewikach, ale z bardzo zadowoloną i pewną siebie miną.

Dowlekleśmy się nareszcie do Lipska i tam zamknięto nasz transport akurat pośrodku miasta w wielkiej szkole otoczonej wysokim murem. Słoma zawałająca podłogi aż się ruszała od robactwa. Marzenie o pozbyciu się naszych lokatorów pozbieranych na wszystkich noclegach nie zrealizowało się. Czekwały na nas nowe wygłodzone hordy.

Najpierw z wielkim zapalem zabrałyśmy się do mordowania, ale że w tej sytuacji mordowanie nie miało żadnego znaczenia, więc też robiłyśmy to potem tylko już dla rozrywki, urządzając turnieje i zawody sportowe. Rozmowy podczas tych zajęć były dość interesujące. Na przykład Sabina pokazywała wszę wielkości bożej krówki i wołała:

— Tę awiomatickę muszę policzyć za pięć normalnych.

— Nonsens! — odpowiadała z całą powagą Irena. — Sztukę liczymy za sztukę. Dwieście szesnaście, dwieście siedemnaście, dwieście osiem...

Przez dwa dni dręczył nas niepokój, zupełnie bowiem nie było nadziei na wydostanie się z tej szkoły. Głód osłabiał nas coraz bardziej, a Asia nie miała już nic do przehandlowania. Otrzymywaliśmy tylko trochę zupy brukwiowej w południe i po małym kawałeczku chleba wieczorem. Ja przy tym wszystkim dostawałam drgawek nerwowych ze strachu przed bombardowaniami. Przepędzane ulicami Lipska widziałyśmy ślady bardzo dawnych bombardowań. Miasto robiło wrażenie dobrze już po nich zorganizowanego. Tramwaje chodziły, woda i światło były wszędzie nareperowane. Truchlałam, że po Dreźnie tak niedawno bombardowanym przyjdzie kolej na Lipsk za naszej tu bytności.

Któregoś dnia wrzasnął ktoś na korytarzu, żeby schodzić na podwórze, bo przyjechał Arbeitsamt i wybiera ludzi na roboty. Popędziłyśmy na dół. Na podwórze wywaliło się parę tysięcy ludzi ledwo trzymających się na nogach z głodu i przemęczenia. Nadzieja na wydostanie się z tej strasznej szkoły podtrzymywała wszystkich. Przepychałyśmy się i my za Sabiną, która nagle nabrała wigoru i jak taran roztrącała ludzi, ale okazało się, że przyszliśmy za późno. Urzędniczka wybrała już szesnaście mocniej wyglądających dziewcząt wiejskich do jakiejś fabryki w Lipsku i właśnie zawróciła do biura obozowego, gdy my wydostałyśmy się z tłumu.

— Chodźcie za mną — skomenderowała Sabina z błyskiem natchnienia w oczach i wpakowała się za urzędniczką do biura. Ta najpierw podskoczyła z furią i wspaniałą polszczyzną zaczęła wymyślać Sabinie, ale Sabina nie dała się zbić z tropu i przerwawszy urzędnicze opowiedziała naszą wzruszającą historię. Asia walczyła ze śmiechem, Irena stała z wytrzeszczonymi oczami, ja z całą powagą kiwaniem głowy podkreślałam prawdziwość opowieści, a Sabina perorowała, że

ona, Irena i ja jesteśmy wykwalifikowanymi robotnicami warszawskiej filii fabryki zbrojeniowej Schwarzwerte z Berlina. Asia zaś jest córką inżyniera polskiego, który też pracuje w tej fabryce. Po przedstawieniu nas w ten sposób opowiedziała prędko przygodę, jaką rzekomo przeżyliśmy. Otóż podczas transportu dużej grupy pracowników do Neustadt w południowej Turynii my cztery na jakiejś stacji wysiadliśmy, żeby się napić wody, i pociąg ruszył i pojechał bez nas, a my zostałyśmy dołączone do tego transportu i nikt nie chciał nam pomóc i ułatwić wyjazdu do tego Neustadt. A tam pojechały nasze rzeczy i pewno żandarmeria nas poszukuje i wszyscy myślą, że uciekłyśmy.

— Czy macie jakieś dokumenty? — zapytała urzędniczka.

— Nasze dokumenty pojechały w pociągu. Ja tylko mam przypadkowo z sobą nasz fabryczny Ausweis jeszcze z Warszawy — odpowiedziała Sabina, sięgając do kieszeni.

Urzędniczka obejrzała podejrzliwie Ausweis i schowała go do teczki.

— Dobrze — odpowiedziała. — Ja to sprawdzę. Proszę przyjść jutro do Arbeitsamtu. — Równocześnie zwróciła się do Niemców z biura i kazała wypuścić nas na drugi dzień o takiej godzinie, żebyśmy były u niej na dziesiątą.

Gdy oddaliśmy się trochę od biura, złapałam Sabinę za rękę i zaczęłam jęczeć, że ta urzędniczka może wszystko sprawdzić i że wykryje się cała wyssana z palca historia. Ale Sabina uspokajała mnie, że rozpręga się już przecież wspaniała niemiecka organizacja i że do jutra na pewno zdążą tylko sprawdzić, czy taka fabryka istnieje i czy taka miejscowość w ogóle jest na mapie.

Całe popołudnie doprowadzałyśmy do porządku nasz wygląd zewnętrzny. Jedna z towarzyszek niedoli pozwoliła nam umyć się swoim mydłem. Resztę dnia spędziłyśmy na wybijaniu wszy. Ale szkoda było tej roboty, bo przez noc oblaży nas nowe. Rano wyruszyłyśmy uzbrojone w kartkę, na której było napisane, jakimi tramwajami mamy jechać i gdzie się przesiadać. W tramwaju miałyśmy uciechę, bo Sabinie wszy ciągle wychodziły na wierzch i na tle czarnego płaszcza okropnie były widoczne. Nie mogłyśmy się więc przyjrzeć Lipskowi, bo żeby nie wywołać awantury, musiałyśmy obserwować palto i łapać w sposób dyskretny amatorki krajoznawczych wycieczek. Irena mordowała je, Asia przerzucała na Niemki stojące obok nas w przejściu, a ja robiłam raz jak Irena, a raz jak Asia.

Czekając na przystanku na przesiadkę pokłóciłam się z Sabiną po raz pierwszy tego dnia. A poszło o to, że ja chciałam prędko znaleźć się w Arbeitsamcie, żeby pozbyć się denerwujących myśli, co nas tam czeka, Sabina zaś miała zamiar po drodze zdobyć coś do jedzenia. Tramwaj jakoś nie nadjeżdżał, Sabina więc zaczęła dwóch jeńców francuskich, a ponieważ oni nic nie mogli zrozumieć z przemowy po polsku i z wymachiwań rękami, Irena musiała przyjść jej z pomocą i wyjaśniła, że jesteśmy okropnie głodne. Francuzi byli bardzo uprzejmi, współczuli nam, ale nic do jedzenia przy sobie nie mieli. Jeden z nich obdarował Sabinę papierosami i zapalkami, a potem zaprowadził za róg ulicy i pokazał restaurację. — Ale tu bez kartek możecie dostać tylko bulion — powiedział. Bulion to bulion — ucieszyłyśmy się i podziękowawszy, wpadłyśmy do restauracji. Irena zakupiła po trzy porcje na każdą z nas. Musiałyśmy pewno za bardzo łapczywie połykać ten bulion, a i wygląd nasz musiał być żaloszny, bo Niemki za kontuarem coś między sobą szeptały patrząc na nas. W końcu jedna z nich wzięła cztery bułki i wstydliwym ruchem położyła je przed nami. Nie byłyśmy w stanie wzgardzić nimi, rzuciłyśmy się na bułki i kupiłyśmy sobie jeszcze po trzy porcje tego żółtawego, ale ciepłego płynu. „Dobre Niemki” dały więc nam jeszcze po dwa zimne kartofle, które też pożarłyśmy w mgnieniu oka. Wychodząc z restauracji Sabina obdzieliła Niemki „dankeszenami” i pojechałyśmy dalej tramwajem w szampańskim już nastroju. Nawet ja czując bulion, bułki i kartofle w żołądku przestałam się denerwować Arbeitsamtem i dobrze zrobiłam, bo urzędniczka oświadczyła, że wszystko jest w porządku i zaraz wyda Reisenkartę do Neustadt dla nas czterech na nazwisko Sabiny. W tym momencie ryki syren oznajmiły zapowiedź alarmu dla miasta Lipska. W trzy minuty potem urzędniczka

podawała Sabinie Ausweis, Reisenkartę i skierowanie upstrzone pięknie stempelkami, a syreny ryknęły na alarm.

— Gdzie mamy liść? — zapytałam przerażona.

Niemka pokazała wielki budynek z publicznym schronem o jakieś sto metrów za Arbeitsamtem. Rzuciłyśmy się w tamtą stronę.

— Tutaj — zatrzymały się Sabina z Ireną.

— Nie. Nad tymi środkowymi drzwiami budynek jest o jedno piętro wyższy — jęknęłam i popędziłam dalej. Bardzo to było ładnie z ich strony, że pobiegły za mną. Za nami wpadło jeszcze dwóch wojskowych.

— Heil Hitler! — ryknęli i trzasnęli obcasami.

— Hajlajcie! Hajlajcie! Już niedługo będziecie hajlać — szeptała pod nosem Sabina, usadawiając się wygodnie na drewnianej ławce.

Te jej słowa sprawdziły się nawet aż za prędko, bo chyba w pół godziny potem nasi żołnierze leżeli plackiem na betonowej podłodze i pojękiwali: „O mein Gott”, zapomniawszy o Hitlerze. Połowa chyba Lipska układała się w tym czasie w malownicze gruzy. Ja klęczałam na podłodze i biedną swoją głowę chowałam na żołądku Sabiny. Irena i Asia też przywarły do jej ramienia. Od Sabiny bowiem promieniował spokój i pewność, że bombardowanie jej nie dotyczy. Ta pewność trochę się udzielała. Mimo to te parę godzin... ile?... nie potrafię sobie nawet uświadomić, rzeczywiście były obrzydliwe.

Sabina pocieszała nas w sposób bardzo dla niej charakterystyczny.

— Wiecie, o co się martwię? — zapytała w którymś momencie.

— No? — poddała Irena, która była trochę przytomniejsza ode mnie.

— Żeby się tym „dobrym Niemkom”, które nam dały bułki i kartofle, nie stało coś złego. Bo mam zamiar w powrotnej drodze znów do nich wstąpić i jeszcze raz je naciągnąć. Po takim kataklizmie, jak to bombardowanie, powinny być jeszcze bardziej litościwe niż przed bombardowaniem.

— Jezus Maria! — jęknęłam oburzona na takie bluźnierstwo. — O tamte Niemki się martwisz? O tamtych Niemkach myślisz? A o sobie... a o sobie... a o nas... — bełkotałam, bo brakło mi słów z oburzenia na bezczelność Sabiny i na jej nonszalancję w stosunku do lecących bomb.

— Nie — odpowiedziała Sabina. — Ja jestem pewna, że...

Ale jej wywody zostały przerwane, bo cały dom zakołysał się jak okręt na morzu i podłoga nagle podskoczyła do góry. Zamknęłam oczy i czule pożegnałam się z tym tak bardzo Nielitościwym, a tak jednak drogim mi światem.

Po chwili napiętego wyczekiwania zdziwiłam się, że znajdujemy się bez zmian, w tej samej sytuacji i w tych samych pozycjach. Zaczął nas jednak dusić dym. Niemcy pozapalali latarki kieszonkowe i usiłowali otworzyć drzwi schronu. Po wielu wysiłkach udało się nareszcie.

Była to ostatnia chwila — dom dopalał się już do parteru i całe szczęście, że nalot się skończył. Ulica, na którą wyszłyśmy, nie była już ulicą. Zawalona gruzami, rozkopana lejami po bombach, zarzucona odłamkami gałęzi i jakimiś dziwnymi gratami, których przedtem nie było, sprawiała wstrząsające wrażenie. A ta część domu, do której chciały się schronić Irena z Sabiną, rozwalona była do samych fundamentów.

— Widzicie? Co by się z nami stało, gdybym nie zaciągnęła was do dalszej części domu — powiedziałam z dużą satysfakcją, oczekując, że rzuca mi się na szyję w podzięcie za uratowanie życia.

— Gdybyśmy siedziały w tym skrzydle gmachu, bomba rozwaliliby jego środek — odpowiedziała najspokojniej Sabina.

Bezczelność i niefrasobliwość tego odezwania uraziła mnie niesłychanie. Zdumiała też ufność Sabiny w niezwykle łaski Opatrzności w stosunku do nas.

Na miejscu Arbeitsamtu i sąsiedniego domu widniał ogromny lej po jakiejś bardzo wielkiej bombie. Widok ten rozjątrzył mnie przeciw Sabinie.

— Widzisz. Ja jednak miałam rację, że śpieszyłam do Arbeitsamtu. Gdybyśmy tu przywędrowały o piętnaście minut później, nie miałybyśmy już Reisenkarty. A ty ciągle wolałaś myśleć o jedzeniu i wcale nie chciałaś pośpieszyć — gderałam.

— Ależ o co ci chodzi? Czego jęczysz? I pojadłyśmy, I Reisenkartę przecież mamy.

Rzeczywiście wszystko skończyło się świetnie. Nie wiedziałam, o co mi chodzi. Niedawne przeżycia domagały się chyba jakiegoś ujęcia. Toteż ulżyłam sobie natychmiast rozpoczynając z Sabiną, ku przerażeniu Ireny i chichotom Asi, dziką awanturę.

A doszło do niej na skrzyżowaniu dawnych ulic, gdyż ja natychmiast chciałam gnać w stronę ciemniejszych na lewo drzew, czyli na peryferie Lipska, dojść piechotą do pierwszych lepszych torów kolejowych, nimi do pierwszej za Lipskiem stacji i uciekać jak najprędzej do Neustadt. Sabina zaś stanęła na tym skrzyżowaniu, jak uparty muł, i powiedziała, że ona powędruje przez zburzony Lipsk z powrotem do naszej szkoły. Postanowiła bowiem wstąpić w powrotnej drodze do restauracji z „dobrymi Niemkami” i najeść się tam jeszcze raz bułek, bulionu i kartofli. Poza tym nie śpieszyło jej się panicznie w nieznaną. Wolała wyspać się jeszcze razem z wszami, zabrać zawszawione koce i dopiero na drugi dzień rano wywiadziawszy się dokładnie o sposobach dojazdu do Neustadt wyruszyć w dalszą drogę. Klóciłyśmy się więc na rogu zawzięcie. Irena, którą usiłowałam przeciągnąć na swoją stronę, okazała się zupełnie przygnębiona silniejszą indywidualnością Sabiny. Uwiązana za nogę do jednego egzemplarza Reisenkarty na nas cztery musiałam w końcu podreptać pokornie za Sabiną.

Wracałyśmy na piechotę do szkoły. Z początku trasa wiodła ulicą, którą szły szyny tramwajowe, ale wkrótce musiałyśmy ją porzucić, bo domy na niej płonęły po obu stronach. W naszym błakaniu się po rozwalonym Lipsku natrafiłyśmy na spokojną uliczkę oszczędzoną przez bombardowanie. Przed jednym z domów stały kobiety, wystraszone wzrokiem wpatrzone w to, co się działo na prawo i lewo.

— To jest moment psychologiczny — powiedziała Sabina. — One teraz są wzruszone i coś nam dadzą, jak poprosimy. Powiedz im, Ireno, że jesteśmy głodne.

Ale Irena przekładając godną postawę nad chęć zaspokojenia głodu odmówiła.

— Nie będę żebrać u Niemców nawet dla ciebie. — Mówiąc to odsunęła się od Sabiny w kierunku jezdni.

— Ich bin krank... Ich bin krank... — zaczęła wobec tej odmowy jęklwym głosem Sabina, będąc pewna, że „krank” znaczy „hungrig” — głodny.

Jedna z Niemek spojrzała na nią współczująco, kiwnęła głową i weszła do domku. Za chwilę wróciła z karafką jakiegoś przezroczystego płynu i małą filiżaneczką od kawy.

— Cholera! Ja ją proszę o jedzenie, a ona daje mi jakieś lekarstwo — mówiła najspokojniej Sabina, uśmiechając się zachęcająco do Niemki. Ta naturalnie nic nie zrozumiała, a my musiałyśmy się odwrócić, ażeby nie wybuchnąć śmiechem.

— Jak Boga kocham! Spirytus! — wykrzyknęła za nami Sabina.

Obejrzałyśmy się. Z rozkoszą mrugała powiekami. Nie oddała filiżanki, lecz podstawiła ją proszącym ruchem i zaczęła znów jęklwym powtarzać;

— Bitte! Meine Schwester! Bitte! Meine Schwester! — i pokazywała na Irenę.

Niemka nalała.

— Pij! — rozkazała Sabina. — Pij! To spirytus!

Gdy Irena przełknęła krztusząc się swoją porcją, zabrała z jej rąk filiżankę i znów podsunęła ją Niemce jęcząc:

— Bitte! Meine Tochter! Bitte!

Niemka nalała po raz trzeci. Asia wypila. Więc Niemka nie czekając już na nowe jęki Sabiny nalała czwartą porcję dla mnie. Sabina stała z półotwartymi ustami, uszczęśliwiona, że

obeszło się bez jej interwencji, ponieważ w bardzo skromnym zasobie słów niemieckich pozostało jej dla mnie tylko „Mutter”, którego bała się zastosować, bo to ona była o jakieś dziesięć lat starsza ode mnie i takie głędzenie mogło zdenerwować nową „dobrą Niemkę”. Z miłym ciepłem w żołądkach pomaszzerowałyśmy nareszcie zgodnie dalej. I tu zaczęła się nowa część naszych lipskich przygód, bo na nasze zagłodzone żołądki ten spirytus tak podziałał, że poczułyśmy się kompletnie pijane. Pamiętam, że trzymając się pod ręce maszerowałyśmy środkiem płonących ulic i śpiewałyśmy „Rotę” Konopnickiej, wyrzaskując na cały głos: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!” Potem pamiętam, że siedziałyśmy na jakichś gruzach, zdaje się, że tej restauracji z „dobrymi Niemkami” i zaśmiewałyśmy się do łez... A potem przysięgłszy sobie wierną przyjaźń, wróciłyśmy, jak Sabina mówiła, zładaczone do szkoły, która stała nietknięta, i przespałyśmy ciężkim snem resztę dnia i noc. Na drugi dzień otrzymawszy w obozie po bochenku chleba na drogę wyjechałyśmy z Lipska autobusem. Dalej wędrowałyśmy już koleją. Ostatnią część podróży odbywałyśmy same w przedziale. Niemiec, który wysiadł niedawno na jakiejś większej stacji, poinformował Irenę, że do Neustadt mamy już niedaleko. Obserwowałyśmy przez okno krajobraz południowej Turynii i bardzo nam się te górki i laski podobały. W pewnym momencie pociąg zaczął zwalniać i zobaczyłam lotnisko wojskowe, zaraz koło niego baraki obozowe, dalej wielką fabrykę, a jeszcze dalej małe miasteczko.

— O Boże! Żeby to nie było tu! Żeby to nie tu! — zaczęłam powtarzać, przerażona położeniem obozu między obiektami tak prowokującymi do bombardowań. Ale to właśnie było tu.

5. A JEDNAK NIE Z DESZCZU POD RYNNĘ

Według mego, nie podzielanego przez Irenę i Sabinę, zdania wpadłyśmy z deszczu pod rynnę. Czworobok drewnianych parterowych domków obozowych, ustawionych dookoła obszernego majdanu, leżał akurat koło drucianej siatki lotniska wojskowego. Drugim brzegiem przytykał do nasypu toru kolejowego, który o sto metrów od obozu kończył się stacyjką. Z trzeciej strony — wypisz, wymaluj — stała wielka zbrojeniowa fabryka, która z wszystkich czterech boków wyglądała właśnie na fabrykę zbrojeniową, przypuszczalnie więc tak samo przedstawiała się i z góry.

Bardzo zmartwiona, że takie zagęszczenie „obiektów” nie zostało zbombardowane przed naszym przyjazdem, zaczęłam znów jęczeć, ale Sabina przerwała mi:

— Sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Zamiast się trapić, pomyśl, jaką będziemy miały satysfakcję, gdy to wszystko zamieni się na naszych oczach w gruzy, tak jak przytrafiło się to Lipskowi... O wiele lepiej i ciekawiej być pośrodku historii niż na jej marginesie.

Ale ja i moje nerwy mieliśmy już dosyć historii i uczestniczenia w jej niesamowitych podrygach, toteż obrażona na Sabinę i cały świat byłam już cicho. Siedziałyśmy właśnie w rowie przed obozem czekając na wyjście robotników z fabryki. Taką kolejność naszych poczynań w Neustadt zarządziła Sabina, obecny przewodnik naszej czwórki. Ona to przez parę miesięcy pracowała w warszawskiej filii fabryki Schwarzwerte i według Ireny dzięki niej, a według mnie przez nią wdepnęłyśmy w tę nową awanturę. Na Sabinę więc spadała rola kombinowania, co dalej.

Siedziałyśmy tak w rowie chyba ze dwie godziny, gadając trochę i spierając się znów na temat, co by było, gdyby było inaczej. Przemarzłyśmy już solidnie, gdy nareszcie z szeroko otwartych drzwi fabryki wywalił się tłum. Wpatrywałyśmy się z natężeniem w mijających nas ludzi, usiłując wyszukać w nich jakąś znajomą twarz i rzucić się na nią z prośbą o ratunek, bo przecież przyjechałyśmy tu na wariata i jeszcze nie było wiadomo, czym się ta impreza skończy.

Wreszcie Sabina wydłubała dwie osoby z obojętnie mijającego nas tłumy.

Zula, prześliczna, wytworna, warszawska panna, zabiedzona teraz do ostateczności, usłyszawszy naszą historię, mogła się tylko zdobyć na bardzo serdeczne, ale apatyczne ubolewanie nad naszym losem. Natomiast Franek, młody energiczny warszawiak, z pyszczkiem franta, rozwinął z miejsca gorączkową działalność. Najpierw gdzieś poleciał, a nam kazał cierpliwie czekać, potem wrócił i zabrał z sobą Sabinę do komendy obozu. A potem po krótkim kwadransie zostałyśmy zainstalowane w jednej ze sztab, w której akurat wolne były dwa dwupiętrowe łóżka. Nareszcie miałyśmy znowu dach nad głową i brukwiówkę na kolację, która nam smakowała bardziej niż najpożywniejsze i najwykwintniejsze potrawy z dawnej, bardzo dziwnej we wspomnieniu przeszłości. Irenę bolała tylko wroga w stosunku do nas postawa dziewcząt ze sztaby, do której nas przydzielono. Właściwie trudno się było dziwić ich niechęci. Wywiezione na roboty już parę lat temu, znajdowały się w porównaniu z nami w warunkach wprost luksusowych. Posiadały bowiem własną pościel, sprowadzoną już dawno z domów, posiadały bieliznę dzienną, nocną, sukienki, swetry ; masę przedmiotów toaletowych. Toteż nic dziwnego, że patrzyły na nas z obrzydzeniem. My bowiem poza starymi, podartymi, brudnymi i do tego zawszonymi łachami nie miałyśmy nic.

Po kolacji przysła Zula, przyniosła kawałek mydła i dowiedziawszy się o naszym wszawym dramacie, popędziła jeszcze do komendy ubłagać znajomą Niemkę o pożyczanie dla nas elektrycznego żelazka.

Usnęłam nareszcie mocno, pomimo że wszy robiły sobie jeszcze Aleje Ujazdowskie z moich pleców, a brudne jeszcze uszy miały ochotę nasłuchiwać, czy nie odezwią się ryki syren na alarm.

Następny dzień został poświęcony na doprowadzenie się do stanu używalności publicznej. Gdy więc wszystkie dziewczęta pobiegly na godzinę siódmą do fabryki, a my zostałyśmy same w sztabie, nastąpiło generalne odwszawianie, pranie, prasowanie. W wyniku tych energicznych zabiegów, przeprowadzanych z niesłychaną zawziętością, bielizna nasza najpierw prasowana, potem prana, potem znów prasowana rozpalonym żelazkiem rozleciała się i do nałożenia pozostały nam strzępy, ale czyste i wolne od udręczającej nas dotychczas plagi.

Tak spędzony owocnie cały dzień sprawił, że pod wieczór pachniałyśmy nareszcie czystością. A wieczorem komendant obozu wezwał nas do kancelarii i oznajmił, że nie ma dla nas pracy w fabryce, mamy się więc zgłosić na drugi dzień do Arbeitsamtu.

Alarmu ani bombardowania w nocy nie było i Sabina pokpiwała sobie ze mnie, a do Arbeitsamtu postanowiła w ogóle się nie fatygować.

— Powiecie, że jestem chora — oznajmiła, układając się po śniadaniu z powrotem na sienniku. — Po co będę zawracać głowę Arbeitsamtowi. Przecież wojna się już kończy.

Strapione powędrowałyśmy z Ireną i Asią do miasteczka. W biurze obejrzano podejrzliwie nas, naszą Reisenkartę i nasze skierowanie do fabryki Schwarzwerke.

— Przecież my do Lipska nie wysyłaliśmy wcale zapotrzebowania na ludzi — tłumaczono nam. — I po co przysłali dziecko? — zakończono pytaniem, na które nie umiałyśmy z Ireną odpowiedzieć, bo brak było przy nas Sabiny tak pomyslowej w okłamywaniu Niemców. Odesłano nas z niczym do obozu, gdzie zameldowałyśmy się u komendanta Schulza. Ten zaś zaczął wrzeszczeć, jak obdzierany ze skóry. W momencie gdy już truchlałam, bo z potoku niezrozumiałych zdań wyłowiłam znane mi niestety słowo „gestapo”, nagle, jak deus ex machina, ryknęły syreny i scena, która zapowiadała się tragicznie, zamieniła się natychmiast w farsową. Schulz bowiem jednym susem wyskoczył zza biurka i runął do drzwi, prawie że przewracając Asię stojącą mu na drodze. Ja naturalnie pognałam za nim w nadziei, że on wie, gdzie chować głowę przed bombami.

Schulz rwał wzdłuż baraków, ja deptałam mu po piętach. W pewnej za nami odległości biegła Irena z Asią, a dalej jeszcze parę osób z obozu. Boczna furtką wpadliśmy w tunel pod torami i

za zakrętem otworzyła się polna droga obsadzona lipami. Rozwinęłam więc szybkość międzynarodowego błyskawicznego pociągu, minęłam grubego Schulza i pognałam lipową aleją w kierunku lasu i wzgórz. Pod pierwszymi drzewami zahamowałam w oczekiwaniu na ogon węża, którego głowę stanowiłam dotychczas. Zakryta od góry gałęziami gęstego lasu byłam już odważniejsza. Zresztą wszyscy pędzący w tym samym kierunku zwolnili kroku w lesie i gdy słychać już było dudniący warkot nadlatujących samolotów, znaleźliśmy się w połowie zbocza. A tu otworzyły się przed nami opiekuńcze ramiona pieczary, w którą cała grupka zdecydowana nie zetknąć się z bombardowaniem nurknęła z westchnieniem ulgi. Zwiedzenie i zorientowanie się w zaletach tej pieczary, podczas gdy powietrzem sunęły eskadry bombowców, pogodziło mnie trochę z perspektywą bytowania w Neustadt. Nie była to naturalna pieczara. Została niedawno wykuta w skale. Olbrzymie korytarze prowadziły daleko w głąb wysokiej w tym miejscu góry. Wszystko to było zelektryfikowane i przygotowane podobno do jakichś wojennych celów, ale inne, widocznie ważniejsze sprawy, odwróciły od pieczary uwagę. Stała więc na razie pustką i w obecnej chwili była najbezpieczniejszym schronem, jaki tylko można sobie było wymarzyć.

Po paru godzinach siedzenia w jaskini, gdy alarm został odwołany, wynurzyliśmy się na wesołe marcowe słońce, a Schulz był zmęczony i zdaje się zniechęcony do wszystkiego. Bez żadnych już wrzasków przydzielił mnie do kuchni, Irenę do magazynu w fabryce, Asię odesłał do baraków, a poza tym udał, że w ogóle nie wie o tym, że Sabina siedzi w obozie. Tak więc zaczęło się nasze bytowanie w Neustadt.

Ja objąłam się w kuchni obozowej przy struganiu kartofli i brukwi. Sabina i Asia nudziły się w baraku, a Irena, którą po dwóch dniach pracy w magazynie przeniesiono do hali maszyn na tokarnię, przestała jeść przydziałowy chleb, ażeby nim przekupić zamianę na funkcje. Chcąc pomóc Irenie, zabrałam się i ja do podkradania chleba w kuchni i gdy już kosztem wielkich wyrzeczeń i wielkiego ryzyka zgromadziłyśmy dziesięć bochenków, po oplątaniu jeszcze Schulza przy pomocy pana Franka, Irena wylądowała na funkcji, którą uważała za szczytną w porównaniu z upokarzającą i szkodliwą pracą przy produkcji materiałów wojennych.

A jaka to była funkcja?

Trzeba było naturalnie znać Irenę, ażeby domyślić się, do jakiej funkcji będzie dążyła w niemieckim obozie przyfabrycznym. Wybrała sobie ni mniej, ni więcej, tylko rolę Putzfrau od ubikacji obozowych i łazienek, które naturalnie wcale nie były sprzątane przez jej poprzedniczkę.

W tydzień później dowiedziałyśmy się, że to baba od ubikacji była gotowa zapłacić Irenie dziesięcioma bochenkami chleba, byle zamienić się na robotę, ale widząc podniecenie Ireny popróbowwała odwrócić role i zrobić majątek naszym kosztem. Udało jej się to świetnie, a nam przybyło jeszcze jedno doświadczenie, z którego jednak poza śmiechem innej korzyści nie było.

Irena rzuciła się na łazienki i latryny z właściwą swojej energii gorączką.

— Ktoś musi dbać o higienę w obozie — dowodziła nam, gdy z Sabiną usiłowałyśmy ugasić jej zapał. — Pracuję przecież dla auslendrów: dla Polaków, Radzieckich*, Francuzów i Włochów, a nie dla Niemców — kończyła tym argumentem swoją obronę.

Asia, która coraz bardziej przywiązywała się do Ireny, chciała jej w tej okropnej pracy pomagać, ale Irena obawiając się, ażeby dziewczynka nie złapała jakiejś choroby, nigdy na to nie pozwoliła. Czasem więc zaciskając zęby i przeklinając w duchu przyjaźń jako taką urywałam się z kuchni, gdy okazja była sprzyjająca, i pędziłam pomagać Irenie.

To nieprawda, co powiedziałam przedtem, że trafiłam z deszczu pod rynnę. Gdyby nie strach, jaki budziło położenie obozu ze względu na ewentualne naloty, sam obóz przy bliższym poznaniu okazał się znowu świetnym miejscem do dekowania się i czekania na koniec wojny. Z opowieści robotników pracujących w fabryce wiedziałyśmy, że z powodu braku surowców

i tam wszyscy objają się udając zapracowanych. W samym obozie, jak na stosunki niemieckie, było zupełnie znośnie.

Gruby Schulz, od chwili gdy wojska alianckie przekroczyły granice Reichu, ucharakteryzował się na dobrodusznego anioła. Co jakiś czas wybuchał co prawda wielkim wrzaskiem, zwykle jednak szybko opanowywał się i robiąc słodką minę oderwanymi słówkami dawał do zrozumienia, że i on wraz ze swymi nadwątlonymi nerwami jest ofiarą dyktatorskiego reżimu.

* W obozowym języku tak nazywano obywateli Związku Radzieckiego.

My świeżo przybyłe do obozu dałyśmy się wziąć na lep tej obecnie względnej ludzkości. Toteż nazywałyśmy go między sobą „jeszcze jednym dobrym Niemcem”. Ale przestałyśmy się nim entuzjasmować i wierzyć w teorię, że „Niemcy też ludzie”, gdy wrósłszy trochę w stosunki obozowe dowiedziałyśmy się o jego bestialstwach w okresie, gdy wszystko wskazywało na to, że ujdą one na sucho.

Obecnie Schulz wyjątkowo mizdrzył się do Włochów, pozwalając im nawet w swoich barakach urządzać co sobotę wieczorki taneczne. Liczył widać na to, że zapomną mu potworne traktowanie, gdy jako badogliowcy siedzieli w dwóch barakach otoczonych kolczastymi drutami, tworząc obóz w obozie. Systematyczne głodzenie stu pięćdziesięciu ludzi nie skończyło się jedną wielką mogiłą tylko dzięki uporczywej walce o ich życie, którą wzięły na swe barki polskie dziewczęta. Zorganizowały się one w ten sposób, że podzieliły Włochów między siebie i podkarmiły, każda swojego Włocha, czy to w fabryce, czy to w drodze z fabryki do obozu lub przerzucając jedzenie przez druty i dzieląc się z nimi swoimi i tak tragicznie skąpymi porcjami.

W momencie gdy my dotarłyśmy do obozu, te przejścia należały już do wspomnień. Schulz, jako typowy Niemiec, po okresie brutalności i chamstwa, gdy czuł potęgę armii niemieckiej za plecami, zrobił się teraz pokorniutki, grzeciutki i malutki. Poczł już nosem, że „niezwyciężona” armia niemiecka przegrywa, a przed poszczególnymi obywatelami Reichu zaczyna stawać odpowiedzialność, z którą przez wiele lat wcale się nie liczył.

Tak odmieniony Schulz starał się zachowywać w obozie bardzo czynnie i wobec tego wszyscy zaczęli robić to, na co mieli ochotę. Na jakiś czas przed naszym przyjazdem do obozu ludzie po troszeczkę przetasowali się w barakach i sztubach według własnych zachceń. Tak więc Francuzi odseparowali się od innych narodowości i urządzili w dwóch sztubach. Radzieccy połączyli się w dwóch barakach. Polacy, jako najliczniejsi, podzielili się z fantazją na liczne grupy. Warszawiaci zorganizowali swój warszawski kąt, a z nich jeszcze „powstańcy” swój. Kaliszanki zajmowały własną sztubę. Nasza polska inteligencja odseparowała się od reszty obozu w dwóch sztubach i zadzierała nosa. Tę grupę nazywałyśmy z przekąsem „Okopami Świętej Trójcy”. Prawie każda bardziej charakterystyczna sztuba miała swoje przezwisko.

Nas niestety wpakował Schulz do sztuby „gejsz”. Tam tylko bowiem były wolne miejsca. Mieszkały tu, nazwijmy ogólnie, dziewczęta lżejszych obyczajów. I poza tymi naszymi w liczbie dwunastu nie było ich już niestety więcej w obozie i nikt nie chciał się z nami zamienić, gdy Sabina, a potem Irena ze względu na Asię rozpoczęła w tym kierunku starania. Byłyśmy w naszej sztubie bardzo niepopularne, ponieważ na samym początku Irena rzuciła się na dziewczęta i zaczęła je umoralniać. Ale niestety one nie chciały być umoralniane i tylko wynikały z tego plotki, intrygi i kłótnie. Dobrze im było tak żyć, jak żyły, i wołały być „wesole”, a nie ponure, jak reszta kobiet w obozie. Toteż i my musiałyśmy niestety uczestniczyć w tej „wesołości”.

Prawem kontrastu sąsiednią sztubę zajmowały „dewotki”. Dobrały się tam kobiety, które każdą wolną chwilę poświęcały na modlitwy. Pomiędzy oknami ustawiły wielką gipsową

figurę jakiegoś świętego — nie mam pojęcia, gdzie ją zdobyły — i każdego popołudnia odprawiały nabożeństwa, nosowymi głosami wyśpiewując kościelne pieśni.

Gdy tylko dewotki zaczynały swoje „godzinki”, natychmiast nasze gejsze chwytaly za grzebienie, owijały je w bibułkę i dawały dość ograniczony repertuarowo koncert, bo popularnymi wtedy melodiami były: „Besa me mucho” i jakieś tam „Chryzantemy”, które w wazonie stały na fortepianie.

Ścianki oddzielające sztuby były niestety cienkie i wszystko, co się działo u sąsiadów, było nawzajem świetnie słyhać, toteż dewotki zaczynały śpiewać głośniejsze, na to nasze gejsze śpiewały i grały na grzebieniach jeszcze głośniejsze i w końcu obie sztuby darły się wniebogłosy, ażeby się nawzajem przekrzyczeć.

Co parę dni odbywały się też w naszej sztubie wielkie bale, na które płeć piękna z obozu naturalnie nie przychodziła. Schodziły się natomiast tłumy mężczyzn i robiła się wieża Babel, bo słyhać było wszystkie chyba języki świata, a my, a nawet ja, marzyłyśmy, żeby już prędzej był alarm, który rozpedziłby to całe towarzystwo.

Tak więc „wesoło” spędzałyśmy obozowe wieczory.

Wszystkie doznania obozowe przecinane były, jak nożem, ciągłymi alarmami. Po parę razy w ciągu dnia i przynajmniej raz w nocy podrywałam się jak zajac i gnałam lipową drogą do pieczary, mijając zasapanego Schulza, który nie wiem jakim sposobem, ale zaczynał zawsze te wyścigi o jakieś dwie, trzy minuty przed alarmem.

Sabina nigdy nie ruszała się z baraku i żartowała ze mnie, że już mi od ciągłego nasłuchiwania uszy zrobiły się odstające i wyciągnęły do góry jak u zajaca. Nie zwracałam na to gadanie uwagi, nasłuchiwałam dalej i gnałam do pieczary, czując się tam bardzo bezpiecznie.

Toteż przeraziłam się przeogromnie, gdy któregoś dnia mijając barak komendantury usłyszałam zupełnie bez alarmowej zapowiedzi gwizd samolotu pikującego prosto na moją głowę. W sekundę potem huk targnął powietrzem. Zawirowałam w kółko, jak derwisz. Stwierdziwszy w trakcie tego płąsu, że jeszcze żyję, zapomniałam o szacunku wpojonym nam do baraku komendantury i wpadłam do biura.

Wypięty na pokój tłusty zadek Schulza, pakującego się właśnie pod biurko, wcale mnie nie rozśmieszył. Tak dobrze go rozumiałam! Zorientowawszy się, że w pokoju biurowym brak dla mnie schronienia, bo pod jedynym biurkiem siedział już Schulz i że wobec jego tuszy już się razem z nim nie zmieszczę, wypadłam na długi korytarz idący środkiem baraku. Zapelniał go już tłum Niemców, którzy pracowali i zamieszkiwali w pokojach po prawej i lewej stronie. Straszliwe huki wstrząsnęły baraczką, wszyscy więc gruchnęli na podłogę.

Upadłam i ja koło jakiejś grubej Niemki i zaczęłam wpychać swoją głowę pomiędzy jej obfity biust a podłogę, resztę zaś swego ciała powierzyłam opiece Opatrzności. Tak przeleżeliśmy zgodnie chyba całe wieki modląc się w duszy: „Byle nie ten barak... Byle nie ten...”

Gdy ryki syren oznajmiły odwołanie nalotu, nowe przerażenie chwyciło mnie za gardło. Jezus Maria! Irena... Asia... Sabina... Zupełnie o nich zapomniałam, chowając swój drogocenny, głupi łeb pod tłustą Niemkę. Wypadłam z baraku pełna najgorszych przeczuc. Ale! O radości! Nasz obóz stał najspokojniej, zupełnie nie uszkodzony. Jezus Maria! — zajęczało znów we mnie nowe przerażenie... — Fabryka... Zula... Franek... około sześciuset auslendrów... nasze biedne dewotki... nasze głupiutkie gejsze...

Pognałam kłusem na środek obozowego majdanu, skąd widać było fabrykę. Uff! Fabryka stała też nie tknięta. Bez emocjonalnych już drgawek stwierdziłam, że rozwalone zostało tylko całe lotnisko. Wyśpiewując zatem w duszy hymny pochwalne na cześć lotnictwa alianckiego popędziłam do naszego baraku, ażeby dowiedzieć się o przeżyciach moich drogich przyjaciółek.

Irena szorowała właśnie którąś ubikację i musiała przesiedzieć w niej samotnie cały nalot. Teraz była też trochę, ale mniej niż ja, blada i roztrzęsiona.

Sabina pozostała spokojna, jak zawsze. Po pierwszym wybuchu ułożyła Asię na niższym łóżku. Pościagała na nią sienniki z sąsiednich łóżek, a sama bezczelnie stanęła w oknie i tak się zachowywała, jakby w kinie demonstrowano jej wojenny film o bombardowaniu lotniska. Przez całe też popołudnie i wieczór opowiadała wszystkim, kto chciał i kto nie chciał słuchać, jak się ta cała zabawa odbywała.

6. KONIEC MAKABRY. NIECH ŻYJE WOLNOŚĆ!

W końcu marca weszło w zwyczaj, że syreny obwieszczały alarm w momencie, gdy już samoloty były nad naszym miasteczkiem.

Teraz Schulz coraz częściej urzędował pod biurkiem, a ja spędzałam długie godziny z duszą na ramieniu, a głową to pod kotłem w kuchni, to pod siennikiem w baraku.

W fabryce praca rozprzęgła się zupełnie i ludzie przestali nawet chodzić do roboty.

Czekaliśmy my, czekali i Niemcy...

Różni ludzie czekali w różny sposób. W naszej sztubie dalej się odbywały bale. A dewotki dalej odprawiały swoje modły. Włosi i Francuzi uganiali się po okolicznych łąkach, łapali całe wory młodych wiosennych żabek i urządzali przyjęcia, racząc gości niesłychanie wytworną potrawą, czyli żabimi udkami ugotowanymi w wodzie z solą. W czasie jednego takiego przyjęcia objadłam się tymi żabami, aż mnie brzuch rozboleł, bo zjadłam i moją porcję, i Sabiny, i Ireny, i Asi, które tylko poprzestały na spróbowaniu tego przysmaku, uśmiechając się do Włochów i powtarzając w nieskończoność: — Grazie... Grazie...

Zula przeżyła chwilowy niestety sukces erotyczny. Jeden z Włochów, uroczy zresztą chłopak, zapłonął do niej nagłym sentymentem. Zula jednak po drugiej z nim rozmowie odpaliła go nieodwołalnie. Na nasze pełne wyrzutu pytania odpowiedziała:

— Mogłam z nim flirtować tak długo, póki nie dowiedziałam się, jakie jest jego imię.

— Cóż ma imię do flirtowania? — zdziwiłyśmy się. Ale okazało się, że ma...

— Nie mogę! Nie potrafię flirtować z Jezusem... Jezus! Takie ma imię!

Zostałyśmy rzeczywiście tą rewelacją zaszokowane.

Przeloty samolotów alianckich, z których reszta obozu niewiele sobie robiła, mnie denerwowały i wyprowadzały z równowagi. Wszyscy mi tłumaczyli, że po doświadczeniu z bombardowaniem lotniska możemy być spokojni, że żadna bomba ani pocisk nie spadnie na obóz. Tłumaczeniom tym przyznawałam teoretycznie rację, w praktyce trzęsąc się coraz bardziej ze strachu. Sabina bezkarnie, nie miałam bowiem głowy się odgryzać, nazywała mnie teraz baranim ogonem, który podobno też się trzęsie.

Po obozie zaczęły kursować ponure pogłoski, że w sąsiednim mieście wszystkich auslendrów pognano na północ, że w innym sąsiednim mieście wszystkich mężczyzn rozstrzelano na rozstajnych drogach...

Tego wszystkiego miałam dosyć. Zabrałam moje ruchomości, czyli dwa koce, fotografie wsadziłam za dekolt i wyprowadziłam się z obozu do pieczary. Irena wpadała tam do mnie po parę razy na dzień, martwiąc się moim stanem nerwów i przynosząc mi moją porcję brukwiówki i chleba. Dla Sabiny zaś przestałam być baranim ogonem, a przemieniłam się w glistę ziemną.

Na drugi dzień po przeprowadzce dołączyły się do mnie trzy Francuzki, a potem każdego dnia przybywało coraz więcej osób, tak że pewnego wieczoru obszerne korytarze pieczary zostały szczelnie zapchane.

Irena z. Asią odszukały mnie w tłumie i zajęły miejsca, które dla nich zatrzymałam.

— A gdzie Sabina i Zula? — dopytywałam się zaniepokojona.

— Sabina? Nie znasz Sabiny? Nie boi się i Zulę natchnęła swoją odwagą. Zula przeniosła się do naszej sztuby na twoje posłanie. Ja zostałabym z nimi, gdyby nie Asia.

Asia zaczęła dowodzić, że też się niczego nie boi i że woli wrócić do obozu i tak mnie zezłościła, że o mało ją nie trzepnęłam, ale w tym momencie do tego najdalszego kąta pieczary, w którym rezydowaliśmy, dotarła powtarzana z ust do ust wiadomość, że zaczęło się artyleryjskie ostrzeliwanie Neustadt. Porwałyśmy się z Ireną przerażone losem naszych przyjaciółek i przepychałyśmy się do wyjścia.

Czarną noc rozjaśniały co jakiś czas wybuchy pocisków, które przelatowały nad naszą górą. U wejścia do pieczary rozlokowali się warszawiaczy z powstania i żołnierze włoscy. Moje skomlenie nad niebezpieczeństwem, w którym znalazły się Sabina i Zula, powiadomiło mężczyzn, że nie wszyscy wyszli z obozu i schronili się do pieczary.

— Na głupotę ludzką nie ma lekarstwa — powiedział autorytatywnie pan Marzecki, zniechęcając jednego młodzieńca, który już... już... widać było, że powzięłby jakąś decyzję...

— Signorina Zula nel campo? — zapytał mnie nagle Jezus, szarpnąwszy za łokieć.

— Si... si... — zachlipałam.

— Angelo! — wrzasnął Jezus i coś tam zaczął gadać po włosku, czego już nie rozumiałam.

— Jezus i Angelo pójdą po Zulę i Sabinę — zawołała potrząsając moją ręką i podskakując z wielkiego podniecenia Irena, która знаła trochę język włoski i rozumiała z ich dla mnie nieartykułowanego bełkotu, co mają zamiar zrobić.

Siedziałyśmy u wylotu pieczary chyba z pół godziny, wypatrując w ciemność oczy. Byłyśmy coraz lepszej myśli, bo pomimo naszej niefachowości w zakresie sztuki wojennej odniosłyśmy wrażenie, że pociski przelatują nad obozem i są kierowane w północną część miasteczka. Zresztą strzelanina nie była znów tak intensywna i nie trwożyła nawet takiego tchórza jak ja.

Wreszcie z cienia lasu wyłoniła się duża grupa kobiet, poganiana przez Anioła i Jezusa. Okazuje się, że nie poprzestali na zmuszeniu Żuli i Sabiny do opuszczenia drewnianych baraków, ale przeszukali jeszcze wszystkie sztuby i w pokoju dewotek znaleźli parę kobiet, które pod ochroną gipsowego świętego postanowiły stawić czoło niebezpieczeństwu frontu. Z teatralną, właściwą południowcom gestykulacją imienni przedstawiciele niebios pouczyli zbyt odważne paniusie o niebezpieczeństwie i pod swymi opiekuńczymi skrzydłami odstawili do pieczary.

— Ale Frączakowa i Stępniowna mają charakter — opowiadała Zula. — One kategorycznie odmówiły i zostały.

— Co je ugryzło? Idiotki! Zwariowały kompletnie? Wy też nie jesteście od nich lepsze — jazgotałam na Zulę i Sabinę prowadząc je przez zatłoczony korytarz do naszego kącika.

— Po jaką cholere ludzic wtrącają się w nie swoje sprawy — złościła się Sabina. —

Kompletne wariatwo z tymi pieczarami. Jutro wejdą wojska alianckie, a ja będę przez was niewyspana i boki mnie będą bolały po takiej głupio przesiedzianej nocy.

Około godziny drugiej gruchnęła znów wiadomość powtarzana z ust do ust, że jakieś dwie ranne kobiety przywlokły się do pieczary.

— Frączakowa i Stępniowna — zawołała Irena i zaczęła znów wędrówkę ku wylotowi.

— Widzisz! Masz siedzenie w drewnianych barakach. Cóż za głupi pomysł pozwolić się zabić w momencie zakończenia wojny — podjęłam kłótliwie zwracając się do Sabiny i nie czekając na odpowiedź, której się domyślałam, zaczęłam się przepychać za Ireną.

U wejścia na wypożyczonych przez kogoś kocach leżały rzeczywiście dwie biedaczki, znane nam z sąsiedniej sztuby dewotek. Znajdowały się w stanie rozpaczyliwym. Stępniowna miała dużą ranę w przedramieniu, a Frączakowej pocisk poszarpał plecy. Całe szczęście, że ich życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo, bo rany, choć bardzo przykre i bolesne, były powierzchowne. Wyciągnięty przez ludzi z głębi pieczary lekarz obozowy stał nad nimi i rozkładał bezradnie ręce. Wiejąc z baraków przytaszczył tu tylko własną walizkę z osobistymi rzeczami i nie pomyślał nawet o zabraniu środków opatrunkowych. Ludzie naokoło zaczęli mu głośno i dosadnie wymyślać, tym bardziej że mieli z nim dawniejsze porachunki. Jako

lekarz obozowy był przez wszystkich znienawidzony. Poza tym w jego osobie wojna wyhodowała jeden z tych dziwnych tworów. Mówił po polsku, skończył uniwersytet we Lwowie i został tam lekarzem, a obecnie nie wiadomo było, do jakiej grupy ludnościowej go zakwalifikować. U Niemców figurował jako Ukrainiec-Volksdeutsch. Wszystkich więc miał przeciw sobie i dreptał nieporadnie pośrodku krzyżujących się zarzutów, coraz bardziej podnieconych i rozwścieczonych na niego ludzi. Nie rozszarpano go wtedy, bo liczone się z tym, że jeszcze może być przydatny. W każdym razie podczas gdy trwały dyskusje na temat, kim właściwie doktor jest: Polakiem? Ukraińcem? Niemcem? — Frączakowa i Stępniozna leżały bez pomocy na kocach, prawie gołe, w poszarpanych koszulach. Idiotki położyły się do łóżek rozebrane.

Irena więc wzięła sprawę w swoje ręce i gdy zdobyła już i wyprosiła od ludzi prześcieradła na bandażę, okazało się to niepotrzebne, bo nagle z ciemnych krzaków wytarabani się opatrznociowi Jezus z Anielem, którzy nie zauważeni przez nikogo skoczyli znów do obozu po apteczkę.

Przywitało ich wielkie brawo i śmiech, ponieważ i ze zdenerwowania, i z nieświadomości, co brać, przydźwigali z pokoju lekarskiego całą szafę z medykamentami. Doktor krzyczał na nich, bo jakieś wartościowe lekarstwa potłukły się przy takim transporcie, ale wszystko jakoś się wreszcie uspokoiło. Rany zostały opatrzone, zastrzyki znieczulające wykonane, środki nasenne skonsumowane i nasze bohaterki otulone ciepłutko zaczynały już drzemać po wielkich emocjach.

Wróciliśmy znów do stadium oczekiwania.

Ja oddałam się temu zajęciu z większą niż przedtem otuchą, bo przymówiłam się doktorowi i napompo wałam podwójną porcją waleriany. Uodporniona w ten sposób na wstrząsające wrażenia nie pokłóciłam się nawet z Sabina, która pomimo wypadku z Frączakową i Stępniozną ciągle wściekała się na to siedzenie w pieczarze.

O godzinie dziesiątej rano zapeklowani w najgłębszych głębiach pieczary usłyszeliśmy straszliwy rwetes i wrzask, który podniósł się u wylotu.

— Niemcy! Niemcy! — histeryzowała jakaś kobieta blisko nas. — Oni nas zagazują!

Przez krzyczących ze strachu tych w środku, nie można było usłyszeć tego, co wrzeszczą znajdujący się na początku. W każdym razie działo się coś niezwykłego. Na wszelki więc wypadek zaczęłam wpychać głowę pod zgięte kolana Sabiny, gdy nagle Zula wyrznęła mnie z całej siły w wystawioną, jak zawsze na łaskę Opatrzności, odwrotną stronę medalu i zawyla:

— Amerykanie!!! Amerykanie!!!

Wrzask podniósł się jeszcze większy i o mało nie rozwalił całej góry.

Wojna się skończyła! Wojna się skończyła!

Nie potrzebuję chyba wspominać, jak płakałyśmy ze wzruszenia, jak padałyśmy sobie w ramiona, ściskając się i całując...

Nie potrzebuję chyba wspominać, w jak podniosłym nastroju znalazłyśmy się słuchając wywodów Ireny, że:

...skończyły się już wszelkie lęki, wszelkie strachy, skończyły się chłody, głody, poniewierka...

...skończyła się zachłanność ludzka i brutalność...

...zaczyna się nowa era, nowy, wspaniały świat...

...ludzie oczyszczeni w morzu krwi, wyjdą z tego doświadczenia odrodzeni moralnie...

...człowiek człowiekowi będzie bardziej życzliwy niż brat bratu...

Sabina tylko miała swoją sceptyczną minę, ale że bardzo lubiła Irenę, trzymała język za zębami i nie zepsuła nam tej tak wzniosłej chwili.

Mnie zaś Asmodeusz składał powinszowania i serdeczne życzenia. Zachwycona i szczęśliwa wkroczyłam w „piękne dni Aranjezu”.

II. PIĘKNE DNI ARANJUEZU

porcja pierwsza



I. ŚWIĘCI JERZOWIE

— Czy każdy amerykański żołnierz nie wydaje wam się jak święty Jerzy? — zapytałam.

— A dlaczego? — zareagowała tylko Asia, podczas gdy pozostałe moje przyjaciółki popatrzyły na mnie dziwnym wzrokiem.

— Dlatego, Asiu — brnęłam dalej — że jak święty Jerzy, który porzucił dostatni, wygodny dom i poszedł walczyć ze smokami, oni...

— Tak, Asiu! Oni, czyli taka duża kupa świętych Jerzów, wydarła właśnie pięć niewinnych a pięknych dziewcząt ze szponów faszystowskiego smoka — dokończyła Sabina z jedną ze swych najobrzydliwszych min.

Te drwiny sprawiły, że zaniemówiłam ze złości.

— No to najwyższy już czas, żebyśmy sobie obejrzały naszych wybawicieli — rozładowała napięcie Zula i poderwała nas na nogi.

Ale okazało się, że do tego samego przeświadczenia doszło w tej samej chwili ponad sześćset osób zatarasowanych w pieczarze i gdy wszyscy naraz ruszyli do wyjścia, powstał taki rwetes i ścisk, że o mało nie potratowaliśmy się i nie pomordowali przy tej okazji.

Ja dostałam po karku od jakiejś Francuzki i niewiele brakowało a przewróciłabym się, zaplątawszy nogi w czyichś tobołkach.

Nawet najbardziej rozegzaltowane spojrzenie nie mogło w żadnym amerykańskim żołnierzu dopatrzeć się podobieństwa do świętego Jerzego. Wysocy byli, dobrze odżywieni, szerocy w ramionach, a wąscy w biodrach. Chodzili jakimś dziwnym, miękkim, kocim krokiem i przypominali raczej zawodową drużynę sportową. Tępe, proste twarze, nie wykazujące indywidualności, poruszały mechanicznie szczękami żującymi gumę. Również z lekka zachwiało się nasze wyobrażenie o żołnierzu przyfrontowym. Amerykanie wypoczęci, wyspani, świeżo ogoleni, pachnący czystością robili wrażenie chłopców, którzy dziś rano wyjechali z komfortowych domów na samochodową wycieczkę.

My, zagłodzone brudasy z pieczary, wyglądaliśmy na ich tle jak ludzie z innej epoki i z zupełnie innego zdarzenia.

Gdy więc znudziło się już nam manifestowanie wdzięczności i radości z okazji wyzwolenia — na co patrzyli z zimną, znudzoną i zblazowaną obojętnością, ponieważ co dzień dawali

wolność gromadom auslendrów i okrzyki na ich cześć, polewane łzami, już im bokiem wychodziły — ogarnął nas dla odmiany szal bojowy i bardzo się niecierpliwiliśmy, że ciągle siedzimy w lasku, a nie pędzimy na Niemców.

Wszystkie nasze grupy narodowościowe doskakiwały do flegmatycznych olbrzymów, wykrzykując w różnych językach informacje o bezbronności Neustadt. Ażeby podnieść Amerykanów i wprawić ich w bojowy trans, wymachiwaliśmy patykami, w które w braku innego uzbrojenia zaopatrzyliśmy się natychmiast, jak na komendę.

Ramię przy ramieniu z aliantami chcieliśmy wyrzucić naszą zemstę na Niemcach, przyczynić się do rychlejszego zakończenia wojny i prędzej... prędzej... zajmować nowe tereny... oswobadzać innych ludzi... a przede wszystkim lecieć i bić Niemców... bić Niemców...

Żądza odwetu krwawą mgłą przesłoniła nam oczy.

Wrzeszczeliśmy więc zgodnie, my, bohaterscy Europejczycy, co pokolenie wyrzynający się między sobą, o bitwę... o walkę... o...

No i co?

No i nic!

Amerykanie ani sami się nie ruszyli, ani nam na Niemców nie pozwolili się wypuścić.

W końcu o mało się w tym lasku nie pobiliśmy z naszymi wybawicielami.

Bo jakżeż to wszystko wyglądało?

To to był front?

To taka jest ich amerykańska wojna?

Front, do cholery, czy piknik?

Okazało się jednak, że tego dnia to nie był front, a naprawdę piknik w lesie, i to piknik „comfortable”, zorganizowany przez Amerykanów dla Amerykanów.

Gdy więc nasz zapal bojowy spalił na panewce wskutek czy to poszanowania przez żołnierzy rozkazów, czy ślamazarności ich usposobienia i gdy nie udało nam się poderwać aliantów do ataku na zęby, pazury i na patyki, rzuciliśmy się do politykowania. Wyłapywaliśmy Amerykanów władających znanymi nam językami i usiłowaliśmy ustalić z nimi warunki zakończenia wojny. Francuzi przesuwali swoje granice daleko na wschód, Polacy daleko na zachód. Włosi-badogliowcy też wykrzykiwali o swej wieloletniej krzywdzie, żądając rekompensaty, Amerykanie zaś patrzyli na nas, jak na natrętne, brudne, za bardzo już nerwowo podskakujące pchły i zatykali nam rozgadane twarze gumą do żucia.

Czym się w końcu zakończyło nasze podniecenie z powodu wyzwolenia?

Wstyd mi, ale uczciwe traktowanie prawdy historycznej zmusza do wyznania, że to wszystko zakończyło się żebranią.

Amerykanie wielkopańskim gestem rozdawali nam jakieś puszcзки, celofanowe torebeczki, a my wałęsaliśmy się między nimi, chwytając to co dawali, ponieważ godność nasza znajdowała się już w stanie szczątkowym, a wielomiesięczny głód odezwał się ze zdwojoną nagle siłą.

Gdy już wydawało nam się, że posiadamy zawrotne ilości przepysznego żarcia, wycofałyśmy się naszą paczką z tłumu i założyłyśmy własne obozowisko pod wysokim dębem. Nad zdobytymi skarbami troskliwą opiekę roztoczyła Sabina. Najpierw wydzieliła każdej z nas po jednej puszcze „meatu”. Do tego dołożyła po paczuszcze słonawych sucharków w celofanowych torebkach.

— Niech nikt się do mnie teraz nie odzywa i nie przerywa mi rozkoszy, którą przeżywam — odezwała się, czując nieprawdopodobnie fantastyczny smak na języku.

Ale to ostrzeżenie było zupełnie niepotrzebne.

— Jeszcze! — jęknęłyśmy. — Jeszcze, tego samego!

Ale tego samego było już trochę przymało. Oblizując się więc nerwowo czekałyśmy, aż Sabina skrupulatnie rozdzieli cztery puszcзки na pięć równych części. Zjadłybyśmy co prawda po dziesięć takich puszczek, ale dobre było i to, co otrzymałyśmy.

Z większą już teraz cierpliwością zaczęliśmy segregować nasze skarby. Tutaj została wzięta do galopu Irena i jej wątpliwej wartości angielszczyzna.

— Kawa! Guma! Kawa! Guma! Kawa! Guma! Guma — mamrotała rzucając na różne kupki i segregując małe kartoniki w cynfolii. — Puder cytrynowy! Guma! Guma! Puder pomarańczowy!

— Puder? — zdziwiła się Asia. Irena przebiegła oczami instrukcję.

— Z tego robi się sok.

— Oooo! — zaszepotałyśmy z nabożnym zachwytem.

— Spróbujemy, gdy wrócimy do obozu — zawyrokowała Sabina.

— Cukier! Guma! Cukier!

Na cukier rzuciłyśmy się i pożarły w mgnieniu oka. Taki sam los spotkał jeden kawałek nugatu i dwie tabliczki czekolady, przy której jedzeniu znów mistyczna cisza zapanowała pod naszym dębem.

— Amerykanie są jednak nadzwyczajni — stwierdziła Zula.

— Niech żyją! — wrzasnęłam i tak się rozochociłam, że nagle ni z tego, ni z owego machnęłam na trawie koziołka. Asia poszła naturalnie natychmiast w moje ślady, ale że z wielkiego zapału nie zdążyła wybrać odpowiedniego miejsca, wylądowała drewnianymi trzewikami na paczce amerykańskich papierosów i oberwała od Sabiny bolesnego klapsa.

— Dlaczego jednak mają takie głupie gęby? — zapytała nagle Zula zapatrzona na sąsiednią grupkę żołnierzy.

— To nie są gęby głupie, tylko drewniane — powiedziała Irena. — My Europejczycy mamy indywidualność wypisaną na twarzach, a oni pewno chowają ją w swoim wnętrzu.

— Wnętrze ich zdaje się wypełnione jest tylko gumą do żucia — zakwestionowała Sabina, pokazując oczami na ruszające się szczęki, a dramatycznym ruchem ręki na nasze uźbrane skarby. — Do jedzenia dali nam tyle, co kot napłakał, a z tymi ilościami gumy można by założyć sklepik średniej wielkości.

Resztę dnia spędziłyśmy więc na żuciu gumy, paleniu papierosów, na obserwowaniu i oczekiwaniu, co dalej.

O godzinie piątej z okolicznych lasków i krzaków wyruszyły na Neustadt chmary wojsk amerykańskich, jadąc na czołgach, samochodach, samochodzikach i wielkich samochodziskach. Nikt się nie zmęczył przebyciem pieszo tej zaledwie kilometrowej trasy. Taka wojna bez huków, bez strzelaniny, bez biegów i upadań, bez walk o każdą ulicę, o każdy dom nappełniła serca nasze pogardą.

O godzinie szóstej, gdy już było po wszystkim, czyli po defiladzie amerykańskiego transportu samochodowego przez zastraszone niemieckie miasteczko, pozwolono nam wrócić do obozu. Ale niewiele mieliśmy czasu na krytykowanie amerykańskiego systemu prowadzenia wojen, ponieważ zajechała kuchnia wojskowa i zaczęto nam wydawać nieprawdopodobnie smaczną potrawę, składającą się z makaronu i sosu mięsnego.

Tratując się, rozpychając, walcząc między sobą o zdobycie jak największej ilości tych rozplywających się na języku i nareszcie pożywnych darów, nie tyle bożych, ile amerykańskich, zaczęliśmy znów wychwalać aliantów pod niebiosy.

Ten makaron przekupił nas i sprawił, że zapomnieliśmy o urazach i żalach. Ogarnął nas znów krańcowy podziw, zachwyt i entuzjastyczna wdzięczność dla tych, którzy wybawili nas z niedoli i niewoli.

Syte wrażeń i nareszcie niegłodne, ułożyłyśmy się do snu późnym już wieczorem.

— Och, spać! spać! — mamrotała Sabina. — Już chyba i ty wyśpisz się nareszcie spokojnie

— zwróciła się do mnie.

— Uhum... — odburknęłam, naciągając koc na głowę i prawie natychmiast zasypiając.

Obudziło mnie dziwne kolebanie drewnianego łóżka, którego górne piętro było moim legowiskiem. W oparach snu coś mi się majaczyło, że na luksusowym okręcie jadę do

Ameryki, ale zduszony głos Sabiny, dobiegający z dołu, dość szybko pomógł umiejscowić mi się w czasie i w przestrzeni.

— Ach, ty bydlaku — usłyszałam i bardzo się zdziwiłam, z kim i po co Sabina kotłuje się na dolnym łóżku w ciemności i wprowadza moją górną grzędę w wibrację wytrącającą ze snu. Wychyliłam się za burtę łóżka, ażeby spróbować dojrzeć, co się tam na dole wyprawia, gdy nagle czołem wyrznęłam o czyjąś głowę, która zamajaczyła na wysokości posłania.

— Czego? — warknęłam przerażona.

— Ona pyta inteligentnie: czego? — zawołała z dołu Sabina. — Właśnie: tego!

Jednocześnie głowa zaczęła coś bełkotać po angielsku, a reszta ciała od tej głowy zaczęła się wspinać na moje wyżyny.

Zdębiałam, ale szept Ireny z sąsiedniego łóżka, instruujący rzeczowo o sytuacji, pobudził mnie do czynu. Zaczęłam spychać nieproszonego gościa, który wreszcie stracił równowagę i gruchnął na podłogę.

To zdaje się bolesne zetknięcie z deskami podłogi rozjaśniło w zawianej alkoholem głowie. Zorientowawszy się, że to chyba nie tu, klnąc i zataczając się powędrował w głąb sztuby, gdzie go zapewne przyjęto bardzo wdzięcznie.

Siedziałam na łóżku z lekka oszołomiona. To co wyprawiało się w ciemnościach naszej sztuby, było zaskakujące i owszem bardzo pouczające.

To to tak może być? — rozmyślałam.

Irena poinformowała mnie szeptem z sąsiedniej górnej grzędy, że już od dawna przeniosła się do Asi, bo wygodniej z góry odpierać ataki, że Sabina stoczyła na dole już trzy zwycięskie bitwy, że nie chciały mnie budzić, gdy nareszcie zaczęłam odsypiać jaskiniowe zaległości, tym bardziej że poza obrzydliwością sytuacji właściwie rzeczywistego niebezpieczeństwa raczej nie było.

Pokiwałam smętnie głową nad tym niesamowitym światem i szybko przestałam się dziwić, ponieważ znużenie po wielu nie przespanych nocach wpędziło mnie szybko w odmęty snu. Nowe gwałtowne zafalowanie łóżkiem i mętna sylwetka postaci wdrapującej się na górę zaalarmowały znów resztki mojej trzeźwości. Odrywając czyjeś ręce od desek łóżka i ramieniem odpychając głowę, która już majaczyła przy mojej twarzy, zapiszczałam nerwowo: — Co to?... Kto to?...

— Przecież nie święty Jerzy, tylko ja — odezwał się nagle przy moim uchu rozzłoszczony głos Sabiny. — Przestań mnie spychać i posuń się.

Otrzeźwiałam zupełnie i pomogłam Sabinie wdrapać się na posłanie.

Resztę nocy przesiedziałyśmy w naszych górnych fortcach to drzemiąc, to odpierając ataki pijanych żołnierzy. Dopiero gdy zaczęło dnieć, nastał spokój i przespałyśmy parę godzin. Zula ze swej sztuby przyszła do nas na śniadanie też wściekła i zmaltretowana bezsennością. A samo śniadanie przyniosło znów jeszcze jedno wielkie rozczarowanie. Chleb był czarny, niemiecki, tyle że w większej ilości niż nasze dawne głodowe porcje, czarna lura kawowa ledwo posłodzona, a marmolada z czego? — no naturalnie z buraczków. Gejsze zaś przy tym samym stole objadały się pysznymi konserwami amerykańskimi.

Wyszłyśmy na obóz pełne niesmaku i zawodu, z zalem, że cnota jednak nie popłaca.

2. JEST TAKŻE MOWA O ROZMNOŻONYCH JEŹDŹCACH APOKALIPSY

Przez długie lata wojny każdy marzył najpierw o doczekaniu jej zakończenia, a następnie umówiwszy się już ze swym przeznaczeniem, że dożyje tego dnia, przystrajał go w wyobraźni w najświetlańsze kolory. Nic więc dziwnego, że aż uginaliśmy się pod brzemieniem rozczarowania, które się na nas zważyło.

Wyzwolenie dało nam bezpieczeństwo fizyczne. Ale jakoś bardzo szybko przyzwyczajeni do tego daru, przestaliśmy się nim wzruszać.

Przed paroma jeszcze dniami istniało zagadnienie: Niemcy i my. Niemcy byli w miasteczku, my w obozie. Z wyzwoleniem niewiele się zmieniło. Niemcy pozostali w miasteczku, poza paroma budynkami zarekwirowanymi dla Amerykanów, a my pozostaliśmy w obozie. Z wielką radością poodpruwaliśmy żółto-fioletowe litery „P” i chodziliśmy po Neustadt nie jezdnią, jak dotychczas, a chodnikiem.

— Straszna mi satysfakcja — zgryźliwie komentowała te zdobycze moralne Sabina, porównując stroje Niemek z naszymi brudnymi roboczymi kombinezonami.

— Nie martw się. Na pewno dadzą nam jakieś przyzwoite ubrania — pocieszała Irena.

— Tak! Dadzą! Ale kiedy? — irytowała się Sabina. — Niemcy dalej śpią na puchach, a my na gołych siennikach. Niemcy dalej mają wszystko, a my jak przedtem nie mamy nic.

— Pani Ireno! — dogonił nas Franek. — Pani zna angielski, prawda?

— Tak, trochę — odpowiedziała Irena.

— Widzi pani! Kapitan Jack kazał mi zorganizować obóz i być na razie jego komendantem. Potrzebuję w sekretariacie kogoś, kto dogadywałby się z Amerykanami, gdy przyjeżdżają do obozu. Czy pani zgodziłaby się pracować i prowadzić sekretariat?

— Naturalnie — ucieszyła się Irena i popędziła za Frankiem z powrotem do obozu.

— Zobaczycie! Zakopie się znów po czubek głowy w robocie — ponuro przepowiadała Sabina. — Ona jest tytan pracy. Kocha pracę i praca ją kocha — zrzędziła dalej, gdy wracaliśmy z miasta, w którym tak jak dawniej nie było nic do roboty.

Mijając barak komendantury zobaczyłyśmy, że jeden z dwóch pocisków artyleryjskich, które spadły na obóz podczas ostrzeliwania miasta, upadł na chodnik, rozwalając kawałek ściany i okna w jednym z pokojów. Zatrzymałyśmy się, kontemplując bezmyślnie puste wnętrze, opuszczone przez Niemców, dotychczasowych lokatorów.

— Milczcie! Nie przeszkadzajcie! Ja myślę twórczo — wyszeptała Sabina.

Zamarłyśmy wpatrzone w nią z natężeniem.

— Mam — odsapnęła. — Czekajcie tu na mnie — rozkazała i tajemniczym galopkiem pognąła wzdłuż baraku.

Po paru minutach głowa jej pokazała się w drzwiach pokoiku, kiwnęła nam konspiracyjnie i zniknęła znów w długim korytarzu idącym środkiem baraku. Po paru minutach głowa Sabiny znów pokazała się w drzwiach i reszta jej postaci tym razem wkroczyła do pokoju.

— Jakież z nas idiotki — oznajmiła pocieszająco na początek. — Okazuje się, że urzędnicy uciekli z baraku i przeprowadzili się do miasta. A różni spryciarze pozajmowali już wszystko oprócz tego rozwalonego pokoiku. Zaraz po powrocie z lasu należało nam o tym pomyśleć. Ominęłyby nas przyjemna noc w towarzystwie tych strasznych gejsz.

— No to zajmujmy chociaż ten pokoik — zawołałam.

— A co zrobisz, jak przyjdzie w nocy większa liczba świętych Jerzych? Drzwi mają co prawda klucz, ale okno i ściana rozwalone...

— Może nam kto pomoże nareperować — zawołała Zula. — Czy przyjmiecie mnie na piątą? Och weźcie mnie z sobą — zaczęła pomiaukiwać.

— Naturalnie — zgodziła się Sabina. — Przestań jęczeć. Lećcie więc i przenoście łóżka. Tu stanie nasze, tu Ireny i Asi, a tu twoje — meblowała już pokój Sabina. — Ja zostaję pilnować pokoju.

Reszta dnia z krótką przerwą na obiad (pyszna grochówka, chyba na mięsie) zesła nam na urządzeniu nowego miejsca zamieszkania. Pokłóciłyśmy się i zdenerwowały przy tej okazji tylko parę razy.

A to Zula nie chciała zawalić pokoju szafką, którą przydźwigałam z Asią z dawnej sztuby.

— Po cóż nam szafa, jeśli nie mamy nic do chowania — dowodziła.

— Jak będzie szafa, to znajdą się i rzeczy. Grunt wysoko i ambitnie mierzyć — ucięła sprawę Sabina.

A to znów mnie się dostało, że nie potrafiłam „postarać się o piąty taboret, którego nam brakowało.

A to trzeba było błagać Francuza, ażeby odpiłował górne łóżko Zuli w jej dotychczasowej sztabie.

To znowu Asię zwymyślał kucharz, gdy ciągnęła spod kuchni wielką deskę na zabezpieczenie naszej dziury w ścianie.

A to Zula nie chciała zawołać do pomocy uniwersalnych Jezusa i Anioła. No ale wszystkie te sprawy likwidowała w zarodku Sabina i cały dzień upłynął pod znakiem jej zaradnej indywidualności. I wszystko, co się działo, było dzięki Sabinie, przez Sabinę i chwała za to Sabinie.

Irena naturalnie cały dzień przepracowała w biurze.

— Wyobraźcie sobie — opowiadała nam podczas kolacji. — Przeglądając ewidencję mieszkańców obozu sprawdziłam, że profesor Zarzycki jest naprawdę profesorem gimnazjalnym.

— No to co? — zapytałyśmy.

— Poprosiłam go więc, gdy nawinął mi się w biurze, ażeby dawał Asi lekcje — zakończyła triumfująco.

Oniemiałyśmy.

— Jak długo masz zamiar tutaj siedzieć, że rozmyślasz o lekcjach dla Asi? — wykrzyknęła Sabina głosem pełnym niepokoju.

— Z tego, co mówią Amerykanie, wynika, że parę tygodni będziemy tu czekać na zakończenie wojny, na jakąś formę ustalenia wszystkich spraw i na transporty...

— To przynosisz pocieszające wiadomości — jęknęła Zula.

— Właśnie. Ponieważ to wszystko wygląda niezbyt różowo, chciałabym, żeby Asia wciągnęła się w regularny tryb życia. Nie dopuszczę, żeby się pod moją opieką wykoleiła. Dotychczas nie miałam żadnych możliwości, musiałam się więc zgodzić na ten nienormalny stan rzeczy, ale od jutra Asia zacznie lekcje z profesorem i przynajmniej przypomni sobie, to, czego się przedtem uczyła, a może i czegoś nowego się nauczy.

— Och, ciociu! Dziękuję! — zawołała rozradowana Asia, rzucając się Irenie na szyję. — A skąd będę miała książki? Zeszyty?

— Książek na razie przecież nie ma. Będą to lekcje improwizowane przez profesora. Zeszyty mam w biurze i jutro dostaniesz. Zresztą profesor najpierw sprawdzi, co już umiesz.

— Zdobycie tego pokoju wcale nam szczęścia nie przyniosło — powiedziała smutno Sabina, opierając głowę na rękę. — Przedtem żyłyśmy jak te ptaszki na gałęzi, luźno z sobą związane, w każdej chwili gotowe do powrotu w poprzednie życie. Tak nam się w każdym razie wydawało. A teraz, zamieszkawszy razem, założyłyśmy jakby rodzinę. Nawet Asia zaawansowała Irenę na „ciotkę”. No cóż! Trudno. Trzeba się będzie przestawić na dłuższy tu pobyt.

— Pani Ireno, przyszedłem zapoznać się ze swą uczennicą — odezwał się nagle za oknem głos profesora. — Zaczekam na panie na schodkach.

— Chodźcie! — zawołała podrywając się Irena. — Chodźcie! Pogadamy sobie z profesorem.

— Ja jestem za smutna. Wolę się wcześniej położyć — powiedziała Sabina.

— I ja też — przyłączyła się Zula.

— Tętent kopyt Czterech Jeźdźców Apokalipsy zniknął właśnie za horyzontem... O!... Tak zacząłbym pamiętnik w tym historycznym dla nas momencie — poradził zafrasowanej Asi profesor, patrząc w zamyśleniu na ciemniejące niebo za barakami.

Asia aż westchnęła z zachwytem. Nie mogłam się zorientować, czy westchnienie to odnosiło się do profesora, czy do pięknego zdania wygłoszonego tonem troszeczkę na pokaz.

Zastanawiałam się, co z tego zdania dotarło do świadomości Asi, gdy cichą atmosferę,

przerwało nagle zakołysanie się roztrzęsionych schodków, na których siedzieliśmy. To zareagowała z żywością Irena, najpierw podskoczyła, a potem powiedziała ostrym tonem:

— Nonsens, kochany profesorze! Nonsens!... Gdzie tam... Cała kupa nonsensów...

Profil profesora, odcinający się od zachodzącego słońca, stracił na urodzie, jakoś wyciągnął się z niesmakiem i niezadowoleniem.

— Dlaczego? — spytał głosem, w którym gromadziła się irytacja.

— Dlatego — podjęła Irena — że tętent kopyt nie może niknąć. „Niknąć” jest pojęciem wzrokowym, a nie słuchowym.

— To drobiazg. Tak! Tętent nie niknie, a cichnie. I to co powiedziałem nie jest nonsensem, ale przejęzyczeniem.

— Wszystko, co pan powiedział, jest nonsensem. Jakżeż Asia może zaczynać pamiętnik zdaniem o Czterech Jeźdźcach Apokalipsy? Co ona o nich wie? To jest śmieszne i pretensjonalne zdanie, wyciśnięte już do ostateczności po pierwszej wojnie światowej. Przecież Asi nie było na świecie, gdy wzruszał nas film z Rudolfem Valentino, a wtedy to określenie było modne.

— To, co pani teraz mówi, jest nonsensem — przerwał Irenie profesor tonem pełnym satysfakcji. — Co tu ma wspólnego film z Valentino? Pojęcie Czterech Jeźdźców Apokalipsy zawsze wiąże się z pojęciem wojny. Przepowiednia świętego Augustyna bardziej może tyczyć się tej wojny niż poprzedniej.

— Nic podobnego! Tamtej wojnie może wystarczyło Czterech Jeźdźców, ale ta na pewno zatrudniła ich cały tabun. Ileż nowych form tortur wynalazła dla udręczonej ludzkości. Piąty Jeździec powinien być patronem bombardowania. Szósty obozów koncentracyjnych, Siódmy rozstrzeliwań ulicznych, Ósmy tragedii żydowskiej, Dziewiąty beznadziejności oflagów, Dziesiąty tratował nas, wywiezionych na roboty... Och, można by wyliczać do wieczora.

— No to niech pani przestanie wyliczać, bo już jest wieczór — przerwał sarkastycznie profesor. — Poza tym odbiegliśmy od przedmiotu naszej rozmowy. No i chce pani, żebym uczył Asię, a przy niej podważa pani mój autorytet. Przypominam o naszej umowie, że pani będzie ją wychowywać, a ja będę ją uczył. Razem zaś postaramy się dać jej trochę beztróskiego dzieciństwa, teraz właśnie, gdy Czterech Jeźdźców Apokalipsy zniknęło za horyzontem. A ponieważ nasza dzisiejsza narada nie ustaliła niczego, pozwolę sobie życzyć paniom dobrej nocy.

Podniósł się ze schodków, złożył przesadnie niski ukłon przed Ireną i zniknął za rogiem baraku.

— Co on się tak uczepił tych Czterech Jeźdźców Apokalipsy? — zapytała nie wiadomo kogo Irena, patrząc osowiałym okiem na róg baraku. — I dlaczego się obraził? — dodała niepewnie.

— Nie przejmuj się tym, Ireno — objęłam ją w pól. — Jemu i jego autorytetowi do jutra przejdzie uraza. I wszystko będzie dobrze — dodałam serdecznie.

W mroku zamajaczyły na ścieżce dwie kobiece sylwetki.

— Józia? Hala? Tu czekacie? — zawołał w stronę schodków kobiecy głos.

Już miałam się odezwać, gdy Irena odpowiedziała ostro i cierpko:

— Nie ma tu żadnej Józii.

— To jaśnie pani Putzfrau od ubikacji czeka na Amerykańców — bluznęło z ciemności i dwa głosy roześmiały się z szyderstwem.

Irena ciężko podniosła się ze schodków.

— Chodźcie! Trzeba iść spać mimo wszystko — powiedziała ze zniechęceniem.

Weszliśmy do baraku w ciemny już zupełnie korytarz.

— Ciociuniu! Stop! To tu! — zatrzymała nas przyciszonym głosem Asia, która przezornie liczyła drzwi mijane w ciemnościach.

— Dlaczego tak późno przychodzicie? Kładźcie się po ciemku i nie budźcie nas, bo już śpimy — zaszemrał głos Sabiny.

— Psiakrew! — zakląłam, zawadziwszy boleśnie biodrem o stół.

Dwa stłumione chichoty zabrzmiały od strony łóżek.

— O, panie wcale nie śpią! — zawołała Asia.

— Nie śpimy, ale chcemy nareszcie spać.

Asia zdjęła więc swoje drewniaki i zostawiła w tym miejscu, w którym stała, następnie wyciągnawszy ręce zaczęła macać przed sobą w ciemności. Zimne jej ręce natrafiły na szyję Ireny.

— Asiu! — wrzasnęła Irena.

— Och, przepraszam — roześmiała się nerwowo Asia. — Ale nic nie widzę. Ciociu, teraz wchodzę na twoje łóżko.

— No, prędko — popędziła ją Irena. — A nie śpij w kombinezonie. Zdejmij go nareszcie. Już się skończyły naloty i konieczność spania w ubraniu.

— Nie zdejmujcie kombinezonów! — zawołała z ciemności Sabina. — Skąd możemy wiedzieć, co nam dzisiejsza noc przyniesie? Przecież okno i kawał ściany wyrwane. A tylko patrzeć wizyt Amerykanów.

Asia przewieszona na brzuchu przez krawędź piętrowego łóżka zaczęła znów chichot, łóżko zafalowało i zaczęło skrzypieć. Zirytowana Irena podepchnęła Asię i przyłożyła jej klapsa.

— Ciszej! Uspokój się i śpij! A ty musisz o tych rzeczach mówić przy Asi? — krzyknęła na Sabinę.

— A od kiedy to Asia taka nieświadomiona? Zresztą nawet jeśli taka była, to teraz już wie wszystko o życiu i ludziach, bo się podczas poprzedniej nocy doksztąpiła. Nie lubię pruderii. Dobranoc.

Już prawie zasypiałyśmy, gdy nagle koło baraku dały się słyszeć mocne, pewne siebie kroki. W chwilę potem przeszła znów większa grupa. Zamarłyśmy i wstrzymały oddech, nasłuchując przyciszonych rozmów i przytłumionych śmiechów.

— Jasna cholera niech ich trzaśnie! — zakląła Sabina. — Kiedyż my się wyśpimy?

— Może lepiej było nie ruszać się z ogólnej sztuby? — zaczęła nagle żałować Zula. — Byłyśmy tam w większych gromadach, to może było bezpieczniej.

— Nie przeklinaj Amerykanów, Sabino — zawołałam na nią groźnie. — Przecież oni naprawdę zostawili swoje domy, swoje rodziny i przyszli tutaj do Europy, żeby nas wyzwolić, narażając życie.

— Wyzwolić! Wyzwolić! — przedrzeźniała Sabina. — Nie bój się o nich. Na pewno jakiś dobry interes na tym zrobią. Wyzwolili! Ale czy zaopiekowali się nami? Drugą noc spać nam nie dają. A jak są pijani, to się trzeba z nimi szarpać. Jako osobie zrzurowanej, wywiezionej i udręczonej przez Niemców, należy mi się opieka i szacunek. A tymczasem przez dwie już noce te bydlaki nie dają nam spać.

— Mężczyźni są zawsze mężczyznami, a przyfrontowe wojska...

— Zlitujcie się, bądźcie cicho. Znów idą — zaszepiała Zula.

Kroki zatrzymały się przy dziurze w ścianie baraku, zawieszanej czterema poszczepianymi kocami. Naprężona nasłuchiwaniami cisza zapanowała po tej i po tamtej stronie kurtyny. Następnie koce zaczęły się wyginać coraz głębiej w kierunku pokoju. Ostre światło latarki ręcznej zaświeciło po obu stronach zasłony. Do pokoju przez wybitą dziurę zaczął ktoś wchodzić. Parę głosów w bełkotliwym amerykańskim języku dodawało odwagi ze ścieżki amatorowi nocnych wrażeń.

— Asia pod siennik! Zula za szafę! — zakomenderowała Sabina łapiąc w rękę swoją maczugę, czyli kawałek drewna.

— Tutaj tylko stare kobiety! Tutaj tylko stare kobiety! — naśladując starczy głos zaczęła wykrzykiwać skrzekliwie Irena w swojej angielszczyźnie.

Gromki wybuch śmiechu odpowiedział jej ze ścieżki. Męska, wojskowa noga wycofała się z pokoju. Kurtyna opadła. Latarka zgasła. Jakies niezrozumiałe słowa padły z ust zawiedzionego żołnierza i kroki oddaliły się w głąb obozu.

— Jedenasty Jeździec Apokalipsy, a tętent jego kopyt jeszcze nie cichnie za horyzontem — odezwała się złowieszczo Irena.

— Co wam się stało? I o czym wy gadacie? — Sabina usiadła na łóżku. — Dla jednej każdej głupi żołnierz amerykański jest świętym Jerzym, dla drugiej znów Jedenastym Jeźdźcem Apokalipsy. Czy radość z wyzwolenia nie pomieszała wam trochę w głowie?

— Skąd jedenasty? Było ich przecież tylko czterech — włączyła się do dyskusji Zula.

— Ja tylko nawiązuję do pomysłu pisania przez Asię dziennika o historycznych walorach. Profesor tak zaczął z nią lekcję i takie jej piękne zdanie o tętencie na początek wymyślił. A że tych Jeźdźców było dawniej czterech, to nie potrzebujesz mówić, chyba każdy to wie. Tylko według mnie podczas tej wojny Jeźdźcy ci bardzo się rozmnożyli i jest ich teraz o wiele więcej, niż nawet wyobrażnia świętego Augustyna mogłaby wykombinować.

— Jak to?

— Zaraz ci wytłumaczę...

— Przestańcie, na miłość boską, gadać! Jutro będzie na to aż za dużo czasu — przywołała je do porządku dziennego, albo raczej nocnego, jak zawsze trzeźwa Sabina. — Prześpijmy się nareszcie choć trochę.

— O spaniu nie ma mowy — wtrąciłam się. — Lepiej czuwać i przegadać tę noc, to prędzej minie.

— Też masz pomysły! — obruszyła się Zula. — Ale... ale... Co wołałaś do żołnierzy, Ireno?

— Tutaj tylko stare kobiety! Here only old women!

— To świetny pomysł. Powtórz, bo się chcemy tego nauczyć. A w tej okropnej ich mowie bardzo trudno zapamiętać.

— Here only old women. ,-

— Hie ounli ould uumen. Niby to jakoś brzmi miękko i gładko, a język można złamać — martwiła się Zula podczas tej naszej pierwszej lekcji języka angielskiego.

— Ja tam wolę moją maczugę — stwierdziła kategorycznie Sabina. — Jak wczorajszej nocy przyłożyłam jednemu żołnierzowi przez plecy, to pomimo oparów alkoholu zaraz zrozumiał, że ma do czynienia z uczciwą kobietą.

— Ciociu! Idą znowu — zaszeptwała Asia i powstrzymała nasz wybuch śmiechu.

Przycichłyśmy w ciemności.

Kroki licznej grupy minęły nasz barak.

— Rzeczywiście trzeba będzie spać na zmianę — zgodziła się Sabina. — Która pierwsza weźmie dyżur?

— Ja — zgłosiła się Irena. — Jestem zupełnie wybita ze snu.

— A jak już będziesz chciała spać, to obudź mnie — powiedziała Sabina i z ziewnięciem przewróciła się na łóżku.

Pokój zaległa cisza.

Ułożyłam się wygodniej, poprawiłam pod głową stary podarty pulower i nareszcie usnęłam spokojnie.

3. SABINA A KANA, KANA A MORALNOŚĆ, MORALNOŚĆ A FORTEPIAN

Obudziłam się, gdy jasne, kwietniowe słońce wyskoczyło mi na twarz wskutek manipulacji z kurtyną, wyczynianych przez Asię. Chciałam odwrócić się na drugi bok i chrapać dalej, ale przypomniałam sobie o śniadaniu, co zelektryzowało mnie z miejsca i zlikwidowało senne zamroczenie.

— Śniadanie! Jedzenie! — ryknął we mnie zadawniony głód. Zaczęłam złazić z górnego łóżka, ale przez nieuwagę nadepnęłam na łokieć śpiącej Sabiny. Przeraziło to mnie straszliwie. Obklełam więc twarz w najradośniejszy uśmiech i zawołałam:

— Dzień dobry, droga Sabino!

Spojrzała na mnie ze złością.

— Czy każdego poranka musisz spacerować po śpiących przyjaciółkach?

— Dzień dobry — przerwała jej Irena.

— Oby dzień dobry — odpowiedziała ponuro.

— Nie bądź pesymistką! — zawołała radośnie Irena, chcąc wprowadzić inny nastrój i zlikwidować wiszącą w powietrzu kłótnię. — Mówię wam, że wszystkie biedy się skończyły. Tak bałyśmy się tej nocy, a przecież przeszła zupełnie spokojnie.

— „Asia pod siennik! Zula za szafę!” — zawołała Asia, usiłując przedrzeźnić głos Sabiny. Sabina już otwierała usta, ażeby tym razem ryknąć na Asię i skarcić ją za przedrzeźnianie, ale rozmyśliła się i roześmiała serdecznie.

— Rzeczywiście. Ta noc była bardzo śmieszna.

— Która to może być godzina? — zapytała Irena.

Asia zwinnie zeskoczyła ze swej grędy piętrowego łóżka, wystawiła nogę przez dziurę w ścianie i rozejrzała się po obozowym placu.

— Już przy kuchni jest ruch. O! Niosą kany z kawą do sztab. To już pewno jest po siódmej.

— No to trzeba wstawać — powiedziała Sabina wyłażąc spod koca.

Irena już była na nogach.

— Idziemy do łazienki! — zawołała.

— Dajcie mi spać — zamamrotała Zula i przekreśliła się do ściany, naciągając koc na głowę.

— To wy idźcie się umyć. Potem pójde ja z Zulą — powiedziała Sabina. — Teraz gdy mieszkamy bez okna i ściany, musi zawsze zostać ktoś w pokoju, żeby nas nie okradli.

— A co nam mogą ukraść? Cóż my mamy poza tymi kocami z pokrzyw.

— Koców też trzeba pilnować, czym się przykryjesz, jak je ktoś zwędzi? Idźcie prędko, bo konam z głodu — komenderowała.

Wyszłyśmy oknem, przyglądziwszy przedtem włosy.

W umywalni Irena stoczyła swoją codzienną walkę o mycie. Chudziutka, zagłodzona Asia, której zawsze było zimno, broniła się co dzień rozpaczliwie przed energią Ireny. Kwietniowe, poranne słońce nie miało nawet zamiaru ogrzać wilgotno-zimnej atmosfery łazienki, o kamiennej, zawsze zalanej podłodze. A Irena bezlitośnie wepchnęła Asię pod lodowaty prysznic i deklamowała, jak co dzień, o higienie. Asia wyła, jak topiony szczeniak. Ja zaś umyłam sobie tylko czubek nosa, radując się, że ostatecznie nie muszę słuchać Ireny.

— Zobaczysz, jak ci teraz będzie ciepło — obiecywała Irena swej przybranej siostrzenicy.

— Tak — urągliwie szczękała zębami Asia, nakładając podartą koszulinę na wilgotną skórę.

— Tylko my dwie myjemy się pod prysznicem. Reszta grzeje sobie wodę w sztabach.

— Ale my nie mamy piecyka. I zimna woda jest zdrowsza.

Gdy wróciłyśmy do pokoju, poza śpiącą i odwróconą do ściany Zulą nie zastałyśmy nikogo.

— Sabina widocznie zrezygnowała z pilnowania koców, jeśli się ulotniła — powiedziałam do Ireny, która zabrała się do rozplatania włosów Asi.

Codziennie przeglądanie głowy przez Irenę było dla Asi drugim okropnym przeżyciem porannym.

Wydostawszy się nareszcie z zachłannie obowiązkowych szponów Ireny, zaplotła warkocze.

— To ja już pójde po śniadanie — powiedziała.

— Dobrze — zgodziła się Irena.

— Nareszcie — musiałam i ja dołożyć swoje trzy grosze. — Ale musisz, Asiu, pożyczyć przedtem kanę. Jak zaczniesz nosić kawę w kubkach, to połowę wylejesz, tak jak wczoraj

wieczorem. Najlepiej skocz do sztuby kaliszanek. One są uczynne — komenderowałam zupełnie jak Sabina.

Już Asia miała wyskoczyć przez okno, ażeby popędzić w kierunku, gdzie mieszkały kaliszanki, gdy drzwi otworzyły się cichutko i na palcach wsunęła się Sabina.

— Ufff! — sapnęła. — Nareszcie!

Asia zatrzymała się niezdecydowanie z jedną nogą na zewnątrz baraku, zaintrygowana tajemniczą miną Sabiny.

A Sabina z tą swoją tajemniczą miną teatralnie przeciągała nasze zaciekawienie, prawą rękę trzymając za sobą.

— No?... — nie wytrzymałyśmy z Ireną.

— Podziękujcie! — zawołała tryumfalnie i postawiła na stole duży, brązowo emaliowany dzbanek, w który wchodziło szesnaście porcji kawy. Każda sztuba w obozie miała przydzielony taki dzbanek na noszenie śniadaniowej i kolacyjnej kawy.

— Kana — szepnęła oczarowana Asia.

— Skąd ją wzięłaś? — zapytała Irena.

— Skąd wzięłam, to wzięłam — odpowiedziała Sabina. — Przecież orientujesz się chyba, że nie wzięłam, tylko ukradłam, bo jak sobie damy radę bez kany? W czym będziemy nosić kawę, w czym wodę do mycia? Jak odłączyłyśmy się od względnie zagospodarowanych sztab, to musimy teraz zdobywać wszystko od początku. A czy zadba kto o nas? Widzicie przecież, że ja sama muszę się o wszystko starać.

— Jeżeli kradzież nazywasz staraniem się... — jęknęła Irena, siadając bezwładnie na łóżku.

— Wszystko jedno, jak to nazwiemy. Kana była nam niezbędnie potrzebna i kanę już mamy.

Asiu, poszukaj mi kamienia, prędziutko.

Asia wyskoczyła na plac.

— Musisz tę kanę odnieść tam, skąd ją zabrałaś — zaczęła Irena.

— Rządzić możesz Asią i jej rozkazywać, ale mnie nie wychowuj, proszę cię. Będę się starała na własną rękę, bo nie mam zamiaru siedzieć i czekać na sprawiedliwość.

— Czy już przestaniecie się kłócić i czy ktoś przyniesie nareszcie coś do jedzenia? — zajęczała Zula spod koca.

— Już zaraz — odpowiedziała Sabina. — Daj mi tylko scyzoryk.

Zula sięgnęła pod poduszkę.

— Masz — wyciągnęła rękę, nie odwracając się od ściany.

Sabina siadła na stołku i ostrzem scyzoryka zaczęła wydrapywać emalię z kany w przedziwne esy-floresy.

Asia podała przez okno znaleziony kamień i z zainteresowaniem obserwowała, jak Sabina wałąc kamieniem po dzbanku odłupywała z niego polewę w różnych miejscach.

— Teraz nie pozna cię własna matka i dawny właściciel — powiedziała do kany, poklepując ją z zadowoleniem. — Asiu, leć po śniadanie, tylko na jednej nodze.

Gdy Asia wyskoczyła przez okno, Irena znów napadła na Sabinę.

— Nie bądź śmieszna — przerwała jej przemowę Sabina. — Dzisiejszej nocy podjęłaś się dyżuru i zaraz zasnąłaś. I całe szczęście, bo gdybyś spostrzegła, co się dzieje w obozie, to co najmniej załamałabyś się psychicznie. Zawsze wyskakujesz z moralnością, rzetelnością i uczciwością. To może było dobre kiedyś i może kiedyś będzie dobre. Czeka! Nie przerywaj! Chcę wam opowiedzieć, co się działo w nocy i dobrze, że opowiem to teraz, gdy nie ma Asi, tylko mi nie przerywajcie. Obudziły mnie szmery i skradające się stąpania. Wysadziłam głowę przez okno. To nie byli Amerykanie. To byli warszawiacy z baraku naprzeciwko. Dźwigali jakieś wory. Wygramoliłam się więc z pokoju i pogadałam sobie z nimi, bardzo przyjaźnie i bardzo serdecznie. Ty zrobiłabyś raban i stworzyłabyś sobie tylko wrogów. Ja okazałam swój zachwyt i podziw. Dowiedziałam się, że „zrobili” dzisiejszej nocy jeden niemiecki sklep w miasteczku i właśnie taszczyli cukier do baraku. Mają zamiar pędzić z

niego bimber. Ponieważ nie chcieli mnie zaprowadzić pod adres im wiadomy, bo bali się, że popsuje interes, przymówiłam się o cukier dla dziecka, którym się opiekujemy. Wzruszyli się odpowiednio do mojej przemowy i dziś przyniosą nam trochę cukru... Widzicie? — zakończyła patrząc na nas tryumfująco.

— Widzę! Ale to jest straszne! To jest okropne! — jęczała Irena. — I to Polacy! — ubolewała, naprawdę bardzo przejęta i zdruzgotana.

— Ażeby uspokoić twój patriotyczny lament i przesunąć go na płaszczyznę ogólnoludzką, to ci powiem, że już miałam wracać, gdy posłyszałam, że coś się dzieje za barakami włoskimi. Poszłam więc w tamtym kierunku. I zgadnij teraz, co Włosi dźwigali do swego baraku od strony lotniska? Pozwalam ci zgadywać do trzech razy.

— Daj mi spokój! Nie będę zgadywać. Powiedz prędko, co te łobuzy zrabowały.

— Tylko nie łobuzy! Zaraz zmienisz o nich zdanie. Wyobraźcie sobie, że dwunastu zachudzonych, zagłodzonych chłopaków dźwigało piękny koncertowy fortepian.

— Fortepian?... — zatknęło nas zdumienie.

— Tak samo i ja stałam za barakiem ogłupiała. To wszystko wydało mi się bardzo zabawne i wiedzcie, że wyglądało jak pomysł filmowy. Cicha noc, uśpione baraki, księżyc odbijający się od polityry fortepianu, zdyszane, zawzięte sapania dźwigających chłopców. Przestałam się więc ukrywać i zawołałam do nich: „Bravo!” Przybiegli do mnie i zaczęli gadać jeden przez drugiego. Zrozumiałam z tego, że Bruno to „artista” i Angelo „artista” i Alfredo „artista” i że „domani”, czyli jutro, będzie u nich „concerto”. I „signora” Sabina została zaproszona na koncert — mówiła krygując się zabawnie. — Te dwie nie przespane godziny wzbogaciły mnie i dokształciły. Czyż w obliczu worków z cukrem i fortepianów będziesz mi jeszcze wymawiać tę jedną głupią kanę?

4. ORGANIZUJEMY

Śniadanie nie spełniło ani moich, ani niczyich pragnień. No cóż: czarny chleb, margaryna, kawa. To że porcje były większe niż przed tygodniem, nie było znów tak wielką pociechą. Dlaczego żołądek nasz znosił pokornie niedojadanie za niemieckich czasów, a teraz, za amerykańskich, tak bardzo wrzeszczał o więcej, o lepiej, o smaczniej?...

Gdy Irena zaczęła coś przy śniadaniu opowiadać o rozdawaniu rzeczy z magazynu, nastawiłyśmy uszu z myślą o żarciu, ale zainteresowanie tą sprawą bardzo szybko minęło na wiadomość, że do rozdania jest tylko bielizna pościelowa.

— A do jedzenia nie ma tam zupełnie nic? Na pewno? — dopytywałam się jednak z cieniem cienia nadziei.

— Są jeszcze jarzyny i trochę grochu. Ale to pójdzie do kuchni obozowej — odpowiedziała Irena. Przestałyśmy się więc zupełnie tą całą magazynową sprawą interesować. Jednak Sabina przypuściła do Ireny prawdziwy szturm i słówko po słówku wyciągnęła z niej informacje o ilości i jakości rzeczy w magazynie. Na wiadomość, że jest tam trochę prawdziwego mydła, napadła Irenę.

— Nie mogłaś przynieść choć jednego kawałka, jak tam już byłaś z Frankiem?

— Nie. Nie mogłam. Nie poszliśmy tam rozdzielać i rozdawać, tylko sprawdzaliśmy, ile czego jest. Jak się rozdzieli, to i my dostaniemy.

— No więc powiedz dokładnie, kiedy dostaniemy i kto ma klucz od magazynu — sapała ze złości Sabina.

— Klucz ma Franek. A rozdawać będziemy, gdy ustalę ostatecznie, ile jest ludzi w obozie. Schulz prowadził podwójną ewidencję. Inną dla fabryki, a inną, fikcyjną, dla celów gospodarczych. Pewno nad wieczorem będę już miała gotowe zestawienie do sprawiedliwego rozdzielania.

— Radzę, zrób to jak najprędzej, bo mój nos mówi mi, że zanim sporządzisz rozdzielniki, nie będzie już nic do rozdzielania — powiedziała Sabina, która celowała zawsze w oblewaniu Ireny zimną wodą.

— Wstydziałabyś się tak mówić. Ale właśnie! Chciałam prosić którąś z was do pomocy. We dwie zrobimy prędej. — Irena spojrzała pytająco na Sabinę.

— Mowy nie ma. Nie pomogę ci. Mam ważniejsze sprawy na głowie — odpowiedziała.

— Ja też wolę spać niż pracować — odezwała się nie pytana Zula i zagrzebała się z powrotem w koce.

Westchnęłam ciężko i podniosłam się jeszcze ciężiej od stołu, bo już wiedziałam, że to ja będę musiała iść z Ireną i urabiać sobie w biurze ręce po łokcie, jakby mi za to kto płacił.

Pracowałyśmy już chyba z godzinę, gdy Irena przypomniała sobie o Asi i o swoich obowiązkach wychowawczych. Zawołała ją do biura i wręczyła dwa zeszyty i ołówek.

— Teraz siadaj w pokoju i pisz dziennik, tak jak ci to wczoraj tłumaczył profesor. Gdybyś zaś nie dała sobie rady, to napisz wypracowanie pod tytułem... — postukała się ołówkiem po zębach.

— „Nasz obóz” — poddałam, ponieważ siedziałam pod oknem i właśnie panorama obozu włąziła mi przed oczy.

— O właśnie! „Nasz obóz” — zgodziła się Irena.

— To ja napiszę i wypracowanie dla cioci, i kawałek dziennika dla profesora — zaćwierkała Asia gorliwa do nauki, jak każdy uczeń w dniu pierwszego września.

— Ale przedtem skocz do baraku, gdzie mieszka pan Franek i poproś go, żeby tu przyszedł na chwilę.

Asia popędziła wyciągniętym klusem i po paru minutach wróciła z rewelacyjną wiadomością, że w sztubie Franka jest właśnie jakaś okropna awantura i że pan Marzecki strasznie krzyczy i że Franek nie może w tej chwili przyjść, ale przyjdzie niedługo.

— Cóż się tam znowu wyprawia? — westchnęła Irena, ale nikt jej w tej sprawie nie oświecił, zagłębiłyśmy się więc znów w wir kartotek, list i zestawień. Ale nie pracowałyśmy długo, bo nagle w drzwiach stanęła Sabina.

— Chodź no — zawołała do mnie. — Mam bardzo ważny interes. Ireno! Ona musi przerwać to pomaganie. No chodź prędko! — mrugnęła znacząco.

Bardzo zaintrygowana oddałam Irenie wykaz, zaznaczając kreską, do którego nazwiska został sprawdzony, i wyszłam za Sabiną.

— No? — zapytałam zaciekawiona.

— Zaraz — odpowiedziała i wyprowadziła mnie z baraku na plac.

— Dokąd idziemy? — zaczęłam się dopytywać.

— Idziemy tak, żeby wyglądało, że spacerujemy, a w rzeczywistości będziemy węszyć.

— Co to znaczy?

— Żebym ja sama wiedziała...

— Jak nie wiesz, to czemu odrywasz mnie od roboty. Irenie naprawdę trzeba pomóc.

— No więc właśnie. Ja też chcę pomóc i Irenie, i nam wszystkim. A przecucie mówi mi, że korzystniej będzie węszyć, niż robić wykazy.

— Nic nie rozumiem — powiedziałam w rozterce, bo jedna moja połowa chciała szlachetnie pomagać Irenie, podczas gdy druga wołała na kwietniowym słoneczku przechadzać się z Sabiną po obozowym majdanie.

— Buon giorno!

— Dzień dobry!

— Zdrawstwujcie!

— Bonjour! — biegło za nami, gdy przechadzałyśmy się po tej naszej wieży Babel.

— Czy Asia opowiadała wam o awanturze w sztubie Franka? — zapytała Sabina.

— Tak. A bo co?

— Więc właśnie nie wiem co. Ale coś w tym musi być i trzeba pilnować.

— Kogo? Czego?

— Właśnie tego — powiedziała nagle dziwnym głosem i jakby miała oczy w plecach, obróciła się akurat w odpowiednim momencie, żeby dojrzeć parę osób przeskakujących biegiem pustą przestrzeń między barakami w kierunku magazynu. Sabina zatoczyła więc mniejsze koło i nie przyspieszając kroku, wyszliśmy za baraki. Rzeczywiście nos Sabiny wywęszył bardzo dobrze. Przy oknie magazynu kotłowało się parę osób. Podeszliśmy i my i stanęliśmy w kolejce właśnie w momencie, gdy Franek wydawał którejś już z rzędu osobie całe naręcza białej płóciennej bielizny pościelowej. Ktoś obejrzał się i wrogo zmierzył nas oczami.

— Dzień dobry — powiedziałam tonem zjadliwie kapiącym uprzejmością.

To tak wygląda uczciwe rozdzielanie rzeczy pomiędzy mieszkańców obozu? To Irena drugi już dzień sporządza wykazy, a bielizna wypływa przez tylne okno w ręce wtajemniczonych? Czyż można zmienić mechanizm świata i ludzką naturę? — rozmyślałam wzniośle, czekając mniej wzniośle na moją kolej.

— Dzień dobry, panie Franku — powiedziała Sabina z najlepszym ze swoich uśmiechów, gdy przysłała na nią kolej. Równocześnie wspięła się na palce i zapuściła żurawia w głąb magazynu.

Franek zaczerwienił się trochę i nagle odezwał się głośno i znacząco:

— Was jest pięć w sztubie. Pani bierze dla wszystkich? Tak?

— Tak — odpowiedziała.

Franek nurknął między półki i zaczął na parapet okna wyrzucać, mamrocząc:

— Pięć powłok, pięć prześcieradeł, pięć...

— Czy mógłby mi pan dać kubek i trochę mydła? — zapytała Sabina.

— Naturalnie — odpowiedział Franek.

— Och! A nam nie dałeś mydła — zaczęła wykrzykiwać pani Marzecka, która akurat pakowała pod płaszczy otrzymane przed chwilą rzeczy.

— Zaraz dam — powiedział spocony już Franek. Następnie wychylając się z okna i podając Sabinie wiaderko, szepnął do ucha konspiracyjnie: — Natychmiast Zulę!

Sabina mrugnęła porozumiewawczo i wepchnęła mnie na swoje miejsce. Obarczona bielizną, którą w takiej samej ilości wydał mi Franek, bez jednego słowa powędrowałam za Sabiną tyłami baraków.

Wpadliśmy do sztuby. Zułę zastałyśmy drzemiącą, a Asię z przejętą miną i ze zmarszczonym czołem piszącą w zeszyście.

— Asiu — przerwała jej Sabina. — Natychmiast masz zrobić w ten sposób. Wyjdź drzwiami na tyły baraków i biegnij w kierunku magazynu. Tam przez tylne okienko pan Franek wydaje bieliznę. Powiesz mu, że Irena przysłała cię po bieliznę dla jej sztuby na pięć osób i że Irena prosi też o mydło i miednicę. Tylko nie biegnij, bo to zwraca uwagę. Idź spokojnie. To co dostaniesz, włóż w miednicę i staraj się tak przynieść, żeby nikt nie widział. No już! Prędko! Asia wybiegła i jako dziecko wzrosłe w warunkach wojennych zupełnie nie stropiła się rozbieżnością w rozkazie, że jednocześnie ma biec i iść spokojnie.

Zuła usiadła na łóżku i patrzyła na nas wzrokiem pytającym.

— Ta łobuzeria z Okopów Świętej Trójcy przymusiła Franka do wydawania bielizny na lewo — wyjaśniła Sabina. — My też musimy skorzystać z okazji. Franek kazał ci zaraz przyjść.

Wstawaj i przyczesz się.

— To dlaczego wysłałaś Asię?

— Bo jeszcze raz obrócić nie zaszkodzi. Ty pójdziesz, jak ona wróci. I poproś Franka o jakiś garnek, zdaje mi się, że tam w prawym rogu magazynu jest ich parę. A tyś nie mogła zabrać garnka? — wpadła na mnie. — Musiałaś brać drugie wiaderko?

Ponieważ nie wiedziałam dlaczego gapiowato zabrałam drugie wiaderko zamiast czegoś wartościowszego, przysiadłam w cichości, czekając, aż impet Sabiny zwróci się w innym kierunku. I rzeczywiście nie czekałam długo.

— A jak Irena przyjdzie, to jej nic nie mówcie. Niech nie wie, że już byliśmy w magazynie. To i ona coś przyniesie.

— Ojej! Będziemy miały z nią okropne piekło.

— Wolę piekło i bieliznę niż spokój i brak wszystkiego. Och! Będziemy dziś nareszcie spać trochę po ludzku. Ta bielizna to dla mnie jakby dopiero symbol wyzwolenia z niewoli — cieszyła się Sabina.

Gdy Asia wróciła, Sabina wypchnęła Zulę, a wiaderka, miednicę i ich drogocenne zawartości ukryła pod łóżkiem.

— Asiu — zwróciła się do dziewczynki, która już siedziała przy stole i pochyliła się nad zeszytem. — Bardzo cię proszę, nie mów nic Irenie o naszym zdobywaniu bielizny z magazynu. Dobrze?

— Dobrze — odpowiedziała Asia, będąc myślami już przy pamiętniku czy wypracowaniu. Zula wróciła z garnkiem, ale i z miną skwaszoną, bo gdy dotarła do magazynu, wszystka biała bielizna została już wydana. Wobec tego Franek obdarzył ją podwójną ilością obozowej bielizny w niebieską kratkę.

— Nic nie szkodzi — pocieszała Sabina. — Ta niebieska jest nawet lepsza na nasze warunki obozowe. Łatwiejsza do prania. No! teraz będziemy się rozdzielać.

Wobec tego że z powodu braku ściany mieszkaliśmy prawie na podwórku obozowym, a rozdzielanie zdobytych skarbów stało się, jak by nie było, sprawą ściśle poufną i tajną, Sabina kazała stróżować Asi przed oknem, które zasłoniła kocami, i zaczęła segregować bieliznę na pięć kupek.

— Mamy po trzy komplety białej i po dwa niebieskiej. Tej w kratkę będziemy teraz używać... Tu przysiadłyśmy z przerażenia, bo ktoś poruszył klamką u drzwi i zaczął energicznie się dobijać do pokoju.

— Kto tam? — zapytałam szeptem, a Sabina chwyciła koc z łóżka, chcąc nim zakonspirować rozłożone skarby.

— To ja! — Wpuszczajcie prędko! — usłyszałyśmy szept Franka.

Otworzyłam natychmiast, a gość zaczął się przepychać przez drzwi taszcząc przed sobą dość sporą blaszaną wanienkę.

— Chyba mnie nikt nie widział — wyszeptał zdyszany, stawiając wannę na najbliższym łóżku. — Przyniosłem wam poduszki, ręczniki i proszek do prania. Tych rzeczy jest za mało do podziału. A poza tym nikt nie wiedział o ich istnieniu. Dobrze, że przychodzącyście osobno, a nie wszystkie razem.

— Bardzo panu dziękujemy, panie Franku. Ale niech pan nie mówi Irenie, że już pan nas obdarował — skorzystała z okazji Sabina. — Niech ona też przyniesie trochę tej bielizny w kratkę. Poszyjemy sobie z niej koszule, których nie mamy.

— Naturalnie — zgodził się Franek. — Ale ja przyszedłem tu do pań w ważnej sprawie. — Franek znów ściszył głos. — Dowiedziałem się, że doktor Gurbenko boi się mieszkać w obozie i przenosi się do miasta. Wtedy, zwolni się pokój koło was, większy od tego. Musicie, ponieważ już tu mieszkacie, przypilnować wyprowadzki i wskoczyć na jego miejsce. Ale trzeba to zrobić bardzo sprytnie, bo Marzecki też już o tym wie i czatuje na ten pokój. A moja prośba do was jest taka, żebyście zajęły tamten i jednocześnie zatrzymały ten rozbity dla mnie. Wziąłbym z sobą profesora i odetchnęlibyśmy od wspólnych sztab.

— Dobrze! Naturalnie! — zaszepotała Sabina. — Zrobimy wszystko, co tylko będzie w naszej mocy.

— Bardzo dziękuję — ucieszył się Franek. — To ja już lecę po panią Irenę i zaraz rozdram wszystko, co jest w magazynie, żeby mieć spokój. A jeśliby coś się zaczęło z tym pokojem, to proszę, niech Asia zaraz po mnie przybiegnie.

Franek uklonił się i wyszedł. Zula przekręciła znów klucz i rzuciła się do wanienki.

— Rany boskie! Mamy poduszki! — wrzasnęła, za co Sabina przyłożyła jej kuksańca w plecy.

— Cicho! Nie wrzeszcz!

— Ale ten Franek to poczciwy chłopak — zachwyciłam się jego uczynnością.

— Nie taki znów poczciwy. Parę razy próbował ze mną flirtować, ale że mu się to nie udawało, usiłuje nam się teraz przysłużyć, żebym trochę zmiękła.

— Nie chcę podważać waszej opinii o Franku — powiedziała zamyślona Sabina. — Ale coś mi się wydaje, że ani on nie jest poczciwy, ani mu nie zależy na flircie z Zulą. Po prostu i zwyczajnie kupuje sobie nasz udział w zdobywaniu dla siebie pojedynczego pokoju. Zresztą tak czy owak pomożemy, bo wolę jego i profesora niż Marzeckiego w sąsiedztwie.

— Ciocia z panem Frankiem wyszli z biura i idą do magazynu. Idą naszą stroną placu — zameldowała Asia wsadzając głowę do pokoju.

Zamarłyśmy nad rozłożonymi prześcieradłami, poduszkami i innymi tak zręcznie zdobytymi skarbami.

— Dlaczego okno zasłonięte? — zapytała Irena.

— Bo panna Zula się myje — odpowiedział głos Asi. — I ja pilnuję, żeby ktoś nie wszedł. Spojrzałyśmy na siebie porozumiewawczo.

— Ta Asia to jednak numer — szepnęła Sabina.

— Spieszmy się, pani Ireno, ażeby przed obiadem skończyć — odciągnął Franek Irenę od okna.

— Już poszli — powiedziała Asia, wsadzając znów głowę przez koce. — Czy jeszcze mam pilnować?

— Jeszcze chwileczkę — odpowiedziała Sabina. — Pakujcie wszystko pod sienniki. Szkoda, że nie możemy posłać już łóżek pościelą. Tak byłoby przyjemnie. A ta wiadomość Franka o pokoju jest bardzo ważna.

— Tam jest żelazny piecyk — westchnęła marząco Zula.

5. JESZCZE KANA I INNE ORGANIZACYJNE KOMBINACJE

Po czterech godzinach wróciła spocona, zachrypnięta i zmęczona Irena. Nieświadoma spisku magazynowego przydzwigała pięć miękkich kocyków, po dwa komplety bielizny w kratkę, mydło, proszek do prania i kanę. Nie zauważywszy wcale, że sienniki na łóżkach są podejrzenie wybrzuszone, zwała wszystko na stół, usiadła ciężko na stołku i zaczęła opowiadać o rozdawaniu rzeczy z magazynu.

— Nareszcie skończyliśmy. Nawet nie przypuszczałam, że Franek potrafi stanąć na wysokości zadania. Machnął ręką na moje wykazy, przy których niepotrzebnie się napracowałam, i podzielił z grubsza obóz na dwie części. Na grupę ludzi bardziej potrzebujących i mniej potrzebujących. Do pierwszej zaliczył wszystkich Włochów, Rosjan, warszawiaków z powstania, wszystkich pracujących przy kuchni i nas z transportu. A Francuzów i resztę Polaków do drugiej. Ta druga grupa składa się z ludzi od dawna przebywających w Niemczech, którzy już sobie sprowadzili rzeczy z domów albo je w jakiś sposób wykombinowali. A bielizny starczyło akurat tak, że pierwsza otrzymała po dwa komplety, a druga po jednym. Mam nadzieję, że cały obóz zrozumie rzetelność podziału i nie będzie na ten temat niesnasek.

— Nie! Niesnasek nie będzie, tylko będą dzikie awantury — powiedziała ze złośliwym uśmiechem Sabina.

— Nie będzie żadnych awantur. Wezwaliśmy przedstawicieli baraków i omówiliśmy z nimi tę sprawę. Ja zażądałam głosowania, ale wszyscy uznali, że decyzja Franka jest dobra. Rozdzieliliśmy więc wspólnie wszystko. A teraz muszę lecieć jeszcze do Włochów i prosić ich o rozwalenie i wyrzucenie półek z magazynu, bo zajmuję go na świetlicę obozową.

— A na cóż tobie świetlica? — zdziwiła się Sabina, która jeszcze nie знаła Ireny, tak jak ja.

— Świetlica musi być. Trzeba przecież mieć miejsce, żeby coś organizować — mówiła mętnie zmęczona i zagoniona Irena. — Aha, żebym nie zapomniała. Przyniosłam z magazynu kanę, żebyś, Sabino, mogła odnieść tę zdobytą przez siebie.

— Od przybytku głowa nie boli. Dobra i ta. Jedna będzie na kawę, druga na wodę.

— Sabino! — zawołała z wyrzutem Irena.

— Przestańcie mówić o tej głupiej kanie — przerwała Zula. — Sabina nie może przecież odnieść kany. Jak by wyglądała? Jeśli masz jeszcze parę sztuk w magazynie, to roześlij przez Asię do różnych baraków i między innymi do tej sztuby, z której zwędziła Sabina. Wszystko będzie w porządku. Mnie od rozmów o tej kanie robi się już niedobrze, skończcie więc raz z tym!

— Zupełnie się z tobą nie zgadzam. Według mnie Sabina powinna sama odnieść kanę, przyznać się i przeprosić. Takie przykre przeżycie z tej okazji bardzo by się jej przydało i pamięć o nim uchroniłaby ją przed następnymi czynami tego kalibru.

— Jesteś za surowa. Sabina nie może tego zrobić — wtrąciłam się już i ja. — Uczciwość — uczciwością, a życie — życiem. Wszyscy sobie podwędzają w obozach takie rzeczy, jak kany i świat się przez to nie zawala.

— Jak Sabina kategorycznie odmawia odniesienia, to ja będę musiała to zrobić, żeby wam pokazać, że na miejscu Sabiny też bym tak zrobiła.

— Nie zrobiłabyś — powiedziała ze złością Zula.

— A właśnie zrobiłabym!

— Nie — wtrąciła się Sabina z ławy oskarżonych. — Ty nie zrobiłabyś tego, bo przede wszystkim nie zwędziłabyś kany, nie znalazłabyś się więc też w takiej sytuacji jak ja. Ty? Ty nawet koło kotleta schabowego przeszyłabyś obojętnie — dodała z pogardą. — Najwyżej zaczęłabyś się zastanawiać, czy masz do niego prawo, czy nie.

— Ratunku! Przestańcie gadać o kotletach schabowych! — wrzasnęłam. — Lepiej już o tej nieszczęsnej kanie. Żarcie proszę wykreślić z naszych rozmów.

— No dobrze — zgodziła się Irena, która odruchowo przełknęła ślinę. — Dobrze. Do której sztuby mam odnieść kanę?

— Żebym ja wiedziała... — jęknęła Sabina patrząc zamyślonym wzrokiem na Irenę. — Kana stała sobie przed drzwiami latryny. Była w tym momencie niczyja.

— No ale ktoś ją tam chyba postawił?

— Czy myślisz, że czekałam, aż ten ktoś wyjdzie z latryny? Złapałam kanę i popędziłam za baraki. Wskutek tego pośpiechu nie zdążyłam sprawdzić, komu ją zwędziłam. Zula zatoczyła się na Asię, obie upadły na łóżko i tam zwijały się podrzucane szaleńczymi wybuchami śmiechu. Irena siedziała oszołomiona, z półotwartymi ustami. Wreszcie i jej poczucie humoru nareszcie zareagowało. Uśmiechnęła się. Widząc to Sabina poklepała ją po ramieniu.

— Kochanie! Nie martw się już — powiedziała miękko tonem. — No a teraz, gdy się pogodziłyśmy, trzeba pomyśleć o obiedzie. Już niosą zupę z kuchni. Asiu — dodała — uśmiechnij się do kucharza o dolewkę.

Asia zgramoliła się z łóżka Zuli. Brudnymi rękami t rozsmazując łzy na twarzy i chichocząc przyklęła na podłodze. Spod łóżka Sabiny wyciągnęła garnek.

— To ja w tym nowym garnku przyniosę zupę — powiedziała.

— Tylko przedtem umyj go w łazience. No i umyj ręce i twarz, bo jak ty wyglądasz — powiedziała Zula zachłystując się jeszcze śmiechem.

— A skąd macie nowy garnek? — zapytała słabym głosem Irena.

Asia skuliła się na podłodze.

— Kochana Ireno! Odpowiem ci na to pytanie taką starą anegdotą — mówiła miękko głosem Sabina. — Kiedyś Pan Bóg bardzo się zezłościł na tę nierówność dóbr materialnych, jaka istnieje na świecie. Postanowił położyć temu kres. Zesłał na ludzi długi, długi sen. I gdy wszyscy spali, podzielił prędko wszystko na równe, równiutkie części. Obudził następnie pierwszą dziesiątkę ludzi i wręczył każdemu przypadającą na niego część. Potem obudził drugą dziesiątkę i obdarował. I już miał budzić trzecią, gdy spojrzał na tę pierwszą i spostrzegł, że w tej dziesiątce już pięć osób nic nie miało, a inne po dwa udziały. Druga zaś dziesiątka właśnie kłóciła się między sobą, szachrowała i wydzierała sobie te sprawiedliwie ustalone udziały. Rozsierdziło to tak Pana Boga, że wrzasnął: „A dajcie mi święty spokój”, machnął ręką na ludzi i zostawił ich własnemu ludzkiemu losowi... Taka jest anegdota, bardzo aktualna w tej chwili. Bo jeśli dobry Pan Bóg uszarpał się z ludźmi i nie potrafił nic poprawić, to i ty, Ireno, musisz się poddać. A żeby więc nie było już między nami nieporozumień, to teraz musisz się dowiedzieć, że gdy nasz obozowy Pan Bóg, czyli Franek, obdzielał... hm... sprawiedliwie mieszkańców obozu... to tak się jakoś porobiło, że my mamy po siedem zmian bielizny, garnek, poduszki, miednicę, wanienkę i dwie kany. Teraz już trudno dochodzić, jak to było, kiedy to było i czym kosztem. Pogódź się z faktem, że tak jest.

— Dzieńdoberek łaskawym paniom — zabrzmiał nagle od strony okna męski głos.

Dystrakcja ta była bardzo na czasie i przywitałyśmy ją wszystkie z westchnieniem ulgi. Przez okno gramolił się gruby tramwajarz warszawski z wielkim worem na plecach.

— Jak to pięknie z pana strony, że pan nie zapomniał o swojej obietnicy — zawołała Sabina, obdarzając gościa i jego brzemię uszczęśliwionym uśmiechem.

— Skarż mnie Bóg, jeśli miałbym zapomnieć. Łaskawe panie mają dziecko, znakiem tego cukier się przyda. Co prawda szkoda cukru. Z tego majdanu wyszłoby parę ładnych literków. A może woła panie przerobić ten cukier na bimber?

— O nie! Wolimy cukier i ogromnie panu dziękujemy.

Tramwajarz z ciężkim stęknieniem zwalił wór za łóżkiem Sabiny.

— Ale łaskawe panie przyjdą do nas na otwarciu fabryki, pokosztować bimbru, gdy będziemy już na chodzie? — zapytał.

— Naturalnie! — zawołałyśmy.

— A zagrycha będzie? — zapytała Zula, robiąc łobuzerską minę.

— Dla łaskawych pań będzie i zagrycha — uśmiechnął się gość. — My warszawiacy z powstania musimy się popierać — dodał. — No to ja już pójdę na obiad.

— Ogromnie dziękujemy! — wołałyśmy za nim, a potem wzięwszy się za ręce odtworzyłyśmy dookoła stołu jakiś bardzo skomplikowany ze względu na ograniczoną ilość miejsca, ale bardzo radosny taniec.

Najedzone fasolówką, opite kawą z prawdziwym cukrem nie miałyśmy ani siły, ani ochoty na sprzątanie. Ułożyłyśmy się na łózkach syte i zadowolone.

— Jak dobrze z poduszką — zaszemrała Zula.

— Żeby jeszcze były papierosiki — westchnęła Zula.

— Widzisz? — zaczęła znowu Irena. — Tylko popuścić cugli ludzkiej zachłanności, a nie będzie końca brakom i potrzebom. Tyle już rzeczy zdobyłaś dzisiaj. A teraz znów chcesz papierosów. Będiesz miała papierosy, to będziesz potrzebowała znów czegoś innego. I tak w nieskończoność.

— Właśnie! I to jest najzupełniej normalne i ludzkie — odpowiedziała Sabina.

— Abnegaci nie stworzyli cywilizacji — dodała Zula. Pognębiona i zakrakana Irena umilkła.

— A co będziecie robić po południu? — zapytała po chwili. — Bo ja muszę dziś organizować ten lokal na świetlicę. I muszę też lecieć do szpitala odwiedzić Frączakową i Stępniownę.

— A my chodźmy do lasu — zaproponowała Zula. — Taka ładna pogoda.

— Nigdzie nie pójdziemy. Musisz tu siedzieć. Zapomniałaś? — odezwała się Sabina z wyrzutem.

— Znowu jakieś kombinacje? — zaniepokoiła się Irena.

— Ależ skąd kombinacje? — mówiła wykrętnie Sabina, nie chcąc informować Ireny o widokach na sąsiedni pokój. — Magazyn już opróżniony, nic więc takiego nie mam na oku. Uważam tylko, że musimy się teraz zabrać do szycia. Damy Nowakównie trochę cukru za skrojenie nam koszul dziennych, nocnych i bluzek z tych poszew w kratkę. Wymienić też trzeba w obozie trochę cukru na igły i nici. Wstawajcie! Jest tyle roboty, że nie ma mowy o wylegiwaniu się.

— Pani Ireno — odezwał się Franek, który wsadził głowę przez okno. — Przyjechali do sekretariatu Amerykanie i dogadać się z nimi nie mogę. Czy mogłaby pani zaraz przyjść?

— Naturalnie — zerwała się Irena i wybiegła.

— Teraz zobaczymy ją dopiero przy kolacji — powiedziała Sabina.

Przepowiednia, że zobaczymy Irenę dopiero wieczorem, tym razem się nie sprawdziła. Gdy przeprowadziłyśmy wszelkie transakcje wymienne i pochylone szyłyśmy zawzięcie, obracając równie szybko językami, obgadując wszystko i wszystkich, zjawiała się w dziurze okiennej Irena z trochę nieprzytomnym wyrazem twarzy. Przechyliła się w głąb pokoju, rozpięła kombinezon, wygarnęła zza jego poły pięć paczek amerykańskich papierosów i rzuciła je na kolana osłupiałej Sabiny,

— Chciałaś? To masz! — zawołała i popędziła dalej do swoich urojonych według naszego mniemania obowiązków.

— Nawet nie zdążyłam jej podziękować.

— Zaczyna się cywilizować — dodała Zula.

— Nie! Ona tylko dlatego przymówiła się Amerykanom o papierosy, bo wie, że ja skręcam się bez palenia. Nigdy by tego nie zrobiła dla siebie.

Nagadawszy się o dobrych stronach charakteru Ireny, zdecydowałyśmy, że pierwsza nocna koszula, która wyjdzie z naszego zespołowego „magazę”, będzie dla Ireny, następna dla Asii, a dopiero potem pomyślimy o sobie.

Rozdawano już kolację w kuchni, gdy profesor skończył swą pierwszą lekcję z Asią. Szkołę urządzili sobie na schodkach baraku, ponieważ i nauczyciel, i uczennica nie chcieli mieć świadków.

Sabina zadowolona z pomyślnego dnia i wobec tego usposobiona życzliwie do całego świata, zaprosiła profesora na zdobyczny cukier. Zachwycony tą perspektywą nasz gość popędził do swej sztuby po własny przydział chleba i metki. Ireny jeszcze nie było, zasiedliśmy więc bez niej na stołkach i łózkach do bardzo wesołej kolacji. Kopiaste porcje cukru, wsypane do cynowych kubków dużymi łyżkami od zupy, nastroiły nas radośnie.

— A czego się dzisiaj nauczyłaś, Asiu? — zapytałam.

— Tego, że nic się na świecie nie zmienia. Pan profesor opowiadał mi dzisiaj o Grekach.

Wiecie? Tych starożytnych. I ciągle mówił o ich wielkiej kulturze, a tymczasem oni się ciągle prali... Przepraszam... Oni prowadzili ciągle wojny. To pomiędzy sobą, to z innymi państwami. A za Trojańczykami to pognali aż do Azji Mniejszej. Gdzież więc jest ta ich wielka kultura? Pewnie tam, gdzie nasza europejska.

Zdębiałyśmy, a Zula wybuchnęła śmiechem. Profesor też się uśmiechnął trochę z przymusem.

— Przestańcie się śmiać. Cicho! — zawołała nagle Sabina. Poderwała się od stołu i uchyliła drzwi nadsluchując.

— Już! Wynoszą się! Profesorze! Pan kładzie się na łóżku Ireny i pan tu mieszka z Frankiem. Przenoście łóżko Zuli, bo ono jest jednopiętrowe — komenderowała i nie tłumacząc osłupiałemu profesorowi dokładnie, o co chodzi, wyszarpnęła spod niego stołek. W drugą rękę chwyciła kanę z gorącą jeszcze kawą i wyskoczyła na korytarz.

W drzwiach sąsiedniego, tego upatrzonego pokoju zderzyła się z Marzeckim, który z walizką w ręku wpadł tam jednocześnie z nią.

— Proszę wyjść! — ryknął Marzecki.

Sabina nie odpowiedziała. Podeszła do drzwi, wyjęła klucz z zamka i ostentacyjnie włożyła go do kieszeni. W tym momencie przez szeroko otwarte podwoje wkroczyliśmy i my na scenę. Najpierw pokazała się idąca tyłem, wypięta z wysiłku Zula, potem łóżko, a potem ja z trudem manewrując w wąskim korytarzu drugą jego częścią. W tym momencie z drugiej strony nadbiegła pani Marzecka uginając się pod ciężarem dwóch walizek. Nie mogła się przedostać przez zatarasowany łóżkiem korytarz, i zaczęła nerwowo nawoływać:

— Karol! Karol! Gdzie jesteś, do diabła?!

Sabina słysząc głos Marzeckiej mrugnęła na mnie, więc ja dalej manewrowałam łóżkiem w tę i tamtą stronę, nie posuwając się naprzód i nie przepuszczając nikogo.

— Tutaj jestem! Dlaczego tak późno przychodzisz?! — wrzasnął Marzecki.

— To meblowe łóżko będzie dla Ireny — odezwała się Sabina, jakby pokój i łóżka ze sprężynami i materacami były już nasze i jakby Marzeckiego nie było w pokoju. — Ale inaczej je ustawimy — zwierzyła się Zuli, która stała z trochę głupią, niepewną miną.

— Musiałam przecież zapakować rzeczy! — ryknęła mi nad uchem Marzecka, tłumacząc się mężowi.

— Przepraszam pana — powiedziała grzecznie Sabina, która nagle złapała jedno z zostawionych przez doktora łóżek i bez najmniejszej potrzeby zaczęła je ciągnąć przez pokój w ten sposób, że Marzecki znalazł się na jej drodze. On, jak liczyła, nie wytrzymał nerwowo i podniósł się z walizki, na której siedział, ażeby jej zrobić miejsce. Zorientowawszy się, że tym odruchem przyznał Sabinie prawo do pokoju, zastanowił się i zaczął wołać do żony:

— Zostaw walizki w korytarzu! Leć dookoła baraku i zajmij ten pokój, z którego one się wyprowadzają. Ja nie mogę tego zrobić, bo jestem zabarykadowany tym cholernym łóżkiem.

Pani Marzecka zawróciła i jak wichler pognęła korytarzem, a tymczasem Sabina puściła taszczone łóżko, chwyciła to, które stało w drzwiach. — Pchaj! — zawołała do mnie i jednym mocnym szarpnięciem wciągnęła i łóżko, i mnie do pokoju.

— Proszę pana, droga wolna — przepuściła Marzeckiego, który zapomniawszy o walizce wypadł na korytarz. Wystawiła więc walizkę intruza za drzwi, zamknęła je na klucz i zaczęła z Zulą i ze mną odtwarzać taniec zwycięstwa pomiędzy rozstawionymi łózkami.

Tymczasem Marzecki szarpnąwszy drzwi wpadł do naszego byłego pokoju. Wpadł i stanął na progu osłupiały. Na piętrowym łóżku Ireny pod oknem leżał uśmiechnięty profesor, a na drugim Asia.

— Ja się chciałem tutaj wprowadzić z żoną — powiedział niezdecydowanie.

— Bardzo mi przykro, ale ja się tutaj już wprowadziłem — odpowiedział profesor.

— To wszystko przez ciebie — zwrócił się Marzecki ze złością do żony, która dopiero teraz nadbiegła, oblatując barak dookoła.

— Jak to przeze mnie? To sam nie potrafisz zająć pokoju? Zawsze do wszystkiego ja ci jestem potrzebna?

— To tamte cholery mnie wykiwały! Gdybyś była na miejscu, to inaczej byśmy z nimi pogadali...

Bardzo brzydko wyrażając się o nas i kłócąc się między sobą, obarczeni walizkami Marzeccy nareszcie wynieśli się z korytarza. A my z pomocą Franka, sprowadzonego przez Asię, przeprowadziłyśmy się ostatecznie z jednego pokoju do drugiego. Wszystko to zajęło tyle czasu, że Sabina zapomniała o koncercie u Włochów, na który wybierała się wieczorem.

Niepokoiliśmy się tylko o Irenę, która według słów Franka wyszła z obozu do szpitala po godzinie piątej. Rozmawiając o tym, co się mogło jej przytrafić, ułożyliśmy się wreszcie do snu, zadowolone, że w pokoju mającym ściany, drzwi i okna noc będzie naprawdę spokojna. Późną nocą wyrwały nas ze snu dzikie wrzaski, które nagle przerwały uśpioną ciszę baraku.

— O Boże! — zaszczękała zębami Asia. — To był głos cioci.

— Ależ skąd? — powiedziała Sabina, która nigdy nie ulegała panice. — To krzyczał ktoś w sąsiednim pokoju.

— Jakież z nas idiotki! — zawołałam. — Przecież Irena nic nie wie, że się przeprowadziłyśmy.

Pukanie do drzwi poderwało nas z łóżek. Rozespany, z rozmierzwną głową Franek wprowadził do pokoju płaczącą ze śmiechu Irenę.

— Co się stało?! Czy to ty tak krzyczałaś?! — wołałyśmy naraz.

— No pewno że to ja krzyczałam, ale i wy krzyczałybyście, gdyby któraś z was usiadła w ciemności na brzuchu profesora.

— A gdzie tak długo byłaś? W szpitalu? Czy Frączakowa gorzej się czuje?

— Frączakowa czuje się dobrze i nic jej już nie grozi. Ale Nadia Widinajewa rodziła i musiałam przy niej zostać, bo się okropnie bała — opowiadała nowinki Irena. — Wysłałam do szpitala późno. Nie chcąc was budzić, jak najciszej wpakowałam się przez dziurę do pokoju, marzyłam, żeby się jak najprędzej położyć — zaczęła znów pękać ze śmiechu. — Gdy siadłam na profesorze, tak się przestraszyłam, że nie mogłam nie wrzasnąć. On też krzyczał, bo myślał, że do niego przyszli żołnierze amerykańscy. O mało w ciemności nie grzotnął mnie pięścią w obronie swojej cnoty. Dopiero Franek zorientował się, że to pewno ja i uratował sytuację — opowiadała płacząc wprost ze śmiechu.

6. NARAŻAM SIĘ AURORZE FITZGERALD

Trzy dni pracowałyśmy namiętnie, przerabiając z zapalem bieliznę pościelową w niebieską kratkę.

Podczas tej pracy niebieska krateczka przylepiła się nam do siatkówek i gdy nareszcie trzeciego dnia po skończonej pracy wybrałyśmy się na spacer, wszystko, na co patrzyłyśmy, widziałyśmy przez pryzmat tejże krateczki. Odwaliłyśmy więc parokilometrowy spacer po zieleniejących już lasach, ażeby pozbyć się kratkowej psychozy. Wróciłyśmy już prawie normalne, ale gdy drzwi od naszego pokoju rozwarły się przed nami, Zula zawyła rozpaczliwie i ukryła twarz w dłoniach.

— Czy musisz być tak nerwowa? — zapytała kąśliwie Sabina, ale i sama miała minę, jakby bolały ją zęby.

Pokój bowiem wyglądał następująco: trzy łóżka pojedyncze i jedno piętrowe pokryte były pięcioma posłaniami w niebieską kratkę, dwa okna zawieszane były zasłonami w niebieską kratkę, na stole leżała serweta z niebieskiej kratki, a kąt pokoju, gdzie urządziłyśmy umywalnię, zagrodzony był firanką z tejże kratki.

Gdy zaś po kolacji zdejmowałyśmy z siebie jednocześnie pięć dziennych koszul z niebieskiej kratki, ażeby nałożyć pięć nocnych też w niebieską kratkę, nie wytrzymałam nerwowo.

Wyciągnęłam z szafy zawiniątko z moimi ruchomościami i przesłałam łóżko, zmieniając bieliznę pościelową z kratkowanej na białą. Zula poszła w moje ślady, pomimo że Sabina długo rozwodziła się o konieczności kierowania się w życiu względami praktycznymi.

— Ten kratkowany pokój przyprawia i mnie o cierpienie, ale takie cierpienia nazywam cierpieniami biernymi. Z nimi łatwiej sobie poradzić. Pranie zaś białej bielizny przyprawiłoby mnie o cierpienie czynne. Z dwojga złego wybieram cierpienie bierne — zakończyła.

Śmiałyśmy się z niej, ale śmiałyśmy się tylko przez tydzień, bo już po tygodniu nasza bielizna wyglądała nieświeżo, nawet brudno, podczas gdy na niebieskiej, tak zniechęconej krateczce nic nie było znac. A po dwóch tygodniach podczas długich godzin spędzonych nad praniem uznałyśmy z Zulą pokornie dobre i w tym wypadku wygodne strony cierpienia biernego.

Przez te parę dni, podczas których obszywałyśmy się zawzięcie, pracowały nie tylko nasze ręce, ale i języki.

Po przeseregowaniu, podsumowaniu i wyciśnięciu zbytecznej, jak w każdym gładzeniu, wody wynik był następujący:

Sabina, której przygody znałyśmy od chwili spotkania w rowie i którą (nie wymawiając) uratowałyśmy od przeniesienia się na tamten lepszy świat, odkryła nam wreszcie swoją przeszłość. Dowiedziałyśmy się więc, że jest bezdzietną wdową po kapitanie jednego z ułańskich pułków. Że w małżeństwie swoim była bardzo szczęśliwa, pomimo koniarskich psychoz męża. Po jego śmierci wylądowała w małym mieszkaniu w Warszawie i żyła z emerytury. Poczucie humoru i równowaga wewnętrzna pomagały jej żyć pogodnie i ufnie. Dopiero rozpętanie wojny, a potem kompletna ruina wywołana powstaniem obudziły w Sabinie gorzkie i zawzięte uczucia.

— Ja wiem, że to jest oburzające opłakiwać mieszkanie. Wiele ludzi przeżyło w tym czasie prawdziwe tragedie, z których już się nie podźwigną. Potracili niewspółmiernie więcej tracąc rodziny, tracąc bliskich. Nawet mi wstyd stawać do tej licytacji. Ale moje mieszkanie było dla mnie wszystkim. Tam były pamiątki po mężu, stopy albumów z fotografiami, przechowywane przeze mnie nagrody i odznaki, które zdobył podczas zawodów hippicznych, jego listy... Takie, rozumiecie, szczątki ludzkiego, biednego, malutkiego szczęścia, które gdyby przetrwały po mojej śmierci, byłyby tylko rupieciami bez wartości. A dla mnie to były skarby, po których utracie dotychczas nie mogę się uspokoić. Poza tym to mieszkanie stanowiło cały mój majątek i zawierało cały mój majątek... Miałam śliczne meble, pościel, bieliznę, futra, materiały... Te wszystkie rzeczy, które skrzętnie i rozsądnie gromadziłam, miały ułatwić mi starość. A teraz ta starość znajduje się pod straszliwym znakiem zapytania. Muszę się przyznać, że nigdy nie bałam się życia, a teraz się boję, i to bardzo się boję.

— Och, Sabino! Ty się boisz? Przecież podczas bombardowania Lipska byłaś spokojna, a nawet żartowałaś na temat „dobrych Niemek” — pamiętasz? A podczas bombardowania lotniska siedemdziesiąt metrów od ciebie stałaś w oknie wtedy, gdy wszyscy umierali ze strachu... — usiłowałam podtrzymać ją na duchu, przypomnieć jej wiekopomne wyczyny i wzbudzić wiarę we własne siły.

— Jesteś durna — odpowiedziała mi. — Czy nie widzisz, że się nie bałam śmierci, a boję się życia? Zrozum, że jestem starą samotną kobietą. Nie mam dachu nad głową, nic nie umiem, nie mam fachu, nigdy nie pracowałam... Jakże ja sobie dam radę?

Przyszłość Sabiny rzeczywiście nie przedstawiała się różowo, ale dla kogo z nas przedstawiała się ona w tych dniach inaczej?

O Zuli dowiedziałyśmy się, że była córką adwokata, że wojna zaskoczyła ją na rok przed maturą. Że maturę zdała na tajnych kompletach i na tajnym uniwersytecie studiowała polonistykę... Że wywieziona z powstania do Niemiec na roboty, nie wie nic o swych najbliższych i cały czas gnębi się myślą, czy żyją rodzice i czy żyje jej narzeczony, którego bardzo kochała...

Zuli opowieść była banalna. Jej przeżycia takie, jakich wiele i jakich stanowczo za dużo, jak na jeden naród.

O Irenie nic się nie dowiedziałyśmy, ponieważ podczas naszych zmagania z poszwami w niebieską kratkę i przerabiania ich na koszule, serwetki i firanki ganiała całymi dniami w sprawach obozowych lub ciężko pracowała w biurze.

Asia odrabiała lekcje i ogarnął ją szal kształcenia się. Niemniej gdy któregoś popołudnia przytrzymałyśmy ją przy szyciu, spróbowałam ucałować za łeb okazję i zapytałam:

— Kochana Asiu, już teraz nie potrzebujesz chyba być tajemnicza. Powiedz nam nareszcie, kto ty jesteś?

— Polak mały — odwarknęła, patrząc na mnie arogancko. A potem po dziecinnemu zaczęła wykrzykiwać: — Jaki znak mój? — Orzeł biały! — Gdzie ja mieszkam? —...

— To wy nie wiecie nic o Asi? — zapytała Zula.

— Nie. Znalazłyśmy z Ireną Asię w piwnicy i tak już została z nami, tak samo jak Sabina, znaleziona w rowie. Asiu — zwróciłam się do dziewczynki najserdeczniej, jak umiałam. — Nie gniewaj się na mnie, ale jak już tu sobie opowiadamy o przeszłości, chciałybyśmy się także dowiedzieć czegoś o tobie.

Asia popatrzyła na mnie jak na żmiję. Chwilkę się zastanowiła, wreszcie się roześmiała i powiedziała:

— Pani się coś pomyliło z powodu tych przeżyć i bombardowań. Przecież ja się nazywam Anna Nowakowska i jestem siostrzenicą cioci Ireny. Mamusi nie pamiętam, bo umarła, gdy byłam bardzo malutka. Tatuś był wojskowym i zginął we wrześniu. Od jego śmierci ciocia Irena opiekuje się mną. Tatuś, brat cioci Ireny, tak samo się nazywał i ja nazywam się Anna Nowakowska. A żadnej piwnicy nie przypominam sobie.

— Nonsens! — zawołałam, tak jak wtedy w piwnicy zameczku podczas pierwszej mej rozmowy z ówczesną Aurorą. — Irenę znasz tak samo długo, jak i mnie. Każdemu możesz takie bajki opowiadać, tylko przecież nie mnie.

— To pani kłamie! — zawołała Asia prawie ze łzami. — Ciocia Irena jest siostrą tatusia i opiekowała się mną od początku wojny.

— Asiu! — zawołałam przerażona jej gwałtownością, a równocześnie niezadowolona z siebie, że zaczęłam tę rozmowę. Nagle jednak postanowiłam ją też i skończyć, bo oładnęło mną obrzydliwe pragnienie zatryumfowania. Powiedziałam więc ironicznie: — Oczywiście wiesz wszystko o swojej rodzonej ciotce, bo jakżeż by mogło być inaczej. Ale wiedz, że Irena nosi nazwisko swego męża, z którym przypuszczalnie rozeszła się przed powstaniem. A jakie jest jej panięńskie nazwisko, nawet nie pytałam. Jeśli więc jest ona siostrą twego ojca, to coś ci się z tymi pokrewieństwami i nazwiskami pokręciło — dokończyłam lodowato i okrutnie.

— Pani kłamie! Pani kłamie! — ryknęła Asia i płacząc wypadła z pokoju.

Sabina i Zula zarzuciły mnie pytaniami, bo tak bardzo zaintrygowała je ta przedziwna rozmowa. Opowiedziałam więc to wszystko, co o Asi wiedziałam, czyli o całej masie znaków zapytania na jej temat. Następnie zdecydowałyśmy zachowywać się tak, jakby tej rozmowy z Asią i o niej wcale nie było. Niemniej straciłam sympatię dziewczynki. Od tego czasu traktowała mnie z zimną i obojętną uprzejmością.

Bardzo mi to było przykre, ponieważ przywiązana już byłam do smarkuli i niejeden raz żałowałam później, że dałam się ponieść obrzydliwej babskiej ciekawości.

7. DOBRY WUJ SAM

A wojna toczyła się dalej planowo i wystawiała na próbę naszą nadwątloną cierpliwość.

Aż kipieliśmy z niepokoju i ze złości.

Nasz stosunek do Amerykanów uległ całkowitej zmianie. O ile pierwszego dnia po wyzwoleniu były momenty, że zachłystywaliśmy się wdzięcznością i uwielbieniem, o tyle obecnie ustalała się w uczuciach naszych zdecydowana niechęć. Żadnymi argumentami, budowanymi na logice i na prostej ludzkiej wdzięczności i życzliwości, nieodobna było jej zlikwidować.

Dużo było powodów do ugruntowania się tej niechęci. Przede wszystkim zostawili nas w obozie samym sobie i nic ich nie obchodziły nasze okropne warunki, w jakich dalej żyliśmy. Obóz zagaścił się tak, że nie mógł już zupełnie pomieścić wszystkich ludzi. Zaraz po wejściu Amerykanów wszyscy auslendiri uciekli od okolicznych bauerów. Nie mając gdzie się podziać, zjawiali się w naszym obozie i musieliśmy się nimi zaopiekować, tym bardziej że i władze alianckie kierowały ich wszystkich do obozu, jako do miejsca przeznaczonego właśnie dla auslendrów. Obóz pękał z przeludnienia i Irenie nie udały się projekty ze świetlicą. Wszystkie pomieszczenia pełne były nowych ludzi. I tak gdy za Niemców w jednej

sztubie dusiło się po szesnaście osób, to teraz po wyzwoleniu gniotło się tam po dwadzieścia, a nawet i więcej.

Nie bardzo się też przejmowano wyżywieniem obozu. Większa ilość chleba i tak bardzo kaloryczna grochówka lub dla odmiany fasolówka powinna nas według Amerykanów po wieloletniej brukwiówce zupełnie zadowolić.

Niemieckie miasteczko nienawidziło nas, my nienawidziliśmy Niemców z miasteczka.

A pomiędzy nimi i nami przesuwali się z drewnianymi minami obojętni i swoimi wojennymi sprawami zajęci Amerykanie.

O tym, co sływać na świecie, prawie nie wiedzieliśmy, siedząc w obozie jakby w więzieniu. Nikt nie miał radia. Nie mieliśmy gazet ani żadnych wiadomości o tym, co się dzieje w tak ważnych dla całej Europy chwilach.

Jeśli przypadkiem złapaliśmy jakiegoś Amerykanina polskiego pochodzenia, mówiącego trochę po polsku, to też nie mieliśmy z tego za wielkiej pociechy. Tak naiwnie i gapiowato objaśniał nam sytuację polityczną, że aż skóra cierpła na grzbiecie.

— Be patient — powiedział Irenie sierżant Military Police, Mr Smith, gdy pytała go, kiedy będzie uruchomiona poczta i kiedy będzie można porozumieć się z rodzinami w kraju.

— Be patient! — wykrzykiwaliśmy gorzko na tę rewelację Ireny. Nasza cierpliwość już dawno była wyczerpana. Toteż piekliliśmy się wyluszczając nasze racje, ale to było gadanie irytujące i rozdrażniające wewnętrznie, nie dające zaś żadnego rezultatu.

O tym, ażeby doczekać się jakiejś rekompensaty, czy to natury moralnej, czy materialnej, za tyloletnie cierpienia, za utracone zdrowie i kompletną ruinę finansową, nie było zupełnie mowy. Pokonanym Niemcom stanowczo działało się o wiele lepiej niż nam.

Wyczuwało się zresztą bardzo wyraźnie, że władze alianckie lepiej traktują czystych, spokojnych, zdyscyplinowanych Niemców niż gromadę zagłodzonych, zdenerwowanych nędzarzy z obozu.

Postępowanie Amerykanów napawało nas, wyraziwszy się już najbardziej oględnie, zdumieniem. A powiedziawszy to mniej spokojnie i kulturalnie: coraz częściej brała nas na nich ciężka cholera.

No bo co się przez nich wyprawiało?

W cztery chyba dni po wyzwoleniu znany już nam sierżant Military Police Mr Smith zajeżdżał do obozu swym jeepem, prowadząc cały konwój lśniących samochodów załadowanych wojskowymi wyższych rang. Całe to bractwo wylądowało się przed sekretariatem. Po krótkiej rozmowie z Ireną i Frankiem okazało się, że chcą zorganizować mityng ze wszystkimi mieszkańcami obozu.

W tym więc wypadku nasz komendant zdjął z głowy koronę i w charakterze zwyczajnego gońca oblatywał wszystkie sztuby z jednego końca obozu, wyciągając ludzi na majdan, a Asia dzielnie mu pomagała robiąc to samo z drugiego końca.

Gdy wszyscy już zgromadzili się dokoła baraku komendantury, któryś z nowo przybyłych wlaź na pakę stojącą pod ścianą i długo coś mówił po włosku. Potem inny gadał po rosyjsku, inny po francusku, aż wreszcie na samym końcu przyszła kolej na gadającego po polsku i dowiedzieliśmy się dokładnie, o co chodziło.

A chodziło ni mniej, ni więcej, jak o podanie władzom amerykańskim Niemców, którzy czy to na terenie fabryki, czy na terenie obozu, czy wreszcie w miasteczku znęcali się nad auslendrami i byli w stosunku do obowiązujących na całym świecie praw ludzkości przestępcami wojennymi.

— Nareszcie doczekaliśmy się sprawiedliwości! — wykrzykiwali ludzie w tłumie.

Termin podania nazwisk wyznaczyli nasi goście na rano dnia następnego. Potem wsiedli w swoje auta i odjechali.

Oni odjechali, a na majdanie rozpętało się piekło.

Ludzie to dzielili się, obradując narodowościami dla wygody porozumienia się we wspólnym języku, to łączyli w grupy, skrajnie podchodząc do „zadania bojowego”, które nareszcie otrzymali.

Ani Franek, ani Irena nie potrafili stanąć na wysokości zadania. Nie udało im się wprowadzić porządku do obrad.

Plac huczał i kipiał.

Po wielu godzinach wrzeszczenia i bezładnej gadaniny wyłoniły się dwa stronnictwa.

Jedno, „chrześcijańskie”, pod hasłem: wszystko przebaczyć.

Drugie, „odwetowe”, żądające śmierci wszystkich Niemców pracujących w fabryce, wszystkich pracujących w obozie, dorzucając jeszcze z miasteczka: piekarza, rzeźnika, restauratora i paru nie znanych mi bliżej osobników.

Włosi o mało nie pobili naszej sąsiadki ze sztuby dewotek, która wdrapała się na skrzynkę-mównicę i zaczęła z niej wykrzykiwać:

— Przebaczyć! Pardonner! Prosit'! Perdonare!

— Non perdonare! — ryknęli Włosi, którzy zdaje się dzięki rozmowom z nami przeszli na posługiwanie się bezokolicznikami. Następnie ruszyli przed siebie, aby zrzucić ze skrzynki wymowną głosicielkę idei przebaczenia.

Gdy przysłała pora kolacji, byliśmy wszyscy zachrypnięci od wrzasku i kolację jedliśmy na placu, wysłuchując w dalszym ciągu różnojęzycznych przemówień.

Około godziny jedenastej wieczorem, gdy już mogłam mówić tylko szeptem, doszłam nagle do przynoszącego mi niesłychaną ulgę przekonania, że właściwie nie tylko nie potrzebuję brać w tym udziału, ale nawet nie mam prawa tego robić. Nie pracowałam przecież w fabryce i do obozu przywędrowałam pod sam koniec wojny, gdy już Niemców ogarnął strach przed odpowiedzialnością.

Czy Weber był taki czy owaki? Czy Schwarz, Schmidt, Kluge, gruby Schulz wydawali robotników gestapo i znęcali się nad Włochami? Nie miałam przecież o tym pojęcia i nagle zrozumiałam, że nie wolno mi głosować. W jednej chwili uświadomiłam sobie, że bardzo boli mnie głowa, ale że przyziemnie jestem zadowolona mogąc siebie i swoje sumienie wycofać z tego, co się działo i co w dalszej przyszłości może się jeszcze stać.

Zula i Sabina rzeczywiście zainteresowane blisko sprawami fabryki nie dały się odciągnąć, sama więc wróciłam do naszego pokoju.

Irena z zaciśniętymi ustami kończyła się właśnie myć i nie miała najmniejszej ochoty na komentowanie wypadków. Tylko Asia, która siedziała zamyślona na swoim górnym posłaniu i machała gwałtownie nogami, odezwała się nagle z ponurą miną:

— Wszyscy Niemcy powinni być wydani Amerykanom, a ci powinni im wszystkim łby poukręcać.

— Nikt się ciebie nie pyta o zdanie! — zawołała Irena tonem, jakiego u niej nigdy nie słyszałam.

Położyłyśmy się spać, a za oknami huczało i pieniało się. Nieprzyjemne przeświadczenie, że tam się decyduje o czyimś losie, nie pozwalało usnąć w spokoju.

Rano o szóstej obudziły nas wracające z mitingu Zula i Sabina. Od nich dowiedziałyśmy się, że po wielu godzinach wrzaskliwych narad zwyciężyło umiarkowane centrum i że pod kierunkiem jednego Francuza, który z wykształcenia był prawnikiem, spisano memoriał dla władz alianckich. W memoriale tym wskazano Webera, Klugego, Schmidta i Schulza jako przestępców wojennych. Ich przestępstwa udokumentowano zeznaniami poszkodowanych oraz świadków. Wreszcie memoriał został podpisany przez wszystkich robotników od dawna pracujących w fabryce.

Potem wypadki potoczyły się bardzo szybko i bardzo dziwnie. Amerykanie przyjęli memoriał, aresztowali opisanych w memoriale Niemców. Aresztowano ich jednak tylko

trzech, ponieważ Schulz zaraz po wkroczeniu wojsk alianckich wywiązał z miasteczka i nie wiadomo było, gdzie się teraz obracał.

Po południu w wielkiej sali magistratu przeprowadzono coś w rodzaju dochodzenia sądowego lub próbnego sądu. To wszystko, jak nam opowiadał profesor Zarzycki, wypadło niezbyt przyjemnie i niezbyt poważnie. Nasi, czyli auslendiri, byli wymęczeni całonocnymi naradami, a więc zdenerwowani i niesubordynowani. Oskarżeni Niemcy zaś bardzo układni. Zaprzeczali spokojnie stawianym zarzutom, wruszali ramionami, uśmiechali się do Amerykanów i zachowywali tak, jakby z ubolewaniem uczestniczyli w sprawie będącej tylko jednym wielkim nieporozumieniem. A Amerykanie? Amerykanie byli wyraźnie znudzeni i odnosili się do całej sprawy tak, jakby to nie oni ją rozpętali.

„Sąd zakończył się tym, że po zaprotokołowaniu wszystkich zeznań publicznie wypowiedzianych i potwierdzających dane z memoriału trzech Niemców zatrzymano w więzieniu, a naszych ludzi wyproszono z sali i kazano wracać do obozu.

Ta postawa aliantów dziwiła nas i intrygowała. Cisnęło się wszystkim jedno pytanie na usta: po co w ogóle zaczynali i rozhuścili tę sprawę? Teraz było już za późno. Ludzie w obozie rozszaleli się. Wszelkie dawne krzywdy stały się znów aktualne i życie „trzech niedobrych Niemców” wisiałoby na włosku, gdyby nie chroniły ich mury więzienia. A przecież do tego czasu nikomu nie przyszło nawet do głowy wszczynanie odwetowych kroków przeciw Niemcom z fabryki czy z miasteczka. Wszyscy spodziewali się jakiegoś procesu i szykowali się do niego zbierając i omawiając w dalszym ciągu różne niegodziwości niemieckie, a zwłaszcza oskarżonej czwórki. Któregoś dnia usłyszałyśmy podniecone krzyki przed pokojem Franka. Wyszliśmy głowy przez okna, ażeby sprawdzić, co się dzieje. Zobaczyłyśmy, że przed sekretariatem trzech rozgorączkowanych Włochów doskakiwało do naszego komendanta i gestykulowało gwałtownie. Spodziewałyśmy się już i rękoczynów, taki podnieśli harmider. Ale okazało się, że to była tylko reakcja południowców na szok, który przeżyli w miasteczku, a teraz opowiadali o tym Frankowi.

W sekundę potem i my zaczęłyśmy gestykulować i wrzeszczeć nie gorzej od Włochów, gdy dowiedziałyśmy się, że Weber i Kluge spacerowali spokojnie po miasteczku i że śmiejąc się ironicznie złożyli pretensjonalny ukłon naszym Włochom.

W obozie zahuczało. Wszyscy pognali do miasta. Na własne też oczy zobaczyli tych, których oskarżali na życzenie Amerykanów, ostentacyjnie spacerujących po słonecznych ulicach miasteczka zamiast siedzieć w więzieniu.

Franek z francuskim prawnikiem popędzili do „em-pi”* i wrócili z wiadomością, że Niemcy zostali wypuszczeni z aresztu, ponieważ nie było żadnej podstawy, ażeby ich tam trzymać. A na pytanie Francuza, dlaczego więc wszczęto tę sprawę i podniecono ludzi w obozie, otrzymali odpowiedź, żeby nie zawracali głowy. Wrócili bardzo zgnębieni. Wszyscy w obozie czuli się upokorzeni, tym bardziej że Niemcy w miasteczku śmiali się nam prosto w nos.

Mityngu ani żadnego zebrania nie udało się zorganizować, pomimo że wiele osób z wypiekami na twarzach latało od sztuby do sztuby, usiłując namówić ludzi do nowych narad nad tym, w jaki sposób odpowiedzieć Amerykanom za zniewagę, a Niemcom za krzywdy. Ale większość była zrezygnowana, nic więc z tego poza gadaniem nie wyszło.

A następnego dnia obóz obudził się otoczony kordonem wojsk amerykańskich. Military Police wyciągała ludzi z łóżek i szalała, zarzucając pytaniami. Dopiero po półgodzinie straszliwego zamętu dowiedzieliśmy się, że w nocy Weber, Schmidt i Kluge zostali zamordowani przez nieznaną sprawców i ślady, prawdziwe czy urojone, prowadzą niezbitie do obozu.

* Ze skrótu MP: Military Police — żandarmeria.

Chyba przez trzy dni Amerykanie szwendali się po obozie z minami, jakby już... już... byli na tropie, ale wszyscy nasi mieli niezbite alibi. Na Amerykanów cały obóz patrzył wilkiem, obrzucając ich z dala wyzwiskami. Trzeciego dnia aliantom znudziło się prowadzenie dochodzenia i znów przestali się nami interesować.

Siedzieliśmy w naszym pokoju któregoś wieczora bardzo zniechęcone do świata i zawiedzione po raz już nie wiem który, że nasze nadzieje na świetlane życie po wyzwoleniu jakoś się nie spełniają, gdy drzwi się otworzyły i na progu stanął nasz przyjaciel, warszawski tramwajarz.

— Już nasza fabryczka na chodzie. Przyszedłem zaprosić łaskawe panie na uroczyste otwarcie interesu. Pan komendant i pan profesor też obiecali, że przyjdą. Bimberek udał się prima.

Wobec naszego zjełczałego nastroju ucieszyliśmy się, że akurat trafia się okazja, ażeby się zalać i przestać myśleć. Projektowałyśmy sobie zrobić to w sposób pełen wdzięku, ale wiele mówiące toasty:

— No to za stypę!

— No to za koronkową naszą warszawską robotę!

— No to za baranów Amerykańców, którzy są naiwniakami! — sprawiły, że przyspieszyliśmy tempo, ażeby jak najprędzej upić się na sztywno.

8. MIRAŻ OŚMIUSET BEFSZTYKÓW

Te okropne przejścia, które podnieciły i w jakiś dziwny sposób wstrząsnęły naszym obozem, miały jeszcze zupełnie nieoczekiwane następstwa.

Pan Marzecki wraz z panem Kowalskim wykorzystali nastrój podniecenia i niezadowolenia. Ale skierowali go w najmniej spodziewanym kierunku. Po jednym wieczorze ganiań po sztubach i podburzania ludzi zorganizowali w całym tego słowa znaczeniu wspaniałą rewolucję pałacową.

Następny dzień był znów dniem wielkiego mitingu. Marzecki w zręczny sposób pociągał za niewidzialne sznurki, a obie sztuby Obozu Świętej Trójcy dzielnie mu pomagały.

Najpierw odbyła się wielka scena pod tytułem: „Precz z królem”. Mianowicie Franek znalazł się pod ostrzałem straszliwych zarzutów. Okazało się nagle, że Franek nie ma żadnego prawa być komendantem obozu. Argumentowano, że nie został ani wybrany, ani mianowany. Gdy on zaś zająkliwie zaczął opowiadać o mitycznym kapitanie Jacku, który drugiego dnia po wyzwoleniu zatrzymał samochód przed obozem i kazał obóz zorganizować właśnie jemu, Frankowi, ironiczny śmiech gruchnął po ludziach.

Następnie odbyła się wielka krytyka Franka jako komendanta, Franka jako gospodarza, Franka jako człowieka i Franka jako szafarza rzeczy z magazynu. Na ten właśnie temat najbardziej się srożył Obóz Świętej Trójcy, który najwięcej przecież skorzystał z magazynowanych zapasów.

O tym, że Franek nie potrafi godnie reprezentować nas wobec Amerykanów i wywalczyć lepszych warunków i lepszego jedzenia, rozgadał się pan Kopytkiewicz, stary bęcwał, zausznik Marzeckiego. Wrzeszczał ze skrzyńki:

— Powinno być tak! Jednego dnia befsztyk, drugiego dnia kotlet schabowy! Osiemset ludzi — osiemset befsztyków! Jednego dnia osiemset kotletów, następnego osiemset... i tak dalej i dalej.

Od tych wizji befsztykowo-kotletowych tak się wszystkim zrobiło czczo w okolicach żołądka, że ażeby jak najprędzej urzeczywistnić kulinarne marzenia, wybrano szybko komendantem obozu pana Kopytkiewicza, pana Marzeckiego niemniej prędko wybrano na wicekomendanta, pana Kwiatkowskiego na sekretarza oraz jeszcze dwóch panów z towarzystwa Świętej Trójcy,

jednego na skarbnika (ha... ha... ha...), a drugiego na bliżej nie sprecyzowaną funkcję — członka zarządu (hi... hi... hi...).

Wszystko odbyło się szybko i zreźnie. Nikt się nawet nie spostrzegł, że cały nowo utworzony zarząd obozu został wybrany tylko spośród Polaków, i do tego z jednej klikki i sztuby.

Dopiero gdy podniecenie wyborami ustało i gdy ludzie trochę na chłodno podsumowali wyniki mitingu, Włosi, Francuzi i część Polaków podnieśli wrzask.

Pan Marzecki z poważną miną, pełną nowego dostojeństwa, poinformował zainteresowanych, że niestety na wszelkie zmiany jest już za późno. Że cały obóz wybrał już, i to jednogłośnie, właśnie te osoby, w stosunku do których czuł zaufanie. Że jeśli do kierowania obozem zostali wybrani sami Polacy, to z tego wniossek, że tylko Polacy potrafią stanąć na wysokości zadania.

Ale grupy narodowościowe objawiały dalej swoje niezadowolenie, wobec tego zaproponował, ażeby każda z grup wyłoniła od siebie po jednym przedstawicielu, który pełniłby funkcję łącznika pomiędzy swoją grupą a zarządem. I żeby jednak dać jakieś zadośćuczynienie, zabawić, zająć czymś i odciągnąć uwagę od rzeczy zasadniczych, celebrował wraz z nowo wybranym sekretarzem obozu wybory łączników. Tym razem wybory odbyły się według wszelkich przepisów i reguł. Zapisano masy papieru. Głosowano i jawnie, i tajnie, i przez podnoszenie rąk. I nareszcie coś się działo, czym wszyscy byli zajęci i przejęci.

— Le roi est mort, vive le roi — powiedziała Zula, gdy wróciłyśmy do naszego pokoju.

— Franciszek Pierwszy zdetronizowany! Kopytkiewicz otwiera dynastię Kapetyngów, a szarą eminencją obozu jest Marzecki. Niestety na własnej skórze sprawdzimy, jak będą wyglądały jego rządy — powiedziała Sabina.

Sprawdziłyśmy to nawet dość prędko.

Na drugi dzień wezwano nas na zebranie mieszkańców naszego baraku i oznajmiono, że mamy wyprowadzić się do ogólnych sztab obozowych, ponieważ ten barak zostanie zajęty na biura komendantury.

Jeszcze Kopytkiewicz nie skończył swego przemówienia, gdy Sabina obróciła się na pięcie i ostentacyjnie opuściła zebranie, wracając do swego pokoju. Większość osób poszła w jej ślady i plany nowych „panów i władców” nawaliły na całej linii.

Wobec tego zarząd napuścił Kopytkiewicza na obchodzenie pokoików i ugadywanie ludzi.

Gdy Kopytkiewicz zapukał do nas. Sabina uchyliła drzwi i z miłym uśmiechem powiedziała:

— Zupełnie się z zarządem obozu solidaryzujemy. Ten barak stanowczo powinien być przeznaczony na biura i na mieszkania dla członków zarządu. A ponieważ tutaj mieszka pani Nowakowska, która prowadzi sekretariat obozowy, nie pozostaje mi więc nic innego, jak życzyć panu powodzenia w opróżnianiu innych pokoi. — Uśmiechnęła się po raz drugi i zatrzasnęła drzwi przed nosem nowego komendanta, który z dość głupią miną został na korytarzu.

Rozumiałyśmy starania członków zarządu, bo nie tylko dla nich, ale dla wszystkich ludzi w obozie mieszkanie we wspólnych przeludnionych sztabach było nieznośne, ale dłaczego swojej energii nie obrócili na wywalczenie lepszych warunków mieszkaniowych kosztem Niemców?

Podskoczyłyśmy do drzwi i przytknąwszy uszy do szpar, zamieniłyśmy się w słuch.

Kopytkiewicz pukał do pokoju profesora i Franka.

— Słucham? — usłyszałyśmy lodowaty głos byłego Franciszka Pierwszego.

— O! Panowie już nareperowali ścianę i okno — zagaił ucieszonym głosem Kapetyng. — Bardzo mi jednak przykro, ale będą panowie musieli opuścić ten pokój i wrócić do swej dawnej sztuby. Tu musimy przenieść panią Nowakowską z sekretariatem, ponieważ w dawnym pokoju biurowym będzie gabinet zarządu.

— A ja mam w nosie i was, i wasz zarząd, i wasze zarządzenia — zapiał piskliwie Franek i zatrzasnął drzwi przed nosem Kapeta.

Zdusiliśmy śmiech, ażeby się nie wydało, że podsłuchujemy.

Nie wszystkie jednak pokoje potrafiły albo układnie, jak Sabina, albo bezczelnie, jak Franek, ominąć zarządzenia nowego zarządu. Nie wiedziałyśmy, czy pod wpływem próśb, czy grózb, czy obietnic mieszkańcy dwóch pokoi ugięli się przed autorytetem i opróżnili je jeszcze tego samego dnia. Więc Kapet Pierwszy z żoną oraz Szara Eminencja też z żoną, znów uginającą się pod ciężarem waliz, zwalili się do naszego baraku.

Pod rządami Kapeta Irena coraz częściej wracała z sekretariatu z wypiekami na twarzy. Jej poczucie sprawiedliwości wystawiane tam było coraz częściej na próby.

— Niech pani pójdzie do Angela i niech Angelo da dziesięciu Włochów do wyładowania kartofli...

— Niech pani pójdzie do Iwana i niech on wyznaczy z radzieckiej grupy pięciu ludzi do rąbania drzewa dla kuchni...

Niech Angelo da siedmiu ludzi do tego... Niech Iwan da ośmiu ludzi do tamtego...

— A Polacy? A Francuzi — nie wytrzymała Irena.

— Francuzi? Och! Francuzów jest tylko siedmiu i są okropnie pyskaci. Lepiej z nimi nie zaczynać. Zresztą słyszałem, że niedługo wyjadą. A Polacy? Dobrze, że mi pani przypomniała o Polakach. Polacy też dostaną funkcję, a na razie proszę do tej roboty wezwać Iwana — usłyszała w odpowiedzi.

I rzeczywiście, tak jak obiecał, pomyślał wreszcie o Polakach. Po dwóch dniach została zorganizowana wspaniale się prezentująca milicja obozowa, złożona z pięćdziesięciu chłopów i hałaśliwie odbywająca zbiórki trzy razy na dzień przed naszym barakiem. Ta nasza gwardia miała też i głęboko patriotyczne zadanie. Tworzyła ona ni mniej, ni więcej załóżek przyszłej armii. „Bo, panie dzieju, ho... ho... jeszcze nic nie wiadomo”. I tak długo odbywała te zbiórki, jak długo ją to bawiło, czyli chyba przez cały tydzień.

Tak więc my Polacy bawiliśmy się w komendanturę, bawiliśmy się w gwardię, a do niewdzięcznej i jakże mało efektywnej pracy przy kuchni obozowej używaliśmy w sprytny sposób inne narodowości.

A tego co te narodowości sobie o nas myślały i co o nas mówiły podczas tych pierwszych tygodni po wyzwoleniu, nie mogę na szczęście zrelacjonować z powodu słabej znajomości języków obcych.

Tak się ułożyły sprawy w obozie i na pewien czas zakrzepły w tej formie. Po niewczasie też zorientowaliśmy się, jaką siłę stanowi miraż złożony z ośmiuset befsztyków.

Grochówka zaś pozostała grochówką, a fasolówka fasolówką...

9. VIVE LA PUM... LECZ NIE KONIEC KŁOPOTÓW

At last doczekaliśmy się. La guerra e finita. Znowu zachrypliśmy z wielkiej radości. Plac huczał i podskakiwał.

— Niech żyje pokój!!!

— Vive la paix!!!

— E viva la pace!!!

— Da здравствует мир!!!

— Long live the peace.!!!

Ściskaliśmy się i całowali wszyscy ze wszystkimi.

Sabina ucałowała Kopytkiewicza, Franek Zule, a Asia mnie, ku wielkiej mojej radości.

Opadły z nas wszelkie żale i zawiści. Wszyscy w obozie zrobili się tak serdecznie dobrzy i szlachetni, że nie było już złych ludzi na świecie.

Ryczeliśmy na całe gardło nasze pieśni narodowe. Ryczeliśmy „Marsylianę”. Ryczeliśmy „Międzynarodówkę”.

Plakaliśmy, śmialiśmy się i na odwrót.

Cały ten dzień przekształcił się w jeden wielki koncert. Radziecka grupa wystąpiła ze wspaniałym chórem. Kaliszanki z kujawiakami. Włosi z pieśniami, piosenkami, z rozlewnymi, sentymentalnymi barkarolami... Wreszcie wyciągnięto z baraku koncertowy fortepian i uszczęśliwiono nas recitalem szopenowskim.

Wieczorem zaś przy rozpalonych na placu ogniskach płasaliśmy wszyscy ze wszystkimi, a serca nasze rozsadzała radość. I myśleliśmy sobie, że tak już zostanie na zawsze, że tak już będzie po wsze czasy. Toteż następny dzień, który nic się nie różnił od dawniejszych zjełczałych dni obozowych, najpierw nas zadziwił, potem zasmucił, a wreszcie przyprawił o katzenjammer duchowy.

Bardzo szkoda, że wzniosłe chwile są tylko chwilami, po których spada się, jak z pieca na łeb, znów w szarość codzienną.

Nareszcie! Nareszcie!

Komenda obozu wydała nam pięć kuponów na odzież, bieliznę i buty.

Nareszcie miałyśmy się stać prywatnymi osobami, mogącymi zrzucić z siebie niewolnicze kombinezony.

Kupony na buty, bieliznę i pończochy zrealizowałyśmy bez specjalnych wstrząsów, ale dopiero przy wyborze tego, co na kuponie określone było jako jedna sztuka odzieży, nastąpił typowo kobiecy dylemat.

W miasteczkowym „domu mody”, obsługiwanym przez wściekłą Niemkę, która demonstrowała nam obrażoną minę, nie mogłyśmy zupełnie zdecydować się na wybór.

Najprędzej poradziła sobie Irena.

Bez wielkich ceregieli wybrała skromną popielatą garsonkę, uszytą prosto i przypominającą nawet zupełnie elegancki kostium. Drugą taką samą, mniejszego rozmiaru, wpakowała na Asię i już była gotowa. Sabina natomiast wbrew swym zasadom praktyczności wyszukała sobie wieczorową suknię z ciężkiej czarnej żorżety. Ta jej decyzja tak nas skołowała, że Zula ku zazdrości Asi wpakowała się w piękną czerwoną jedwabną sukienkę, a ja ażeby nie być gorsza, w taką samą, tylko że zieloną.

Jeszcze zachwycone naszym wyborem, wróciłyśmy do obozu, ale tam przestałyśmy się zachwycać, gdyż nie pozostało nam nic innego, jak przebrać się znów z powrotem w kombinezony, a piękne suknie zawiesić w szafce.

— No i widzicie — powiedziała wesoło Sabina. — Zula tak nie chciała szafki w naszym pokoju. A jednak się przydała. Jak jest szafa, to znajdzie się też i coś do umieszczenia w niej.

— Zdaje się, że wzięłyśmy te suknie nie dla nas, ale dla szafki, żeby i ona miała jakąś satysfakcję — powiedziałam zawiedzionym głosem, patrząc zazdrośnie na Irenę i Asię, które nareszcie wyglądały po ludzku.

Wieczorem jednak przestałyśmy już tak bardzo żałować naszego wyboru. W ciągu dnia Włosi ułożyli przed swoim barakiem duży kwadrat z desek, na słupach koło tej zaimprovizowanej podłogi zainstalowali głośniki i urządzili obozowi uroczy dansing pod gwiazdami.

Irena po swoim dziwiła się, skąd oni wzięli takie masy płyt, patefonów oraz różnych potrzebnych przyborów i przyrządów.

Przebrane w wytworne suknie płasaliśmy z Aniołami, z Gabrielami oraz Jezusem, od którego się dowiedziałam posługując się naszym dziwnym międzynarodowym językiem obozowym, że matka jego jest Hiszpanką i jej to zawdzięcza swoje tak nas krępujące i szokujące imię.

Co jakiś czas wybuchała w nas niecierpliwość i rządza czynów. Pragnęłyśmy podjąć jakąś bliżej nie sprecyzowaną decyzję co do naszej przyszłości i nareszcie zabrać się do jej realizowania.

Ale te wszystkie porywy wypalały się same w sobie i kończyły na gorączkowym gadaniu. Sierżant Smith, zwany przez nas, z powodu często powtarzanego zwrotu, „Be patient”, został przesunięty ze swym oddziałem „empi” i na jego miejsce przyszedł inny sierżant i inny oddział. Wraz z tą zmianą rozegrała się nowa nieprzyjemna afera.

Zacząło się od tego, że nowy sierżant przyjechał do obozu z niemieckim bauera, mającym gospodarstwo o parę kilometrów od Neustadt. Przyjechali aresztować za rabunek dwóch Polaków: Andrzeja K. i Michała Z., którzy do wyzwolenia pracowali u tego właśnie bauera. W sekretariacie obozowym, w którym się akurat znaleźli obaj komendanci i przypadkowo łącznicy grupy radzieckiej i włoskiej, rozegrała się denerwująca scena.

Przed panem i władcą zajętych terenów, Amerykaninem, wytoczono dwie wersje przebiegu wypadków.

Pierwsza, bauera Krausego, brzmiała krótko: dwaj Polacy pracowali u niego przez prawie cztery lata. Gdy powiat został zajęty przez wojska amerykańskie, uciekli do Neustadt do obozu. Po dwóch jednak dniach wrócili i obrabowali go doszczętnie.

Po tej wypowiedzi Irena nie pozwoliła dojść do słowa ani dwom oskarżonym, ani nikomu innemu i przedstawiła drugą wersję, trochę dłuższą, znaną jej nie od zainteresowanych, lecz od sierżanta Smitha.

Otóż w dwa dni po wyzwoleniu do „empi” zgłosili się Michał Z. i Andrzej K. zeznając, że u bauera, w którego gospodarstwie pracowali i skąd uciekli, znajduje się broń i amunicja, ukryta w miejscu im wiadomym. Na tę wiadomość Smith załadował chłopców do jeepa i wraz z oddziałem około dziesięciu żołnierzy pojechali na fermę. Krause, zapytany o ukrytą broń i amunicję, wyparł się jej posiadania, ale chłopcy zaprowadzili Amerykanów do miejsca, w którym gdy zaczęto kopać, odkryto trzy wielkie skrzynie pełne amunicji i broni. Skrzynie załadowano na samochody, ale Krause nie został aresztowany. Przechowywanie broni w momencie, gdy front był w sąsiednim powiecie, nie wydało się Amerykanom tak wielkim przestępstwem. Sierżant Smith poprzestał tylko na zwymyślaniu Krausego i na pochwaleniu chłopców. Gdy już wszyscy mieli odjechać sprzed domu bauera, Smith widocznie przypomniał sobie o konieczności wynagrodzenia Polaków. Ale że chciał to uczynić kosztem Niemca, zaprowadził ich do mieszkania bauera i kazał im wybrać takie przedmioty, które zrównoważą wartością realną zapłatę za lata pracy. Polakom nie podobała się taka forma załatwienia sprawy, nic nie chcieli brać, ale że Smith się niecierpliwił i nalegał, dla świętego spokoju zabrali symbolicznie po bochenku chleba i po kawałku słoniny. Irena jeszcze dodała, że Smith dlatego jej to opowiadał, bo sam się dziwił powściągliwości chłopców.

— Czy tak było? — zwrócił się Amerykanin do Polaków, gdy Irena skończyła.

— Tak — odpowiedzieli.

— Czy tak było? — zapytał Niemca.

— Nein, nein! — wrzasnął Krause i szybko zaczął coś gadać, ale przyskoczyli do niego Iwan i Angelo, rozzłoszczeni tą bezczelnością.

Wszechwładny sierżant nie pozwolił naszym łącznikom na rękoczynny i powiedział:

— Powiniennem oskarżonych aresztować, bo pani zeznania mogą być stronnice, ale jeśli komenda obozu weźmie na siebie odpowiedzialność za to, że oskarżeni przez Krausego nie uciekną do chwili wyjaśnienia sprawy, mogę ich zostawić w obozie na wolności.

Irena, Iwan, Angelo, a nawet Kapet, zaczęli gorliwie kiwać głowami, Amerykanin zasalutował i wraz z Niemcem opuścił teren obozu.

Drugi akt tej afery rozegrał się po dwóch dniach. Cały obóz wiedział już o wszystkim i bardzo się interesował tą sprawą. Gdy więc przed sekretariat zajechał jeep policyjny z sierżantem i bauera, wszyscy wyskoczyli z baraków i wypadli na plac, ażeby na własne oczy zobaczyć, jak będzie wyglądała amerykańska sprawiedliwość. Obaj oskarżeni będąc pewni swej niewinności nadbiegli także.

Sierżant widząc Irenę na schodkach i obu komendantów, i Iwana, i Angela uśmiechnął się do wszystkich. Poklepał po ramionach Michała i Andrzeja. Niedbałym ruchem sięgnął do kieszeni i podał im po paczce papierosów, następnie klepiąc ich znów oznajmił na cały plac: — Polish boys okay! Polak dobra!

Nagle twarz mu się skurczyła i zupełnie dla nas niespodziewanie od humoru dobrodusznego przeszedł do furii. Kopnął Krausego, wyrznął go pięścią w twarz i ryknął:

— Speak: „Polak dobra”!

Niemiec cofnął się i oparł plecami o ścianę. A nas ogarnęło zdumienie.

— Speak: „Polak dobra”! Mów: „Polak dobra”! — zakrzyczał, zamierzając się znów do bicia.

Niemiec patrzył z nienawiścią po otaczającym go tłumie.

Angelo doskoczył do sierżanta i zaczął po swojemu gadać i gestykulować. Irena przypadła z drugiej strony. Ale zostali odepchnięci i nowa porcja uderzeń spadła na twarz Niemca.

Dziwne formy przybiera czasem sprawiedliwość. Za trochę żywności, i to podarowanej, Amerykanie chcieli aresztować Polaków, a za ukrywanie broni podczas działań wojennych i za fałszywe oskarżenie domagają się za karę wypowiedzieć formułkę: „Polak dobra”.

Gdzie tu sens? Gdzie logika? Gdzie zdrowy rozsądek?

Nie mogliśmy patrzeć na tego rodzaju wymiar sprawiedliwości i podczas gdy sierżant walił Niemca, rozeszliśmy się do naszych baraków.

Gdy więc skatowany, a uparty Niemiec wyjąkał wreszcie: „Polak dobra” — sierżant był bardzo zawiedziony, że tak efektowne jego wyczyny nie tylko nie spotkały się z zachwytem, ale nie miały już prawie wcale świadków.

Szybko zaczęliśmy zapominać o tej sprawie, bo cały obóz zajął się nowymi wypadkami.

Przyjechała wreszcie delegacja z Francji i musieliśmy żegnać się czule z Francuzkami i Francuzami, którzy pierwsi doczekali się wyjazdu do kraju.

Sabina zakrzętnęła się koło nich i dostała w prezencie kupę różnych gratów, których zdecydowali się nie zabierać ze sobą. Przytaszczyła do naszej sztuby młotek, obcęgi, nożyce do cięcia metali, maszynkę elektryczną i czajniczek, średnich rozmiarów wagę z kompletem odważników oraz całe narzędzia powieściowe, abyśmy miały na czym odświeżać naszą słabiutką szkolną francuszczyznę, no i największy skarb — karty do gry. Z jednych rzeczy cieszyliśmy się, z innych naśmiewały, ale Sabina twierdziła, że nigdy nie wiadomo, co kiedy się może przydać. I bylibyśmy wszyscy już kompletnie zapomnieli o aferze z Krausem, gdyby znów nie wybuchła, i to w sposób nieoczekiwany.

Najpierw nastąpiły znów jakieś przesunięcia wojsk i znów zmienił się oddział Military Police.

W pierwszej chwili, gdy zajechał jeep ze znanym nam bauerem i z jakimś amerykańskim oficerem, Irena była raczej rozśmieszona uporem Niemca. Ale gdy pogadała z przedstawicielem wojsk alianckich, zaraz ją dobry humor opuścił. Lieutenant Brown bowiem nie chciał z nią o tej sprawie w ogóle rozmawiać. Kazał wezwać Michała i Andrzeja.

Aresztował ich z miejsca i zabrał do miejskiego więzienia. A Krause patrzył na Irenę butnie, tak jak to Niemcy potrafią patrzeć, gdy czują swoją przewagę.

Natychmiast po ich odejście Irena zawołała do biura komendantów, ale nie mając do nich zbyt wielkiego zaufania wezwała też Iwana i Angela. Rzeczywiście tak jak przypuszczała, pan Marzecki orzekł, że Michał i Andrzej sami są sobie winni, bo po co się we wrogim kraju narażali zupełnie niepotrzebnie. Starał się też sprawę zbagatelizować i wytłumaczyć zgromadzonym, że obóz może tylko ubolewać, ale że nie ma żadnego obowiązku tą sprawą się interesować. Jednakże Angelo i Iwan tak samo byli przejęci jak Irena. Udało im się opanować Kapeta, który może dlatego, że nie zdobył na Amerykanach obiecanych obozowi befsztyków starał się odzyskać popularność, a może zdobrzył w towarzystwie Ireny, dość że bardzo się przejął wypadkami i postanowił pomagać przy próbach wydostania chłopców z opałów. Z czterech osób złożona delegacja powędrowała więc do miasteczka i zameldowała się w Military Police. Ale oficer nie chciał z nimi gadać. Zorientowali się też, że

Brown jest z pochodzenia Niemcem i że słowo Niemca jest dla niego ważniejsze niż autorytet delegacji obozowej. Powiedziawszy im, że nie ma zamiaru sprawdzać w poprzednich stacjonujących tu oddziałach, jak się sprawy przedstawiały, sucho wyjaśnił, że ma rozkaz aresztowania za bandytyzm i rabunki, że wraz z doniesieniem bauera Krausego prześle oskarżonych do centrali, że na ten temat nie ma nic więcej do powiedzenia ludziom z obozu. I wyprosił przybyłych za drzwi.

W drodze powrotnej delegacja uradziła, co musi uczynić.

Irena wpadła do nas na chwilę, ażeby się pożegnać. Zabrała ze sobą ręcznik, szczotkę do zębów i nawet nie zdążyła opowiedzieć ze szczegółami, jak to się wszystko odbywało.

Wyleciałyśmy za nią i odprowadziłyśmy ją, Kapeta i Iwana na szosę, gdzie zatrzymaliśmy wojskowy samochód jadący na północ. Nasza trójka żegnana najlepszymi życzeniami powodzenia rozpoczęła podróż po „zonie” amerykańskiej w poszukiwaniu sprawiedliwości lub poprzednich oddziałów „empi”.

Po dwóch dniach delegacja wróciła w dobrym zdrowiu, z upolowanym w sąsiednim mieście sierżantem, tym który usiłował wmówić Krausemu, że „Polak dobra”, ale niestety wmówił mu to na bardzo krótko. Powracająca ekipa została powitana w obozie wiwatami i Kapet cieszył się sukcesem i swoją popularnością.

A sukces był rzeczywiście nadzwyczajny, bo chłopcy zostali wypuszczeni z więzienia, a Krause zajął ich miejsce za kratkami.

Po dwóch jednak dniach, gdy nowe wypadki, jak na przykład przyjazd wojskowej delegacji radzieckiej, odwróciły uwagę wszystkich od innych spraw, Irena i Kapet namówili naszych chłopców do wyniesienia się po angielsku z obozu, do wyszukania w okolicy innego obozu z auslendrami i do zameldowania się tam pod zmienionymi nazwiskami. Znając bowiem już „sprawiedliwość” naszych aliantów, nikt nie mógł gwarantować, jak długo Krause będzie w więzieniu. A po jego zawziętości można się było spodziewać nowych prób mszczenia się. Biorąc też pod uwagę płynność stacjonowania wojsk amerykańskich, w przyszłości poszukiwania potrzebnych do wyjaśnień jednostek wojskowych mogły natrafić na trudności nie do pokonania.

Chłopcy przyznali rację Kapetowi i Irenie. O świcie następnego dnia zniknęli z obozu.

A my wszyscy przekonał się, że nie ma takiej władzy, która gwarantowałaby nasze prawa i sprawiedliwość. Równocześnie też sprawa ta nauczyła nas, że lepiej nie okazywać aliantom naszej lojalności. Oduczyl nas tego sami.

10. ZREALIZOWANE MARZENIE... I GO Z TEGO?

Po wyjeździe Francuzów, Belgów, a potem Radzieckich w barakach zrobiło się luźniej, ale i smutniej.

Czekanie na coś i marzenie o czymś jest znacznie przyjemniejsze niż to wszystko, co przynosi z sobą osiągnięcie celu.

Oczekiwaliśmy zakończenia wojny.

Skończyła się.

I co?

Ja marzyłam kiedyś o słodkim próżnowaniu, o życiu bez pracy.

Teraz nareszcie próżnowałam.

I co?

Nawet to próżnowanie rozczarowało mnie, nawet z tym próżnowaniem była bieda.

A przecież pogodę mieliśmy piękną jak rzadko. Przecież był akurat maj i czerwiec. Okolice zachwycająca. Jakie to tam to kotłowe jedzenie było, takie było, ale w każdym razie głód się skończył. Był dach nad głową. Był miły, śmieszny, kratkowany pokoik, do którego nawet się przywiązałyśmy. Były dobre przyjaciółki. Nawet muzyka była, bo od baraków włoskich

szedł koncert za koncertem, i to od najcięższego beethovenowskiego kalibru, aż po najlżejsze piosneczki. Były i powieścielka francuskie. Był i brydż.

Czegóż więc brakowało, ażeby oddać się beztroskiemu i słodkiemu far niente.

Ano okazało się, że brakowało teraz celu i brakowało pracy.

Tak jakoś głupio i przewrotnie został człowiek zbudowany, że zawsze chce mieć to, czego nie ma.

Gdy więc już opalanie się, czytanie, przechadzki, brydż, płasy z Włochami znudziły nam się, biegliśmy do kuchni obierać kartofle lub na wzór Ireny szorować latryny.

Po takich wyskokach kpiłyśmy z siebie nawzajem, bo któż normalny chwytą się bezinteresownie pracy, jeśli nie musi jej wykonywać?...

Zatęchłe tygodnie zaczęły się przeciągać w miesiące, a my siedzieliśmy w obozie, czekając nie wiadomo na co.

Asia tak z początku zawzięcie garnąca się do nauki, oklapła. Oklapła też i przestała gorzeć na społecznie Irena, która w tym okresie nie miała w kancelarii obozu roboty, nic się bowiem nie działo.

Nie bardzo miałyśmy również o czym gadać, ażeby się nie powtarzać. Wszystko już sobie opowiedziałyśmy: o nas samych, o naszych mężach, o naszych narzeczonych, o ciotkach, dziadkach, o wszystkich znajomych i wszystkich nieznanym.

Nuda i przygnębiająca beznadziejność ogarniała nas i przytłaczała coraz bardziej.

W tę to właśnie straszliwą nudę, jak grom z jasnego nieba, spadł nareszcie polski łącznik. Był nim oficer z Murnau.

Cała polska grupa w obozie stanęła na głowie.

Wyrwaliśmy sobie naszego gościa i o mało go nie rozszarpaliśmy z wielkiej radości i żądzy nowin.

Spędził on z nami całe dwa tygodnie. Odwiedził każdą sztabę. W niektórych był po parę razy. Zapoznał się ze wszystkimi i zaprzyjaźnił.

Gdy przyszedł do naszego pokoiku, wpatrywałyśmy się ze ściśniętym sercem w jego bladą ascetyczną twarz i z nabożeństwem słuchałyśmy wyjaśnień dotyczących sytuacji politycznej. Sabina polewała łzami jego przedwojenną wojskową czapkę, którą trzymała w drżących ze wzruszenia rękach. Rozumiałyśmy ją i tak zawsze skłonne do pożartowania z siebie nawzajem, teraz siedziałyśmy cicho, starając się uszanować jej wzruszenie wywołane wspomnieniami.

Po wyjeździe łącznika ogarnął nas zdeterminowany spokój.

Nareszcie dowiedzieliśmy się, jak należy teraz postępować i czego od nas wymaga i oczekuje nasza polska racja stanu.

Nie wrócimy do radzieckiej Polski!

Wszystkie nasze siły obrócimy na wywalczenie takiej Polski, jaka była przed wojną!

Nie ugnie nas żadna siła!

Przysięgliśmy wysłannikowi (czyjemu wysłannikowi nie bardzo wiedzieliśmy) postąpić tak, jak nas wymownie i wszechstronnie poinformował.

Do powzięcia takiej decyzji przyczyniło się jeszcze i to, co o Związku Radzieckim mówiono nam w okresie międzywojennym i czym nas na ten temat karmiono. Wyraziwszy się więc w sposób pretensjonalny a górnolotny: posiew padł na uprzednio użyźnioną i przygotowaną rolę.

W tej sytuacji trudno się dziwić, jak piekielne przerażenie ogarnęło wszystkich, gdy w jakieś dziesięć dni po wyjeździe naszego tak bardzo honorowego gościa gruchnęła po obozie wiadomość, przyniesiona nie wiadomo skąd i nie wiadomo przez kogo, że Amerykanie oddają Rosjanom Turynię.

A my?

A co z nami?

Pan Marzecki przestał szachrować z kucharzem obozowym o większy ochłap mięsa w jego porcji i nareszcie zobaczyliśmy go zdenerwowanego i przestraszonego. Ale jakąż to było dla nas nikłą pociechą!

Marzecki z Kapetem popędzili do Amerykanów, a cały obóz wyległ na plac w pełnym napięciu niepokoju.

Włosi, którzy tymczasem zostali wtajemniczeni w naszą polityczną sytuację: być albo nie być, wylegli także solidarnie, a kierowani subtelnością, zamknęli głośniki. Przestali też wygrywać na akordeonach, skrzypcach i pianinach.

Głucha, pełna niepokoju cisza zaległa nad barakami.

Dopiero nad wieczorem wrócili komendanci. Marzecki z bladą twarzą wdrapał się na skrzynię przed sekretariatem i suchym głosem oznajmił:

— Za trzy dni do Neustadt wkroczą wojska radzieckie. Włosi zostają w obozie. Władze radzieckie zorganizują dla nich transporty repatriacyjne.

Irena przetłumaczyła wiadomość Włochom, którzy przyjęli ją spokojnie.

— Co do Polaków... — zabrał znów głos Marzecki i utknął.

— Gadaj pan prędzej, do jasnej cholery! — ryknął ktoś w tłumie.

— Co do Polaków, to Amerykanie będą mogli wywieźć tylko tych, którzy podpiszą... — z dziwną miną ciągnął powoli wicekomendant — którzy podpiszą kontrakt na pięć lat pracy w kopalniach belgijskich. Reszta zostanie.

— Coooo?

Po tym jednym „co”, którym ktoś przeciągle jęknął, głucha cisza zapanowała na placu.

Potem zakotłowało się. Posypały się pytania. Ale i Marzecki, i Kopytkiewicz niewiele więcej wiedzieli. Oznajmili tylko, że jutro rano przyjdą odpowiednie władze amerykańskie, upoważnione do załatwienia formalności związanych z kontraktowaniem ludzi na pracę w kopalniach belgijskich. Trzeba się więc do jutra zdecydować. Pojutrze rano przyjdą samochody, które wywiozą zakontraktowanych. A popojutrze obóz zostanie przejęty przez władze radzieckie.

Poinformowawszy jeszcze, że oni obaj wraz z rodzinami zdecydowali się podpisać zobowiązanie do pracy w kopalniach i przypomniawszy, że każdy uczciwy Polak powinien tak samo postąpić, wycofali się do swoich pokoi.

W przynębiającej ciszy rozeszliśmy się do naszych sztab. A po pół godzinie, gdy przetrawiono rewelacyjne wiadomości, rozpoczął się najgorszy wieczór i najgorsza noc w historii naszego obozu.

Nikt nie położył się spać. Ludzie latali od sztaby do sztaby i radzili się jedni drugim, i radzili jedni drugim.

Siedziałyśmy w naszym kratkowanym pokoiku oniemiałe i zwykła gadatliwość opuściła nas zupełnie. Każda zagłębiła się w sobie i biła się z własnymi myślami.

Wieczorem około godziny dziesiątej przyszedł do nas Marzecki.

— Pani Ireno — powiedział. — Musimy pójść od baraku do baraku i zrobić próbny spis ludzi zdecydowanych na wyjazd. Równocześnie będziemy agitować. Komenda obozu uradziła, że dla nas wszystkich byłoby najlepiej, gdyby cały obóz zapisał się jednogłośnie.

Irena popatrzyła na niego szklanym wzrokiem i tak zawsze pełna entuzjazmu do każdej nadprogramowej roboty, nie ruszyła się ze stołka.

— Nie. Nie pójde robić próbnych spisów. Nie będę też agitować za kopalniami w Belgii.

Niech każdy o swoim losie zdecyduje sam, na własną odpowiedzialność.

— Czy pani wie, że pani odmowa wygląda podejrzenie?

— To trudno. Niech sobie wygląda, jak chce — odpowiedziała słabym głosem.

Marzecki powiódł po nas okiem.

— Ale wy wszystkie zapisujecie się, prawda? — zapytał.

— Naturalnie! — zawołałam jednocześnie z Zulą, a Sabina i Irena skinęły głowami.

— Wobec tego sam pójdę do baraków — uśmiechnął się z ulgą Marzecki.

Po Marzeckim przyszedł profesor Zarzycki z zapytaniem, czy jedziemy i z wiadomością, że on jedzie, potem Franek z tym samym, a potem przychodziło jeszcze dużo ludzi, ażeby zwierzyć się ze swych postanowień, poradzić nam i zapytać o nasze projekty.

Okolo północy trzeźwa jak zawsze Sabina zaproponowała, ażebyśmy się napiły prawdziwej kawy, którą chowałyśmy na jakąś wyjątkową okazję.

— Przy czarnej kawie lepiej się myśli — dodała.

— Przecież już zdecydowałyśmy, nie mamy więc o czym myśleć — powiedziałam.

— Ejże? — Sabina rozstawiła kubki na stole. — A mnie się wydaje, że jeszcze nawet nie zaczęłyśmy myśleć.

— Mogę myśleć tylko o tym, że takich drani, jak Amerykanie, jeszcze nie widziałam. Jeśli więc jeszcze mamy coś do myślenia, to róbmy to szybko i intensywnie. Jak za dużo czasu na to poświęcimy, to zwariujemy — powiedziałam ze złością.

Siadłyśmy w kompletnej ciszy, sapiąc ciężko przy tej uciążliwej robocie, aż wreszcie Sabina się odezwała:

— Róbcie, co chcecie. Ja zostaję.

Zamarłyśmy z przejęcia.

— Sabino!...

— Tak. Zostaję. I nie chcę już na ten temat ani mówić, ani myśleć.

— Ale przecież musisz nam powiedzieć dlaczego? — zapytałam.

— Zważyłam naszych „przyjaciół” amerykańskich i wyniki ważenia pokazały mi drogę, którą mam wybrać.

— Ważyłaś na tej wadze od Francuzów? — zapytała ironicznie Zula. — Nareszcie to żelastwo na coś się przydało.

— Tak — odpowiedziała spokojnie Sabina. — Na jednej szali położyłam naszą znajomość Amerykanów i nasze dotychczasowe z nimi doświadczenia, a na drugiej to, co właściwie jest dla mnie wielką niewiadomą o Związku Radzieckim. Bo wydaje mi się, że tylko te dwie potęgi trzeba w obecnej chwili brać pod uwagę. I nie tylko musimy wziąć pod uwagę, ale i musimy wybrać. Wybieram więc Związek Radziecki i obszar objęty jego wpływami. Amerykanie za bardzo mi już dokuczili. Wysłannik z Murnau zdaje się tumaniał nas. A te kopalnie przeważały szalę. Wybieram teren wpływów Związku Radzieckiego! Poza tym skończyłam na ten temat rozmowy. Żadnych reklamacji nie przyjmuję. Wy same zdecydujcie o swoim losie. Ufff! Nie macie pojęcia, jak się cieszę i jaki ciężar spadł mi z serca.

Jej spadł, a nas ogarnęła panika.

Gadałyśmy jedna przez drugą, ale Sabina zaczęła z nas żartować, dyskusja więc przestała być rozmową na poziomie.

— Ciociu — odezwała się nagle Asia, która dotychczas siedziała cicho z policzkiem przytulonym do ramienia Ireny. — Czy pamięta ciocia, jak siedziałyśmy w kotłowni niemieckiego zameczku i czekały na wojska radzieckie? Ciociu! No, ciociu! — przymilnie głaskała ramię Ireny swoim policzkiem. — Czy ktoś nas zmusza do rozstania się z panią Sabiną?

Patrzyłyśmy na nią zdziwione.

A mnie stanęła przed oczami kotłownia. Przypomniało mi się, że to z mojej inicjatywy czekałyśmy z Ireną na przewalenie się frontu. Wtedy nie bałyśmy się Związku Radzieckiego. Wydało mi się nagle, że wtedy rozumowałam trzeźwo, jasno, mądrze. Czyżbym przez te pół roku zgłupiała doszczętnie?

— Hurra! — wrzasnęłam i skoczyłam ścisnąć Sabinę. — Zostajemy z tobą! Precz z belgijskimi kopalniami!

— Naprawdę? — ucieszyła się trochę jeszcze niepewnie Sabina i wpatrzyła w Irenę.

— Tak — odpowiedziała Irena spokojnie. — Asia chce, żebyśmy wracały do kraju. Myślę, że i ona, i ty, i ty macie rację.

Już miałyśmy się sobie rzucić w ramiona, ażeby uściskami przypieczętować radosną zgodę na decyzję Sabiny, gdy nagle Zula zerwała się ze stołka i ryknęła:

— Podłe! Podłe świntuchy! Zdradziłyście! A ja się tak z wami przyjaźniłam!... — zaczęła łkać i upadła na łóżko.

Na jej histeryczny krzyk wpadł z sąsiedniej sztuby profesor i Franek. Zula wiła się na łóżku, płacząc rozpaczliwie, a my stałyśmy zrozpaczone, z żalem do naszego parszywego losu, że nie zaoszczędził nam takich przeżyć.

Gdy Zula głosem przerywanym łkaniem opowiedziała gościom o przyczynie konfliktu, profesor Zarzycki zrobił się nagle zimny i oficjalny, a Franek dreptał nerwowo, przestępując z nogi na nogę.

— Nie chcę z nimi oddychać tym samym powietrzem — patetycznie, a właściwie komicznie, żaliła się Zula.

— Niech się pani przeniesie do naszego pokoju — zaproponował profesor, któremu to, co ona gadała, wcale nie wydało się śmieszne.

— Zula! — zawołała zrozpaczona Sabina. — Co ty wyprawiasz?

— Nie chcę z wami mieć nic wspólnego — odpowiedziała Zula. — Dobrze, panie profesorze, skorzystam z pana propozycji.

Z nosami na kwintę uczestniczyłyśmy w tej przeprowadzce Zuli o godzinie chyba drugiej w nocy.

Profesor z Frankiem przenieśli jej łóżko. Zula, pociągając nosem, wyjęła z szafy swoje zawiniątko z tak zabawnie ongiś zdobytą bielizną pościelową. Zabrała swoją przesłiczną czerwoną sukienkę i swój brudny po kawie kubek. Nie kiwnąwszy nam nawet głową wyszła z pokoju.

Po korytarzu zaczęły biegać kroki i krocзки z pokoju do pokoju i w pięć minut potem poczułyśmy się w baraku jak zadżumione.

Po tych przejściach cała nasza radość ulotniła się i poczułyśmy się okropnie smutne i przygnębione.

Po pewnym czasie Sabina przypomniała sobie, że nie podzieliła się z Zulą cukrem, który traktowała jak wspólną własność. Odsypałyśmy więc kupę cukru w czyściutką powłokę od poduszki i Sabina wyruszyła do tak bardzo wrogiego nam obecnie pokoju naszych przed koniecznością dokonania wyboru dobrych przyjaciół.

Ale niestety wróciła po minucie, ponieważ Zula ani nie chciała z nią rozmawiać, ani przyjąć cukru skażonego już widocznie miazmatami komunistycznymi.

Wściekle i zrozpaczone położyłyśmy się wreszcie, chociaż o zaśnięciu i przespaniu się nie było mowy.

— To chyba Piętnasty Jeździec Apokalipsy, a tętent jego kopyt jeszcze nie cichnie za horyzontem — powiedziała nagle w ciemności Irena.

Wypadło to nawet trochę śmiesznie, żadna z nas się jednak nie roześmiała, poczucie humoru zupełnie nas opuściło.

III. KRÓTKIE INTERMEDIUM



Obóz przestał istnieć.

Na jego miejscu powstały dwa obozy. Skłócone i pełne nienawiści obrzucały się wyzwiskami, a nawet klątwami.

Rano przyjechali Amerykanie, wyciągnęli z sekretariatu na plac stoliki, rozłożyli na nich papiery. Kapet i Marzecki uwijali się uniżenie, zdmuchując proch sprzed stóp.

Zaczęło się wpisywanie na listę i podpisywanie jakichś deklaracji w języku angielskim.

Milczący tłum asystował ponuro przy tej ceremonii.

Do pracy w kopalniach zapisała się mniej więcej trzecia część ludzi.

Ale spokój nie wrócił, bo przez cały dzień ciągle jeszcze ktoś ogarnięty paniką pędził do miasteczka do Amerykanów. Jedni lecieli, żeby się wykreślić i wycofać podpisane deklaracje.

Drudzy, żeby się jeszcze na listę dostać i deklarację podpisać.

Dzień więc należał także do ciężkich, okropnie nieprzyjemnych i denerwujących.

I tak jak w naszym pokoiku, nie obeszło się tego dnia w niektórych sztabach bez awantur, a nawet bójek.

W ogóle byliśmy zdziwione, że dzień ten nie przyprószył siwizną naszych głów.

Następnego dnia zajechały na plac ciężarowe samochody i „górnicy” załadowali się na nie.

Przywarłyśmy do boku samochodu, w którym siedziała Zula w towarzystwie profesora, Franka i obu sztab Okopów Świętej Trójcy.

— Zula! Uśmiechnij się do nas na pożegnanie! — błagałyśmy.

Ale Zula siedziała z kamienną twarzą.

— „Górnicy”! A zabraliście kilofy? — leciały żarciki z tłumu zostających.

— A wy pojedziecie durch na Syberię — odpowiadano z samochodów.

Widmo Syberii przytłumiło wesołość zostających i sprawiło, że nagle jedna z dziewcząt wybiegła z tłumu i płacząc zaczęła się wspinać na samochód.

— Karolcia! — zawyły jej przyjaciółki i podbiegły do ciężarówki, ale „górnicy” szybko wciągnęli między siebie tę jeszcze jedną uratowaną od obłędu duszę.

Samochody ruszyły.

— Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni — usłyszałyśmy straszliwą groźbę z samochodów, dość dziwną w tym wypadku, ponieważ nikt się już nie śmiał.

Wielkim tłumem wybiegliśmy na drogę, ażeby jeszcze za odjeżdżającymi kiwać i machać rękami, tak jak to robiliśmy za samochodami wywozącymi Francuzów i Radzieckich. Ale w tym wypadku nie odpowiedziano życzliwymi pozdrowieniami.

Wróciłyśmy na plac jak z pogrzebu.

Ale natychmiast po powrocie Włosi wzmocnili głośniki i zanurzyli cały ten dzień w szalonej, wesołej muzyce. Wieczorem zaś odbył się jeden z najzabawniejszych, najweselszych dancingów, suto przeplatany występami miejscowych talentów.

— Jutro przeżyjemy drugi koniec wojny — powiedziała Sabina, gdy układałyśmy się do snu.

— Mam przecucie, że władze radzieckie nie będą nas tutaj niepotrzebnie trzymać i tak jak szybko zabrali swoich, tak prędko odeślą i nas do Polski. A tam nareszcie zapuścimy korzenie i zaczniemy żyć normalnie.

— Uff! Żeby to jutro przyszło jak najprędzej — odezwała się Asia.

— Już właściwie jest to jutro, bo chyba po dwunastej — ziewnęłam i pogrążyłam się w sen pełen nadziei.

Obudziła mnie gwałtowne szarpanie za ramię. Nade mną stała Sabina, zupełnie już ubrana, z twarzą dziwnie wykrzywioną.

— Co się stało? — usiadłam na łóżku przestraszona i pełna najgorszych przeczuć.

— Wstawaj prędko! Nie czas na wylegiwanie się. Jesteśmy otoczeni przez Amerykanów, którzy usiłują wywieźć nas siłą. Irena tam z nimi pertraktuje.

Ubierałam się gorączkowo obserwując jednocześnie przez okno plac obozowy. Zawalony był samochodami ciężarowymi, między którymi wałęsali się Amerykanie i grupkami przelatywali zaaferowani Polacy i Włosi.

Za chwilę wpadła Irena.

— Nie chcę wcale rozmawiać. Powtarzają tylko, że otrzymali rozkaz nie zostawić ani jednego auslendra. Mają wywieźć wszystkich i tak się zachowują, jakby sami jeszcze nie wiedzieli, gdzie nas mają wywieźć.

— A ja się nie ruszę — powiedziała mocno Sabina. — Wojna się skończyła i mam prawo robić z sobą, co zechcę.

Do pokoju wpadła Asia.

— Słuchajcie! Nie macie pojęcia, co się dzieje! Trzeci barak już załadowany. W bimbrowni zabarykadowali się powstańcy i Amerykanie właśnie wywalają drzwi. Z drugiego baraku wynieśli Frączakową razem z łóżkiem i ustawili na ciężarówce. Włosi prawie że biją się z nimi, bo nie pozwalają im załadować fortepianu. I co my teraz zrobimy?

Wypadłyśmy na plac.

To, co się na nim wyprawiało, przypominało analogiczne widoki z okresu okupacji.

Amerykanie z początku oględnie, a potem coraz bardziej niecierpliwie, a niektórzy i brutalnie ładowali ludzi na samochody. Odczuwało się wyraźnie gorączkowy pośpiech. Kordon wojska otaczał obóz, tak że ani wymknięcie się, ani ucieczka nie miały żadnych szans.

To już nie było osłupienie. To już nie było rozczarowanie. To był naprawdę kataklizm, który walił się nam na głowy.

Szarpać się z Amerykanami i przeciwstawiać się siłą nie miało najmniejszego sensu. Wołać o sprawiedliwość też.

Zrozpaczone więc wróciłyśmy do naszego pokoiku i ogołociłyśmy go z kratkowanych zasłon i firanek. Następnie zabrałyśmy się do pakowania, starając się zrobić to z jakimś sensem, ażeby nie stracić i nie pogubić tej odrobiny nędznych ruchomości, które udało nam się zgromadzić.

W ponurym milczeniu ładowałyśmy na najbliższej stojący samochód i młotki, i obcęgi, waniankę i miednicę, wiaderka i wagę z odważnikami, a nawet pamiątkową obłupaną i podrapaną kanę, ponieważ Sabina nie wiadomo dlaczego uparła się, żeby zabrać wszystko.

— Quickly, quickly... — popędzał nas żołnierz, który stanął w progu.

— Żebyś zdechł, bydlaku — odpowiedziała mu Sabina.

Z głupimi minami usiadłyśmy na materacach, które Sabina też wytaszczyła z łóżek, i patrzyłyśmy na inne ogłupiałe miny osób siedzących na tej samej ciężarówce.

Samochody wreszcie ruszyły, a Włosi niefrasobliwie zaczęli śpiewać.

Kolumna transportowa wyjechała z bocznej drogi na szosę i skręciła na południe w kierunku Bawarii.

— No patrzcie! Wywożą nas do „zony” amerykańskiej, pewno do jakiegoś innego obozu. Mój Boże!... a ta biedna idiotka Zula pewno już dojeżdża do swojej kopalni, w której będzie musiała pracować przez pięć lat. Mam straszne wyrzuty sumienia, że nie zatrzymałyśmy jej, choćby siłą. Ale kto mógł się tego spodziewać? Ireno! Czy pytałaś się Amerykanów o transport naszych „górników”?

— Pytałam. Ale albo nie wiedzieli, gdzie ich wywieziono, albo nie chcieli powiedzieć. Nie udało mi się nic z nich wyciągnąć.

— „Górnicy” wystrychnięci na dudków... My wystrychnięci... Ireno! Czy pytałaś się ich, dlaczego przedwczoraj kazano nam wybierać?

— Pytałam — odpowiedziała cierpliwie Irena. — Ale albo sami nie wiedzieli, albo jeśli wiedzieli, nie chcieli powiedzieć.

— A pytałaś się ich, dlaczego się z nami nie liczą?

— Pytałam... — smutno odpowiedziała Irena, nie dodając już, że i na to pytanie nie udzielono odpowiedzi.

— Ireno! — wrzasnęła znów Sabina, przekrzykując warkot motorów. — A pytałaś się ich, czy mają dobrze w głowie?

Na to pytanie Irena odpowiedziała wzruszeniem ramion.

Po dwóch godzinach jazdy szeroką asfaltową szosą zobaczyliśmy jakieś miasteczko. Nie dojechaliśmy jeszcze do niego, gdy na moście transport nasz został zatrzymany przez MP. Po krótkiej rozmowie z oficerem, który jechał w jeepie, samochody ruszyły znów, ale na pierwszym skrzyżowaniu auta wiozące Włochów skręciły na prawo, a nasze z Polakami skręciły w lewo.

Na wszystkich samochodach powstał krzyk i hałas. Krzyczeli Włosi, coraz bardziej zasłaniany gałęziami drzew przydrożnych, krzyczeliśmy i my.

Sabina zaczęła walić pięściami w budkę, w której siedział szofer i żołnierz MP. Samochód trochę przyhamował i przez uchylone drzwiczki wychyliła się głowa żołnierza.

— What? — zapytał.

— We must say good-bye to Italians! — zawołała Irena.

— My musimy, my chcemy pożegnać się z Włochami! — krzyczeliśmy wszyscy.

Żołnierz wyszczerzył zęby i cofnął się do budki. Samochód przyśpieszył biegu.

Więc nawet nie pozwolono się pożegnać. Nawet nie pozwolono nam podziękować za miłe koleżeństwo, za bezinteresowną pomoc, za beztroską wesołość.

Wszechwładni Amerykanie rozdzielili nas bez uprzedzenia i w ten sposób zniknęli z naszego życia przemili chłopcy, do których wszyscy tak bardzo przywiązaliśmy się podczas tych długich miesięcy najpierw niewoli, a później „wolności”.

— To, co się działo podczas okupacji, było okropne, ale przynajmniej zrozumiałe — zaczął mówić siedzący koło nas towarzysz niedoli. — Wtedy wszystko było właściwie proste i logiczne. Niemcy byli naszymi wrogami i dążyli do wyniszczenia nas. My walczyliśmy z nimi i staraliśmy się za wszelką cenę przetrwać. Ale teraz?...

Nikt na wozie nie odpowiedział na te refleksje i znów pełna rezygnacji cisza zapanowała na ciężarówce.

Tymczasem transport samochodowy przejechał bocznymi ulicami przez niezbyt duże miasteczko i serpentyną zaczął się wspinać na dość wysoką górkę, na której zobaczyliśmy wielkie koszarowe dwupiętrowe budynki, otoczone wysoką drucianą siatką.

Po krótkiej chwili otworzyła się ciężka brama, samochody wjechały i ciężka brama zamknęła się za nami.

IV. PIĘKNE DNI ARANJUEZU

porcja druga



1. KARCZMA SIĘ PALI

Samochody przejechały jedną uliczką obsadzoną dwupiętrowymi blokami, zakręciły w drugą, minęły placyk, wreszcie zatrzymały się przed jakimś budynkiem.

Z gestów oficera, który wysiadł z jeepa, zrozumieliśmy:

— Proszę wysiadać i wprowadzać się do tego budynku. W bloku naprzeciwko ktoś wychylił się przez okno i usłyszeliśmy wrzask:

— Ludzie!!! „Sybiraków” przywieziono!!!

W chwilę później samochody nasze zostały otoczone przez „górników”, którzy tu już siedzieli od wczoraj.

Gdy zgramoliłam się po kole z wysokiej ciężarówki, wpadłam od razu w ramiona Zuli, która z wielkiej radości o mało mi głowy nie ukręciła. A Karolcia znów płacząc witała się ze swoimi wczoraj porzuconymi przyjaciółkami.

— Czy ich bies opętał? — zgrzytała zębami Sabina. — I po cóż był ten wyglup z kopalniami? Po cóż nas skłócili? Po co zatruli nam tych parę dni?

Ale że wszyscy zadawali te same pytania i nikt nie potrafił znaleźć na nie logicznej odpowiedzi, nie pozostało nam nic innego, jak zabrać się do zdejmowania gratów z samochodów i przenoszenia ich do przydzielonego nam bloku.

Ongiś jęczyliśmy na niewygody w poprzednim obozie w Neustadt.

Teraz wydał nam się o wiele wygodniejszy i przyjemniejszy.

Przede wszystkim tam udało nam się zdobyć osobny pokój. Teraz zostaliśmy skazani na ogólne duże pokoje.

Każdy z nich musiał pomieścić dziesięć do dwunastu osób. Drugim dramatem, i to jeszcze przykrzejszym, było to, że pozwolono się poruszać tylko po terenie obozu otoczonego drutami. Pożegnać się więc należało z naszymi parokilometrowymi spacerami po lasach i polach. Trzecim dramatem natomiast to, że dostał się człowiek w kupę około dziewięciu tysięcy ludzi, zdenerwowanych, wściekłych i zawiedzionych, którzy kwasili się we własnym sosie. W miarę poznawania nowego obozu utworzył się cały łańcuszek dramatów, niewygód oraz powodów do niezadowolenia, skrupulatnie przedłużany wciąż przez komendę obozu, tu czysto już amerykańską.

Na samym początku zapoznaliśmy się więc z zabawą, którą znaliśmy w dzieciństwie pod nazwą: „karczma się pali”. Nie pamiętam już dokładnie, na czym ona polegała. Zostało mi tylko mgliste wspomnienie, że na okrzyk „karczma się pali” biorący udział w zabawie z

wielkim wrzaskiem podrywali się z miejsc, na których siedzieli, i znów prędko siadali na innych miejscach, a ten kto miejsca dla siebie nie znalazł lub miejsca nie zmienił — płacił fant.

W obozie zabawa w „karczma się pali” polegała na tym, że ciągle ludzi przeprowadzano z miejsca na miejsce. Jak tylko trochę się urządziłyśmy, ustawiły, umyły okna i uszorowały podłogę, prawie natychmiast wpadał jakiś funkcjonariusz obozowy i kazał nam zabierać manatki i przeprowadzać się w galopie do zupełnie takiego samego pokoju, tylko w innym bloku i w innej części obozu.

W ten sposób obmieszkałyśmy cztery bloki i wyszorowałyśmy sześć podłóg.

Komenda nie tylko na terenie obozu bawiła się z nami w zabawę „karczma się pali”. Po paru dniach zorientowałyśmy się, że w ten sam sposób bawi się kilka obozów w Bawarii. Nasi ludzie z niektórych bloków wywożeni byli w nieznaną. Inni przywożeni z nieznanego.

Zamęt organizacyjny udręczał, bo odbywał się naszym kosztem.

„Budy zajechały” i „karczma się pali” stały się prawie codziennymi okrzykami ostrzegawczymi.

„Karczma się pali” znaczyło, że przenoszą nas z bloku do bloku.

„Budy zajechały” znaczyło, że przewozić będą z obozu do obozu.

Amerykanie z jakimś dziwnym uporem zatrudniali swój transport i zamęczonych, udręczonych ludzi wozili tam i z powrotem po obozach w swojej „zonie”. Znałyśmy ludzi, którzy po raz trzeci przyjeżdżali i wyjeżdżali do naszego i z naszego obozu.

Nam udawało się ciągle wymigiwać od tej poniewierki.

Wreszcie nasz instynkt samozachowawczy znów się rozbudził i poczułyśmy potrzebę „kombinowania”. Warunki, w których się znajdowałyśmy, zmuszały do tego.

Najpierw więc, mając przed sobą perspektywę mieszkania tylko w dużych pokojach, dokooptowałyśmy do naszej piątki sześć osób. Wybrałyśmy po długich rozmyślaniach takie osoby, z którymi widoki na przyjacielskie życie się były nieograniczone. Mieli więc z nami zamieszkać profesor Zarzycki i Franek oraz Julkowie i Bronkowie, dwa młode małżeństwa, jedno z Warszawy, a drugie zorganizowane na wiarę w obozie w Neustadt.

Po zawarciu umowy na wspólną dolę i niedolę, którą solidarnie mieliśmy znosić, i przemyśleniu planu operacyjnego, przeskakując z bloku do bloku podczas niekończącej się zabawy w „karczma się pali”, wreszcie się połączyliśmy. Przeniesieni za następnym hasłem „karczma się pali” do najdalszego od bramy bloku, za którym był zupełnie ładny kawałek łączki, powiedzieliśmy „pas” i postanowiliśmy wyłączyć się z zabawy. Wykorzystaliśmy co prawda jeszcze jedno małe trzęsienie ziemi, ażeby przenieść się do pokoju na parterze po słonecznej stronie budynku, tak chytrze przemyślawszy jego położenie, ażeby nie być zbyt blisko ustępów, a niezbyt daleko od łazienek.

Tu postanowiliśmy zapuścić korzenie, urządzić się jako tako i nie dać się ruszyć ani siłą, ani podstępem.

Toteż gdy w dwa dni później usłyszeliśmy na korytarzu wrzask: „Budy zajechały!” i rozpoczął się znany nam rejuwach przenoszenia się ludzi z ich nędznymi manatkami na samochody, zamknęliśmy pokój od wewnątrz i żeby się niepotrzebnie nie denerwować rozmowami na nieprzyjemne tematy, wydostaliśmy się z bloku przez okno, skacząc na ziemię z wysokiego parteru. Następnie całe nasze towarzystwo udało się tyłami bloków na łączkę, gdzie opalało się przez parę godzin.

Gdy Bolek, który co jakiś czas podrywał się z trawy i pędził za węgiel domu sprawdzać, co się dzieje, wrócił nareszcie z wiadomością, że „budy odjechały”, wróciliśmy, żeby bezczelnie predefilować gęsiego w kamiennym milczeniu przed komendantem naszego bloku.

Za chwilę wpadł do pokoju.

— Dlaczego nie wyjechaliście?! — krzyknął.

— A dlaczego mieliśmy wyjeżdżać? — zapytał z głupia frant profesor.

— Te cztery bloki zostały opróżnione, bo tu zamieszkają Radzieccy przewiezieni z głębi Niemiec do repatriacji.

— No to co?

— To to, że musicie się wynieść!

— A my się nie wyniesiemy!

— Musicie! Znajdę wam miejsce w innych blokach.

— To Radzieccy niech na te parę dni zamieszkają w innych blokach. My przeprowadzaliśmy się tyle razy, że postanowiliśmy więcej już tego nie robić. Tu zostaniemy!

— Wyniesiecie się!!! — ryknął doprowadzony do furii.

— Nie!!!

— Ja wam pokażę!!!

— Niech pan pokazuje!!!

Wyleciał i trzasnął drzwiami.

Ale czy to, że obóz był zatłoczony, czy że nasz pan blokowy miał za dużo na głowie innych kłopotów, dość że przestał się nas czepiać i gdy na drugi dzień przywieziono Radzieckich, przez cały tydzień żyliśmy sobie z nimi w jednym bloku w wielkiej zgodzie i przyjaźni.

Gdy wywieziono Radzieckich, a na ich miejsce zwieziono znów z innych obozów udęczonych i zamęczonych Polaków i zapełniono nimi pokoje, zdawało się, że na jakiś czas jesteśmy wolni od lęku przed budami i nieprzemyślanymi transportami.

Zaczęła się jednak nowa zabawa.

Któregoś dnia wkroczył do naszego pokoju pan blokowy, obrzucił nas wrogim spojrzeniem i powiedział:

— Przyszedłem spisywać ludzi, którzy mieszkają w bloku. Proszę podawać nazwiska, imiona, datę urodzenia, stan cywilny, zawód...

Podaliśmy grzecznie wszystkie dane, które skrupulatnie zostały zapisane.

Po dwóch dniach wdarł się znów do nas, ażeby z błyskiem satysfakcji w oczach oznajmić nam, że... mamy się przeprowadzać.

— Drugie piętro zostało przeznaczone dla samych kobiet. Więc panie — wskazał na nas pięć

— tam się przeniosą. Pierwsze piętro dla małżeństw. Więc państwo — paluchem wskazał na

Julków i Bolków — przeniosą się tam. Parter zostaje dla samotnych mężczyzn. Panowie więc

— wskazał z zawiedzioną miną na Franka i profesora — ostatecznie mogą tu zostać.

— Nowa forma zabawy w „karczma się pali” — powiedziała Sabina, a zwróciwszy się do Ireny zapytała: — A który to będzie z kolei Jeździec Apokalipsy?

— Drogi panie — odezwał się nagle niebezpiecznie słodkim głosem Julek. — Obawiam się, że nie będziemy mogli uczynić zadość pana zarządzeniu. Przypuszczam, że jest ono wydane w trosce o moralność obozu. Wobec tego muszę pana wtajemniczyć w stosunki, które nas w tym pokoju łączą. Otóż moja żona — wskazał na Krystynę — jest kochanką pana Franciszka, który właśnie zaręczył się z panią Sabiną. Profesor żyje z Niną. Jej mąż jest kochankiem panny Zuli, która po powrocie do kraju wyjdzie za mąż za profesora. Ja jestem kochankiem tej pani — wskazał na mnie. — A Asia? Asia należy do nas wszystkich. Jest wspólna.

Zrozumiał pan? Jak więc pan widzi, lepiej będzie dla moralności blokowej, gdy nas pan zostawi w spokoju.

Gruchnęliśmy śmiechem.

Blokowy zaczerwienił się i wypadł z pokoju.

W wyniku jego zabiegów część ludzi w bloku zabawiła się pokornie w „karczmę” i poprzenosiła się z piętra na piętra, a część nie.

Po tych przeprowadzkach i powstałym w związku z tym zamieszaniem poplątało się naszemu blokowemu, kto gdzie mieszka i kto jest kto, a że wykazy musiał widocznie mieć w porządku, spisywał nas po raz drugi.

Jak tylko skończył, jakaś komisja powołana przez komendę spisywała nas od początku.

Potem spisywała nas intendentura.

Potem zorganizowane przy komendanturze biuro ewidencji.

Potem Czerwony Krzyż.

Wreszcie delegatura Unry*.

Gdy więc któregoś słonecznego przedpołudnia blokowy zatrzymał nas w bramie i nie pozwolił wychodzić, bo zaraz przyjdzie znów spisywać — straciliśmy cierpliwość i Julek zapragnął figurować jako Aureliusz Wyprztycki, profesor jako Wiktor Macedoński. A Asia zaczęła piszczeć, że jest Aurorą Fitzgerald i ma lat dwadzieścia pięć.

Udręczyliśmy tak naszego biednego blokowego, że przestał nas wreszcie spisywać i oznajmił teatralnym, a głuchym szeptem:

— Jesteście najgorszą gangreną w bloku.

Wyniósł się, jak zawsze trzaskając drzwiami.

Lubiliśmy nawet naszego blokowego, bo był to porządny i poczciwy chłop, pracujący dnie i noce dla dobra obozu i powierzonych jego opiece ludzi. Należał do gatunku „irenowatych”, teoretycznie więc przyznawaliśmy mu wszelkie zalety i nawet mu współczuliśmy, w praktyce dokuczając i udręczając, gdyż on właśnie był dla nas najbliższym przedstawicielem władz znienawidzonego obozu.

Jak wszyscy ludzie wyzwoleni z obozów koncentracyjnych, i nasz blokowy uległ modzie panującej w koszarach. Polegała ona na tym, że kacetowcy nosili na lewym ramieniu białe opaski z wyhaftowaną nazwą obozu koncentracyjnego, w którym przebywali. Nasz blokowy na opasce nosił napis: „Buchenwald”.

Wobec tego Julek pierwszy, a potem i my wszyscy zaczęliśmy go nazywać „panem Buchenwaldem”.

Blokowy aż zzieleniał ze złości, gdy odbierając kartki żywnościowe dla naszego pokoju Franek z przyzwyczajenia powiedział, nawet bardzo uprzejmie:

— Dziękuję, panie Buchenwald.

* Ze skrótu: UNRRA — United Nations Relief and Rehabilitation, Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy.

2. KARCZMA PALI SIĘ DALEJ

Trzeci miesiąc grochówki przeplatanej fasolówką rozklekotał mój przewód pokarmowy i położyłam się do łóżka z bolącym brzuchem.

Organizował się podobno jakiś szpital w obozie i zgłosiło się w nim do pracy paru lekarzy, którzy znaleźli się pośród tej dziewięcioletniej masy. Ale jakoś nie potrafiłam wzbudzić w sobie zaufania do niczego, co obozowe, i usiłowałam wyleczyć się głodówką. Sabina niańczyła mnie, jak mogła. Grzała wodę na swojej maszynie elektrycznej i okładała mój obolały brzuch gorącymi kataplazmami. Odwiedzała Irenę, która całe dnie organizowała i urządziła żłobek dla pogubionych w transportach lub podrzuconych dzieci, i kradła jej spod ręki biały chleb dla mnie. Bo jak dotąd w obozie biały chleb był przydzielany tylko dla zupełnie małych dzieci.

Leżałam osłabiona głodem, ze spuchniętą wątrobą i usiłowałam oderwać się od rzeczywistości, rozczytując się we francuskich romansach. Ale z moim wnętrzem cielesnym działało się coraz gorzej, Irena więc z Sabiną wybrały się na skontrolowanie obozowego szpitala. Wróciły z inspekcji względnie zadowolone i natychmiast mnie tam przetarabaniono, pomimo moich sprzeciwów.

W szpitalu wbrew najgorszym moim przypuszczeniom okazało się zupełnie znośnie i rychło nabrałam do niego zaufania, gdy pod wpływem łykanych mikstur i proszków oraz kleików i kaszek brzuch mój powoli przestawał mi zatruwać życie.

W trzy dni potem na łóżku, które się koło mnie zwołniało, wylądowała Sabina ze złamaną w napięstku ręką.

Radość moja z takiego zbiegu okoliczności była zupełnie nieprzyzwoita.

Zamiast współczuć i roztkliwiać się nad jej cierpieniami, podskakiwałam z uciechy, toteż najpierw oberwałam parę kwaśnych uwag, zanim ułożona już wygodnie z gipsem na ręku opowiedziała mi szczegółowo, co i jak się jej przytrafiło.

— Dziś przypadała na mnie kolejka mycia podłogi. Wyrzuciłam więc wszystkich na łączkę, żeby mi się pod ręką nie kręcili. Gdy już przyniosłam wodę, usłyszałam nagle krzyki na korytarzu: „Budy zajechały!” Zajechały, no to zajechały — myślę sobie i zabieram się do szorowania. A tu drzwi się otwierają i wpada policjant obozowy i żołnierz amerykański. Wleźli mi buciorami na czysty już kawałek. Zaczęło się we mnie coś gotować. A policjant z arogancką miną wydał mi rozkaz: „Proszę odszukać tych, co tu mieszkają, zapakować się i przenosić na samochody”. „Quickly, quickly” — zabełkotał Amerykanin. Podniosłam się z kolan i wyjaśniłam, zmuszając się do spokojnego mówienia, że moja siostrzenica jest w szpitalu, więc ja nie wyjadę, bo nie mam zamiaru rozdzielać się z nią i pogubić w tych głupich transportach. A innych ludzi mieszkających w tym pokoju niech sobie sami szukają, gdyż ja nie mam żadnej ochoty spełniać ich zleceń. Policjant zabełkotał do żołnierza, żołnierz mu odbełkotał i usłyszałam, że to, co mówię, jest wykrętem, że to jest kłamstwo, że nikogo nie mam w szpitalu. Powiedziałam więc, żeby poszli do Buchenwalda, czyli blokowego, i u niego sprawdzili. Znów pobełkotał i powiedzieli mi, że to nic nie szkodzi i że jeśli siostrzenica jest w szpitalu, to jest pod dobrą opieką, więc ja mogę wyjechać. I czy uwierzysz? ale na to powiedzenie nie wiem co, ale takie coś zaczęło mi się w klatce piersiowej podnosić, aż do gardła. Zacerpnęłam oddechu i stwierdziłam, że już nie mogę mówić, muszę krzyżeć. Co krzyczałam, nie bardzo już teraz pamiętam. W każdym razie okazałam, że Amerykanie są tacy sami w stosunku do nas jak Niemcy, a policjanta zwymyślałam od sługusów amerykańskich. „Proszę tyle nie gadać, tylko się pakować — przekrzyknął mi policjant — władujemy panią na samochód siłą, bo taki mamy rozkaz.” Wtedy coś pękło we mnie i zobaczyłam czerwoną mgłę przed oczami. Złapałam za krzesło i rzuciłam się na nich. Gdyby nie wyskoczyli na korytarz, byłabym się wdała z nimi w bójkę. Resztką przytomności przekręciłam klucz w drzwiach. Teraz rozumiem, co znaczy „mord w afekcie”. Gdyby nie uciekli, zamordowałabym ich, zanim bym ochłonęła.

— Jeszcze pytanie, czy oni daliby się zamordować... — wtrąciłam.

— Nie wiem — powiedziała zamyślnym tonem. — Ale wiem, że czułam wtedy w sobie siłę chyba aż piętnastu silnych, zdrowych i zaprawionych do bójek chłopów. No ale co by było, to by było. W każdym razie dobrze, że uciekli. Wolałam też nie mieć z nimi do czynienia, wspierałam się więc na okno, ażeby wynieść się z bloku i przeczekać niebezpieczeństwo na łączce. Ale byłam zdenerwowana i poza tym nie miałam przy sobie nikogo, kto by mi pomógł zgramolić się z tego cholernego wysokiego parteru. Straciłam równowagę i gruchnęłam z okna na ziemię. No i złamałam rękę, i zdaje się, że pod tym oknem trochę zemdlałam. Bo gdy otworzyłam oczy, wszyscy z naszego pokoju pochylali się nade mną z przestraszonymi twarzami. No i chłopaki przytaszczyły mnie tutaj, no i ty cieszysz się z tego.

Podczas bytności w szpitalu Sabina wywęszyła, że chorych na schorzenia przewodów pokarmowych wypisuje się ze szpitala z tak zwaną trzecią dietą. Ta trzecia dieta to były zupełnie znośne, a w porównaniu z kotłową grochówką zachwycająco smaczne obiady trzydaniowe, po które zamiast do kuchyń obozowych przychodziło się z bloków do szpitala. Wobec tego rozchorowała się natychmiast na żołądek.

Wywęszyła też, że chorzy na dolegliwości przewodu pokarmowego a leczący się ambulatoryjnie w przychodniach szpitala też otrzymują trzecią dietę. Namówiła więc Zulę i Krystynę, ażeby zaczęły się leczyć ambulatoryjnie, Asię zaś sama zaprowadziła do lekarza. I gdy po raz pierwszy trzy przyzwoite obiady zjawiły się na stole w naszym pokoju, grochówka

tak stanęła kością w gardle reszcie naszych przyjaciół, że epidemia chorób brzusznych spadła na nasz pokój i po tygodniu reszta jakoś też szczęśliwie wylądowała na trzeciej diecie, bardzo się ciesząc z tego, że Sabina złamała sobie rękę.

Wypisano nas wreszcie ze szpitala, a pogoda zepsuła się i nastąpiły jakieś długotrwałe, nękające deszcze.

Ogarnął nas wtedy szal grania w karty.

Łupiliśmy w brydża, w kierki, w sześćdziesiąt sześć, w tysiąca, w świnię, w durnia, w oko, w wojnę i w pokera dniami i nocami.

Jeden punkt kosztował jedną markę okupacyjną. A że nikt z nas nie posiadał pieniędzy, wyniki skrupulatnie notowaliśmy na kartkach, bilansując je z miejsca, ażeby nie zaciemnił się obraz wygranych i przegranych. Ogromne ilości rozegranych partii zmuszały nas do przedłużania kartek z zapiskami wyników innymi kartkami. Kartki te przybijaliśmy do ściany i powoli nasze rozgrywki utworzyły wielki szlak ciągnący się wzdłuż jednej ściany, a wyniki dochodziły już do wysokości paru tysięcy marek, wzbogacając w zawrotny sposób tych, co często wygrywali, kosztem tych, którzy wciąż przegrywali.

W tę to maniacką atmosferę, wpadł, jak przysłowiowa śliwka, Buchenwald i oznajmił, że mamy się przenieść do innego bloku, ponieważ ten będzie dezynfekowany siarkowymi świecami.

— Znacie tę historię? Znamy! No to posłuchajcie... Dwa bez atu — powiedział profesor beznamiętnym tonem, patrząc uważnie w wachlarz kart, które trzymał przed sobą.

— Cztery piki — powiedział Julek.

I licytacja potoczyła się, jakby żadnego Buchenwalda nie było w pokoju.

— Mówię wam, że macie się przeprowadzać — zaczął znów, ale my zachowywaliśmy się tak, jakby był powietrzem. Nie wytrzymał więc nerwowo, i wyleciał trzaskając, jak zawsze, drzwiami.

Ale po jego wyjściu przestaliśmy się; wygłupiać i ogarnął nas lekki niepokój.

— Co mamy teraz uczynić? — krzyżowały się refleksje. Jeśli się wyniesiemy na te trzy dni, jak żądał od nas Buchenwald, stracimy naszą pozycję i aureolę „nieruszalnych”. Poza tym gotowiśmy stracić część rzeczy, które podczas różnych trzęsień ziemi w naszym bloku wykombinowaliśmy sobie z innych pokoi i które już nieraz Buchenwald usiłował nam odebrać. Niby miał rację, że jest nam zupełnie niepotrzebna druga szafa, bo nie było w niej co wieszac, ale i my mieliśmy rację, bo w naszym koedukacyjnym pokoju musieliśmy za pomocą szaf stworzyć kącik do wygodnego i nie obrażającego moralności przebierania się. Dwa stoły teoretycznie nie były nam również potrzebne, ale że mieliśmy dwie talie kart, kartograjstwo mogło dzięki temu odchodzić na dwa zespoły.

Współlokatorów w postaci pluskiew, pcheł czy wszy nie mieliśmy, postanowiliśmy więc zaryzykować i bronić się przed parodniową bezdomnością i nową formą poniewierki.

Nad wieczorem cały blok opustoszał, a my oblepiliśmy drzwi papierem i klejem zwędzonym w którymś z biur komendantury. Zabarykadowaliśmy drzwi szafą i przyszykowaliśmy się do oblężenia.

Buchenwald nie mogąc się do nas dostać przez drzwi, przyleciał pod okno i prosił, i groził, i błagał, i obiecywał, ale my udawaliśmy, że go nie słyszymy. Wreszcie Bolek nie wytrzymał, wychylił się z okna i powiedział:

— Czy pan chce u nas nowego nieszczęścia, nie dość tego, jakie przez pana wynikło z panią Sabiną?

Buchenwald stropił się bardzo, jak zawsze gdy obarczano go odpowiedzialnością za złamaną rękę Sabiny, i wreszcie sobie poszedł.

Na drugi dzień obsługa dezynfekcyjna zapaliła świece siarkowe czy fosforowe, czy jakie tam one były, ale w każdym razie na pewno śmierdzące przeraźliwie, a my zasiedliśmy po śniadaniu do naszych przerwanych na okres snu a nie kończących się rozgrywek karcianych.

Pomimo oblepionych drzwi i otwartych okien zrobiło się jednak w pokoju dość smrodliwie, oczy zaczęły nam się czerwienić i łzawić. Wobec tego przesunęliśmy się ze stołami pod same okna, a z ręczników umaczanych w wodzie zrobiliśmy bardzo interesujące maski na usta i nosy. Łupiliśmy też dalej w karty, chwając sobie spokój i względną wygodę, którą wywalczyliśmy choćby kosztem krztuszenia się i kaszłania.

Po południu albo przystosowaliśmy się już i przyzwyczaili do smrodu, albo może świece się wypaliły, dość że atmosfera w pokoju — tak się przynajmniej nam wydawało — zaczęła ulegać poprawie. Maski jednak zostały na twarzach nie ruszone, bo bawiły nas dając złudzenie należenia do jakiejś tajemniczej mafii.

Buchenwald jednak nie miał spokojnego sumienia, nad wieczorem przyszedł pod okno.

— No? Jak się miewacie? Wydusiło was? — zawołał z nadzieją w głosie.

— Nie, kochany panie Buchenwald — odkrzyknęliśmy wesoło, wychylając się z okien. —

Miewamy się świetnie i dziękujemy panu za pamięć i troskliwość.

— Myślałem — powiedział z zawiedzioną miną — że za jednym zamachem pozbędę się i was, i pluskiew. Nie wiem już czy wy, czy pluskwy bardziej mi dokuczyły.

— Słyszeliśmy — odezwał się Julek z poważną miną — jak pluskwy trąbiły na alarm przeciwigazowy i pochowały się do schronów. Jutro ogłoszą odwołanie. Będzie więc pan miał na zawsze i pluskwy, i nas, bo my przetrzymamy.

— To wielka szkoda — powiedział już żartobliwie Buchenwald. — Zasmuciliście mnie.

— Bardzo nam przykro — odpowiedzieliśmy, śmiejąc się.

— No to do następnej rozgrywki, ale ja się odegram. Do widzenia! — uśmiechnął się.

— Pa!... pa!... do miłego!... — wołaliśmy za nim.

3. NIE DAJEMY SIĘ BUCHENWALDOWI

Nałóg karciany, który trzymał nas w swych szponach przez parę tygodni, wypalił się wraz ze śmierzącymi świecami dezynfekcyjnymi i gdy został zlikwidowany stan obleżenia, a do bloku znów wprowadzili się ludzie, zaczęliśmy rozglądać się za nową formą rozrywki. Ale okazało się, że łatwiej byłoby wyskoczyć z własnej skóry niż znaleźć w naszych warunkach choćby namiastkę rozrywki.

W tym czasie obóz został otoczony drugim parkanem siatkowym. Co sto metrów wybudowano wieżyczki wartownicze, na których stróżowali w dzień i w noc żołnierze amerykańscy z rozpylaczami gotowymi do strzału. Optymiści twierdziliby, że Amerykanie czuwają tak troskliwie nad naszym bezpieczeństwem, ale optymistów już nie było pośród tej dziewięcioletniej gromady, mrowiącej się beczynnymi w blokach i pomiędzy blokami, Bezczynność zaczęła powoli stawać się bardzo uciążliwa.

Jak dotąd, z nas tylko Irena pracowała w obozie. Wywalczyła od komendy obozu i od Unry dwa pomieszczenia, w których zgromadziła pogubione, porzucone lub podrzucone dzieci.

Zgromadziła przy sobie grono kobiet, pragnących dać tym biedactwom jakąś opiekę.

Sabina, gdy zdjęto jej z ręki gips, postanowiła znów wziąć się za łeb z życiem i znów po swojemu coś dla nas wykombinować. Wobec tego wytypowała sobie jako najlepsze pole do popisu mityczny dla nas unrowski magazyn odzieżowy, który podobno istniał i podobno prosperował, obdzielając mieszkańców obozu odzieżą, ale robił to w jakiś bardzo konspiracyjny sposób, bo nikt o nim nic dokładniejszego nie wiedział. Sabina uplanowała sobie, że musi tam dotrzeć i wkręcić się do pracy. Bardzo ochoczo wyruszyła do szturm, ale wróciła zgnębiona. W magazynie pracował i był zadowolony pan Marzecki. Wystawił on też Sabinie tak złą opinię, rewanżując się za wydarty mu pokój w Neustadt, że nie przyjęto nowej tak bardzo wartościowej siły, ku jej wściekłości i naszemu rozczarowaniu.

Profesor Zarzycki, który w okresie naszego karcianego szału dość opieszale oddawał się lekcjom z Asią, teraz nagle zabrał się do nich z nową energią. A Asia zaprzyjaźniwszy się z

dziewczynkami w jej wieku, sprowadziła trzy najbliższe przyjaciółki, ażeby i one korzystały z lekcji. Do tych lekcji dołączył się jako uczeń i Franek oraz Nina. Po paru dniach zgłosiło się jeszcze dwóch chłopców, pytając, czy tu naprawdę jest szkoła i prosząc o przyjęcie do niej. I nagle, nawet nie zauważyliśmy kiedy, piętnaścioro młodzieży przesiadywało w naszym pokoju przez długie godziny.

Profesor miał już z nimi tyle roboty, że namówił Zulę, ażeby przejęła od niego język polski, a sobie zostawił własne specjalności, czyli łacinę i historię. Wydłubał też na terenie obozu matematyka, który przychodził do nas na algebrę i geometrię, a nowa piątka młodzieży dobijała się do drzwi z błaganiem o dopuszczenie do lekcji.

Mnie zasadzono na wszystkie popołudnia przy maszynie do pisania, pożyczonej z biura po urzędowaniu, ażebym przepisywała odpowiednie teksty łacińskie, zadania matematyczne i algebraiczne. Moja uczynność tak mnie wrobiła w ciężką robotę, że nawet przepisywałam „Pana Tadeusza”, pożyczonego przez kogoś tylko na tydzień.

Po wielu tygodniach nieróbstwa ogarnął nas szal pracy.

Młodzież zamknięta za drutami obozu zażądała od nas zlikwidowania apatycznego i biernego ustosunkowania się do rzeczywistości.

Nasz pokój nie mógł już pomieścić szkoły, tym bardziej że do uczenia zgłosili się też geograf i przyrodniczka. Nowa poza tym grupa młodzieży zaczęła dobijać się do drzwi, a ilość kradzionego lub wyżebranego po biurach papieru nie pokrywała zapotrzebowania.

Profesor wyruszył więc z Sabiną szturmować komendę obozu i Unrę. Z początku wszystko szło opieszale, ale petycje składane przez mieszkańców obozu oraz energia Sabiny sprawiły, że wreszcie w którymś bloku zorganizowano znów zabawę w „karczma się pali” i opróżniono dla szkoły dwa pomieszczenia.

Mieliśmy już dwie klasy. Jedną dla bardziej zaawansowanych, drugą dla mniej umięjących. Przydzielono nam też zeszyty i papier. Z obozu ludzie poprzynosili trochę książek i podręczników. A ja dostałam z Unry najgorszego chyba na świecie klekota-maszynę, przy której gdyby nie techniczne zdolności Franka, graniczące z genialnością, straciłabym resztki zdrowia i nerwów.

Któregoś dnia odwiedził nas szkolny geograf, który tak jak i Buchenwald pełnił funkcję blokowego.

— Jutro zwolni się w moim bloku pokój. Chciałbym, żebyście się do niego przeprowadzili.

— Nie — odpowiedział profesor. — Przysięgliśmy sobie, że się z tego pokoju nie ruszymy. A poza tym nie chcemy dać Buchenwaldowi powodu do tryumfowania. Nie, zostaniemy tutaj.

— Czekajcie — uspokoił go przybyły. — Wasze ambicjonalne rozgrywki z Buchenwaldem są przecież dziecinadą. W moim bloku będziecie mieli wygodniej. Dlatego to wam proponuję. To jest jedyny blok, który ma ciepłą wodę. Pomyślcie... ciepła kąpiel... ciepłe prysznice... ciepła woda do prania... — kusił nas. — Jutro zwolni się u mnie jeden pokój i wołałbym, żebyście wy go zajęli. Chce mi się tam wprowadzić paczka ludzi pracujących w magazynach Unry. Nie podobają mi się oni i wołałbym was mieć u siebie.

— Czy może jeden z nich nazywa się Marzecki? — zapytała Sabina.

— Tak — odpowiedział geograf.

— To się przeprowadzamy! — zawołaliśmy prawie wszyscy, bo perspektywa dokuczenia Marzeckiemu przeważała chęć dokuczania Buchenwaldowi.

— Ale jest w tej całej sprawie jedno „ale”. Pokój ten zupełnie nie ma gratów. A ja wcześniej jak za tydzień nie będę w stanie skombinować ich dla was.

— To zabierzemy te.

— Wątpię, czy wam blokowy pozwoli. Te wszystkie rzeczy ma zapisane w inwentarzu bloku i za nie odpowiada. Poproście go, żeby je wypożyczył choć na tydzień.

Ucieszeni perspektywą ciepłych kąpieli i dokuczenia Marzeckiemu, szykowaliśmy się do przeprowadzki. Sabina z Julkiem poszli na wstępne pertraktacje do Buchenwalda. Wrócili

jednak szybko w złych humorach, bo Buchenwald pomimo że ucieszył się wiadomością o naszej przeprowadzce, nie ucieszył się jednak na tyle, ażeby pozwolić zabrać ze sobą graty. — Ani wam ich nie dam, ani nie wypożyczę — oznajmił sucho delegacji, nie chcąc rozpatrzeć żadnego z argumentów i nie dając wciągnąć się w dyskusję.

Wobec tego Julek ukłonił mu się nisko i przepuszczając przed sobą w drzwiach Sabine, powiedział:

— Bardzo panu dziękujemy za to, że pozwolił nam pan zabrać meble. — I zamknął drzwi. Buchenwald wyskoczył na korytarz za nimi i zawołał:

— Ale ja nie pozwoliłem! Ja nie dam wam ich zabrać!

A Julek z miłym uśmiechem kłaniał się i dziękował za pozwolenie i jednocześnie gadali jeden swoje, a drugi swoje. Zirytowany Buchenwald zaczął wreszcie wykrzykiwać, że będzie pracował w swym biurze przy otwartych drzwiach, że będzie pilnował korytarza i że nie pozwoli nam wynieść nawet gwoździka. Julek zaś przedłużał scenę, bijąc pokłony i serdecznie dziękując za uczynne, serdeczne i przyjacielskie ustosunkowanie się do naszych potrzeb.

Gdy więc na drugi dzień profesor i Zula zorganizowali sobie zastępstwo w szkole, a Bolek dał znać, że pokój już wolny i że trzeba się przeprowadzać, opanowało nas zwątpienie, ponieważ Buchenwald, tak jak obiecał, urzędował prawie w drzwiach swojego biura, jak wierny brytan stróżujący nad swoją kością.

Zamknęliśmy się w naszym pokoju i radziliśmy gorączkowo, co robić. Ogromna ciężka chmura przywlokła się nad obóz i grubokroplisty deszcz lunął z nieba.

— Nie poradzimy w tych warunkach z przeprowadzką — zwątpił już w nasze siły profesor.

— A Marzecki będzie co dzień brał ciepły prysznic, bo on coś wykombinuje — zajęczała Zula.

Nazwisko Marzeckiego, którego wszyscy serdecznie nie lubiliśmy, zmobilizowało w magiczny sposób naszą pomysłowość i inteligencję.

Bolek, Julek i Franek rozebrali się prawie do kąpielówek, wyskoczyli oknem i biorąc prysznic na razie jeszcze zimny, popędzili przez obóz pod budynek kuchenny, gdzie ukradli wielką platformę i przypchali ją tyłami baraków pod nasze okno.

Teraz rzuciliśmy się do roboty wszyscy. Najpierw na platformę poszły sienniki, potem koce i odzież. Ażeby choć trochę uchronić to wszystko przed potokami deszczu, nakryliśmy bety szafami, na których ustawiliśmy łóżka, stoły i stołki. Wykręciliśmy żarówkę, wydłubaliśmy ze ścian wszystkie z trudem zdobyte gwoździki i wydostawszy się oknem, w ulewnym deszczu przeciągnęliśmy nasz dobytek przez cały obóz prawie nie zauważeni, ponieważ kto żyw schował się przed niepogodą.

Pomimo że szczękaliśmy zębami z zimna, pomimo, że przez dwie chyba noce spaliśmy na wilgotnych siennikach i przykrywaliśmy się mokrymi kocami, cieszyło nas i bawiło wykradzenie Buchenwaldowi mebli. Żałowaliśmy tylko, że nie dane nam było zobaczyć jego miny, gdy odkrył naszą przeprowadzkę.

Przez parę tygodni później Buchenwald udawał, że nas nie zna. Gdy spotykaliśmy się na uliczkach obozowych, z wyraźnym wstrętem odwracał głowę w przeciwnym kierunku. Ale przyszedł wreszcie czas, że Julek z Frankiera przyciągnęli go do nas i obozową kawą wypiliśmy bruderszaft, wybacząc sobie dokuczliwość i obiecując zachować, z tego burzliwego co prawda współżycia, tylko najweselsze i najzabawniejsze wspomnienia.

4. CYRK ADOPTUJE OŁÓWECZKA

Nasza szkoła rozrosła się do czterech klas gimnazjalnych i do dwóch licealnych w tempie grzyba po deszczu.

Widząc nasz zapał i wyniki pracy, nauczyciele szkół powszechnych poszli naszymi śladami. Komenda obozu i Unra musiały ocknąć się z wygodnego letargu i dostarczać nam coraz nowych rzeczy potrzebnych do istnienia i prosperowania szkoły.

Sabina okazała się geniuszem organizacyjnym. Z twardej, obojętnej jak kamień Unry wycisnęła nawet sprowadzenie z miasta ławek dla sześciu, klas, tablic szkolnych, map i zeszytów.

W tym też czasie Julek z Krystyną i jeszcze paroma osobami postanowili wydawać gazetę obozową. Dręczyli więc teraz oni drzemiącą Unrę tak długo, aż otrzymali wreszcie radio, które zostało zainstalowane w naszym pokoju. Zdobyli również prawo korzystania z powielacza urzędowego.

Teraz nasz pokój zamienił się w istny cyrk. W dzień był on pokojem nauczycielskim, wytwornią podręczników szkolnych, gabinetem dyrektora, pokojem konferencyjnym, pępkiem i sercem szkoły. Wieczorem zaś i nocą był redakcją gazety obozowej, ponieważ Krystyna, Julek i paru ich pomagierów najintensywniej pracowali wieczorami i nocami, chwytając w radiu ostatnie wiadomości dzienników oraz wyłapując dyktanda nadawane po północy. Po wynotowaniu wiadomości opracowywali materiał, kłócąc się przy tym nad naszymi usiłującymi spać głowami, następnie klekotali nam na maszynie. Nad ranem oni kładli się spać, a w dwie godzinki później wstaliśmy my i rewanzowaliśmy się redakcji na wszelkie sposoby.

Sabina, gdy już zorganizowała dostarczanie strawy duchowej dla młodzieży mieszkającej na terenie obozu, zaczęła intensywnie troszczyć się o stronę materialną.

Młodzież wywieziona w dzieciństwie z Polski, zabiedzona była i wynędzniała fizycznie. Sprawy jej dożywiania nie udawało się jednak ruszyć z miejsca. Władze nasze twierdziły bezczelnie, że mleko i biały chleb jest tylko dla najmłodszych. A paczki Czerwonego Krzyża, które czasem na samochodach wjeżdżały do obozu, szły jakoby do kotła, czyli do tej wiecznej grochówki, bo nikt nigdy takiej paczki do ręki nie dostał.

Sabina więc walczyła uparcie, ale bezskutecznie. Lepiej udało jej się z odzieżą, którą, jak się okazało, zawalone były magazyny. Rozdawano ją jednak bardzo niechętnie, czekając nie wiadomo na co. Tutaj Sabina przypuściła szturm tak energiczny, że w końcu zdobyła dość dużą ilość odzieży, operując fikcyjnie rozdmuchanymi wykazami zarówno uczącej się młodzieży, jak i personelu pedagogicznego oraz pomocniczego. Ubrawszy więc całe gimnazjum i my nareszcie rozstałyśmy się z kombinezonami, które nam tak wiernie i tak rozpaczliwie długo służyły.

Powodzenie w sprawach odzieżowych podnieciło znów energię Sabiny.

— Nie mogę patrzeć na te mizerne twarze — oznajmiła. — Jak się nie daje przeskoczyć, to trzeba się podkopać.

Nie mogąc przeskoczyć Unry i komendy podkopała się i przyczepiła do kuchni dziecięcej, do żłobka Ireny i przedszkola, a także do szkoły powszechnej. Namówiła cztery te instytucje do fikcyjnego zwiększenia na papierze stanu ilościowego i do podrzucania nam nadwyżki otrzymywanych prowiantów.

Oczywiście te kombinacje trzeba było zachować w tajemnicy przed Unrą i komendą.

Dokarmianie młodzieży bowiem wobec tylokrotnych odmów graniczyło z przestępstwem.

Każdego dnia chłopcy, na których przypadał dyżur, musieli opuszczać po jednej lekcji.

Znosili w tym czasie z czterech uczynnych instytucji bańki z mlekiem, chleb, wędlinę i dzemy. Dziewczęta dyżurne pod okiem Sabiny krajały i szykowały porcje.

A gdzie się te zakonspirowane śniadania odbywały?

Naturalnie w naszym pokoju, czyli w naszym „Cyrku”, i to akurat w takich godzinach, gdy za szafą Krystyna i Julek usiłowali odespać noc przepracowaną nad obozową gazetą.

Podczas dużej pauzy całe więc gimnazjum i liceum, klasa za klasą, przybiegało do naszego pokoju, ukrywając garnuszki i po kieszeniach, ażeby podjeść sobie w ukryciu i pokrzepić siły nadwątlone latami wojny i miesiącami spędzonymi pod opieką aliantów.

Pertraktując z Unrą w różnych sprawach dotyczących naszej szkoły, Sabina opłatała jednego Francuza i sprowokowała go do zorganizowania lekcji francuskiego dla zaawansowanych. Sama opętana manią kształcenia się i wykorzystywania w praktyczny sposób czasu i okoliczności pognąła na te lekcje z unrakiem Zulę, Krystynę i mnie. Chodziłyśmy więc i my do szkółki trzy razy w tygodniu i parlowały z unrakiem, bardzo miłym i wesołym młodym człowiekiem.

W tym też mniej więcej czasie do naszego zagęszczonego ludźmi a sprawami Cyrku przybył nowy współmieszkaniec, stwarzając swoją osobą jeszcze bardziej zwariowaną atmosferę. To nowe szaleństwo zawdzięczaliśmy profesorowi, zwanemu teraz Fredziem, ponieważ stopień zażyłości zlikwidował w naszym gronie używanie tytułów, choćby naukowych. Któregoś popołudnia wszedł więc Fredzio do pokoju, oznajmiając, że jedzie z jedną unraczką do miasta załatwić coś tam dla szkoły.

Zerwaliśmy się wszyscy z wielkim podnieceniem. Perspektywa przekroczenia bramy i wydostania się choćby, na godzinkę za druty obozu nie mogła się spotkać ze spokojniejszą reakcją.

— Fredziu, może uda ci się zamienić tę paczkę papierosów w na szczotkę do zębów — jęczała Zula.

— Fredziu, dla mnie grzebień...

— Fredziu, dla mnie... — sypały się zamówienia.

Asia złapała kartkę papieru i skrętnie robiła listę najniezbędniejszych rzeczy, które może uda się zdobyć przy tak wyjątkowej okazji.

Fredzio wyskoczył z kartką w ręku, bo już jeep unrowski trąbił przed blokiem, Asia zaś popędziła za nim, ażeby być świadkiem tak niecodziennego zdarzenia.

Po wyjeździe Fredzia pozmywałyśmy naczynia z obiadu i zabrałyśmy się do szorowania podłogi.

Dotychczasowy zwyczaj szorowania jej kolejno uległ zmianie. Irena, Sabina i Asia zostały w ogóle zwolnione od tego obowiązku. Chłopy zamieszkujące w naszym pokoju, jako znane nieroby, także. Podłoga była oczkiem w głowie moim, Niny, Krystyny i Zuli. Podzieliłyśmy ją skrupulatnie na równe cztery części i każda dokładała największych starań, ażeby jej ćwiartka olśniewała czystością. Całe te zabiegi z podłogą były dość nużące, przez nasz zwariowany pokój przemaglowywały się bowiem co dzień takie masy ludzi, że też co dzień musiałyśmy po południu doprowadzać zdeptane deski do porządku.

Gdy już odpoczywałyśmy na łózkach po tej wyczerpującej pracy, nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Fredzio.

I o cudzie! O radości!

Fredzio trzymał pod pachą najrozkoszniejszego, jaki tylko mógł istnieć na świecie, małego puszystego szczeniaka.

Jak nas było w pokoju siedem, tak wszystkie siedem zerwałyśmy się z łózek i przyskoczyłyśmy do Fredzia. Siedem par rąk wyciągnęło się do pieska i siedem głosów prosząco zaskomliło:

— Fredziu, dla mnie...

Fredzio zrozpaczonym okiem powiódł po nas. Komu zrobić przyjemność, a kogo zasmucić? Typowo po męsku, a więc idąc po najłatwiejszej linii kompromisu postąpił najfatalniej.

— No to niech on będzie wspólny. Niech on należy do całego naszego pokoju.

Wszystkie poczułyśmy się zawiedzione, ale szczeniaka przyjęłyśmy z największą radością. Fredzio powiedział, że nasz nowy nabytek jest niesłychanie rasowy i że wyrośnie z niego pies wielkości najmniej średniego cielaka. Bardzo nas to ucieszyło. Po wielu uściskach i

pieszczotach, którymi wszyscy miętosili zwierzaka, Asia popędziła z nim na spacer po uliczkach obozowych, ażeby pochwalić się psiakiem przed koleżankami, a my zasiedliśmy do radzenia nad imieniem dla naszego wspólnego dziecka.

Wesoły nastrój sprawił, że proponowane imiona były strasznie niecenzuralne. Jedno gorsze od drugiego. Ze względu jednak na Asię i na gromady młodzieży, które mrowiły się koło nas, musieliśmy wybrać imię godne psa należącego do dyrekcji szkoły; Wreszcie Krystyna krztusząc się od śmiechu zawołała:

— Czy pamiętacie tę nieprzyzwoitą piosenkę Dymczy o ołóweczku?

— Naturalnie — zawołaliśmy, a Julek zaczął ją wyśpiewywać, usiłując naśladować Dymczę.

— Świetnie! — zawołał rozbawiony Fredzio. — Nazwiemy go „Ołóweczkiem”!

Gdy Asia wróciła z psiakiem, chrzciliśmy go uroczyście „z wody” imieniem Ołóweczek, ku radości dziewczynki, że pies tak związany ze szkołą będzie nosił imię z zakresu materiałów piśmiennych.

Nie wyprowadzaliśmy jej z błędu i wszyscy byli zachwyceni, a Ołóweczek stał się najważniejszą osobą w pokoju.

Ołóweczek należał więc do wszystkich i wobec tego każdy z osobna dbał o niego, wydzielając najsmaczniejsze kęsy ze swych porcji. Biedna psina chodziła przeżarta : nie wiadomo kiedy zaczęła intensywnie rosnać. Ale też nie wiadomo dlaczego rosła wzdłuż i wszerz, a wcale nie chciała urosnąć w górę. W ten sposób wyglądem swoim nieoczekiwanie dopasowała się do imienia.

— Alzacki owczarek — drwiła Krystyna, patrząc na niskiego i właściwie dość szpetnego psiaka. Ten jej drwiący ton nie odnosił się do Ołóweczka, a nawet nie do Fredzia, tylko do drania Niemca, który za dziesięć paczek amerykańskich papierosów wkręcił przemilego zresztą kundelka jako rasowego psa.

5. GROM Z DESZCZOWEGO NIEBA

To nasze beztroskie i nawet mające już w końcu swój urok życie zakończyło się w sposób najzupełniej nieoczekiwany.

Któregoś listopadowego, zimnego, deszczowego ponurego dnia Asia spóźniła się na obiad. Nie mogliśmy się jej doczekać i Sabina kipiała ze złości.

— Łazi tam po obozie z koleżankami i kolegami, gada, gada i myśli, że będę; jej na maszynie obiad odgrzewać — mamrotała pod nosem.

Upłynęła jeszcze godzina, a Asia się nie pokazywała.

Ołóweczek przyzwyczajony do popołudniowych spacerów drapał w drzwi, niepokoił się i piszczał. Jego niepokój udzielił się i nam.

— Chodź — powiedziała do mnie Irena. — Wyprowadzimy psa i poszukamy Asi.

Nałożyłyśmy już płaszcze, gdy ktoś zapukał do drzwi.

— Wlazł! — huknął po swoim Julek.

Drzwi otworzyły się i zobaczyliśmy amerykańskiego komendanta obozu z jakąś panią ubraną elegancko i już na pierwszy rzut oka nie wyglądającą na mieszkankę obozu.

Musiało się stać coś okropnego, jeśli komendant obozu, zwany przez nas „Kwadratowym Łbem”, ze względu na wielkość i kanciastość czaszki, opuścił swoje biuro przy bramie i zstąpił z wyżyn na teren bloków.

Niepokój jakiś nas ogarnął i patrzyliśmy bez słowa na przybyłych.

A oni weszli do pokoju, zamknęli drzwi i obca pani grzecznie zapytała:

— Przepraszam, czy w tym pokoju mieszka Paulina Kowalkowska?

— Nie — odpowiedziała Sabina, która znajdowała się najbliżej.

— Może ona podała inne nazwisko. Muszę się państwu przedstawić. Nazywam się Gertruda Kowalkowska i szukam po wszystkich obozach mojej córki. Zgubiła się co prawda koło

Legnitz, ale ciągle miałam nadzieję, że ją odzyskam. Ona jest blondynką, czesze się w dwa warkocze, ma piętnaście lat. Dziś przyjechałam do tego obozu i poinformowano mnie, że tu jest szkoła. Stałam przed szkołą i zobaczyłam córkę wychodzącą wraz z inną młodzieżą. Ale na mój widok Paulina pobiegła między bloki i ukryła się. Dowiedziałam się, że tak wyglądająca dziewczynka mieszka w tym pokoju. Może to ona. Proszę, pomóżcie mi. Ja jestem matką...

Irena kurczowo wczepiła się palcami w moje ramię.

— Niech pani siada. — Krystyna podsunęła taboret. — U nas mieszka dziewczynka podobna do opisaną przez panią, ale to na pewno nie jest pani córka. Nazywa się Asia Nowakowska i jest wojenną sierotą.

— A gdzie jest ta Asia Nowakowska? Pokażcie mi ją! Jeśli to nie jest Paulina, to przepraszę za kłopot i nie będę narzucać swego towarzystwa — powiedziała matka Pauliny ostrym tonem.

— Przepraszam — wtrącił się Fredzio. — Ale nie bardzo mogę zrozumieć, o co chodzi. Dlaczego pani córka widząc panią uciekła między bloki? Dlaczego nie witała się z radością, jak robią to członkowie pogubionych rodzin?

— Nie jestem obowiązana wtajemniczać pana w moje rodzinne sprawy — odpowiedziała pani Gertruda. — Poszukuję swojej córki! Znalazłam ją w tym obozie i z nią odjadę! — mówiła coraz bardziej nieprzyjemnym tonem.

O ile w pierwszej chwili, gdy poprosiła o pomoc w odzyskaniu dziecka, obudziła w nas uczucia, w których dominowała sympatia, o tyle teraz opuściła nas wszelka dla niej życzliwość.

— Gdzie jest ta dziewczynka, która tu mieszka? — za-pytał z kolei Kwadratowy Łeb.

— Nie wiemy — odpowiedziała Irena.

— Nie wiecie? — urągliwie przedrzeźnił jej słowa. — Wy tu w obozie wszystko wiecie, tylko jak zawsze wszystko chcecie utrudniać.

— Powiedz mu — Sabina pociągnęła Irenę za rękę. — Powiedz mu, żeby się odczepił. Sama matka widziała, że Asia, jeśli to była ona, uciekła między bloki. O! Tu stoi jej obiad i czeka na nią. Tyle o niej wiemy, ile jej matka albo jeszcze mniej.

— Przepraszam — wtrącił się znów Fredzio. Błady był i minę miał poważną i zmartwioną. — Pani pozwoli, że przedstawię. Jestem profesor Zarzycki. Prowadzę tu w obozie szkołę. Pani mówi, że pani córka wychodziła ze szkoły. Jestem doprawdy bardzo zdumiony. Zdawało mi się, że znam moją młodzież, że znam jej wszystkie bolączki, problemy, kłopoty. Zdawało mi się, że mi się udało przez te parę miesięcy zdobyć zaufanie moich uczniów. Ta historia, którą pani opowiada i która tak dziwnie i tajemniczo wygląda, nie pasuje mi zupełnie do żadnej z dziewczynek uczących się w gimnazjum. Niech nam pani opowie coś więcej o swojej córce. My nie tylko staraliśmy się tutaj uczyć młodzież, ale i wychowywać...

Spojrzałyśmy z Ireną ukradkiem na siebie. Przychwyciłam też zaniepokojone spojrzenie Żuli i Sabiny.

Niestety, ta tajemnicza i dziwna sprawa pasowała, jak ulał, do naszej Asi vel Aurory Fitzgerald.

— Proszę tyle nie deklamować, tylko sprowadzić tutaj moje dziecko — przerwała niegrzecznie profesorowi pani Kowalkowska. — Nie mam nic do opowiadania o mojej córce, poza tym że była zawsze dzieckiem krnąbrnym, trudnym do prowadzenia, kłamiącym, a nawet kradącym. Nie tak jak druga moja córka, z pierwszego małżeństwa, z którą nigdy nie miałam żadnych kłopotów.

To znów nie pasowało zupełnie do naszej kochanej, drogiej i godnej zaufania Asi, odetchnęliśmy więc trochę z ulgą, tym bardziej że pani Kowalkowska z każdą następną chwilą coraz mniej nam się podobała.

— No, gdzie jest to dziecko? — wtrącił się znów Kwadratowy Łeb.

Wzruszyliśmy ramionami.

— Ja się stąd nie ruszę — oświadczyła kobieta. — Ona tu przecież będzie musiała wrócić. Biedny Ołówczek, pozbawiony stałego o tej porze spaceru z Asią, zaczął znów skomlić i drapać we drzwi.

— Chodź — powiedziała Irena. — Wyprowadzimy psa. Byłyśmy ciągle w płaszczach, wyciągnęłam więc rękę po spleciony sznurek, prowizoryczną smycz Ołówczka, i skierowałam się ku drzwiom, pragnąc jak najprędzej znaleźć się tylko z Ireną, ażeby omówić tę niesłychaną, niespodziewaną historię, która waliła nam się na głowy.

— Dokąd? — zagroził nam drogę do drzwi komendant.

— Wyprowadzić psa — odpowiedziała Irena.

— Znamy takie wykryty! — krzyknął Kwadratowy Łeb. — Chcecie ostrzec tę krnąbrną dziewczynę, tę złą córkę. Nigdzie nie wyjdziecie. Pani Kowalkowska najpierw odszuka swoje dziecko. Ponieważ utrudniacie mi załatwienie tej sprawy, będę z wami inaczej rozmawiał. Na korytarzu są żołnierze MP i nikt nie wyjdzie z tego pokoju, póki dziecko się nie znajdzie. — Tu zwrócił się do pani Kowalkowskiej. — Pani tu zostanie, prawda? Będzie pani miała do pomocy wartę przed drzwiami. Jak córka się znajdzie, proszę mnie zawiadomić.

— Naturalnie, panie komendancie — rozanieliła się do niego uśmiechem i wygodniej rozsiadła na taborecie.

— Proszę pani, niech się pani wstawi do komendanta — powiedziała nagle Sabina. — Pies musi być wyprowadzony.

— Nic mnie wasz pies nie obchodzi. Jestem bardzo zmęczona tymi wędrówkami po obozach. Chcę jak najprędzej wracać do domu i żyć już nareszcie w spokoju. Im ciężiej wam tu będzie w zamknięciu, tym prędzej wydacie mi Paulinę.

Komendant postawił wartę za naszymi drzwiami z rozkazem niewpuszczania i niewypuszczania nikogo poza panią Kowalkowską i poszedł.

— A gdzie pani mieszka? — zapytał pojednawczym tonem Julek.

— We Frankfurt — odpowiedziała jakoś dziwnie z niemiecka.

— To nie w żadnym obozie jako auslander? — zapytał ciekawie Julek, przyzwyczajony do tego, że prywatnie w miastach mieszkali tylko Niemcy.

— Co mnie pan tu będzie indagował... — odezwała się złym głosem i zapadła w ponure zamyślenie.

— No to jak już wszystko tak życzliwie sobie wyjaśniliśmy — powiedziała Sabina kąśliwym tonem, w którego używaniu celowała — to możemy teraz zabrać się do naszych rozgrywek karcianych. — Mrugnęła do nas porozumiewawczo. — Kto gra dziś w brydża, a kto w remi? — Ja... ja... my... — posypały się propozycje. Odsunęliśmy więc stół sprzed pani Gertrudy i zaczęliśmy niby beztrąsko rozgrywać z wielkim zapalem porzucone trzy miesiące temu nie kończące się ongiś partie, ignorując nieprzyjemnego gościa.

W trakcie bardzo gorącej rozgrywki Krystyna dojrzała kątem oka, że biedny, nie wyprowadzony wskutek nieprzewidzianych okoliczności Ołówczek przybrał dość podejrzaną pozycję akurat na kwadracie podłogi, który był jej kwadratem do szorowania. Z wielkim wrzaskiem poderwała się od stołu i spędziła Ołówczka na moją ćwiartkę. Nie mogłam na to patrzeć spokojnie i też zerwałam się w obronie mojej podłogi. Przestraszony Ołówczek skoczył na kwadrat Zuli i w chwilę później zaczął latać po pokoju, jak szalony, przeganiany przez nas cztery zainteresowane czystością podłogi, przy dzikich wybuchach śmiechu nie zainteresowanych w sprawie szorowania. W końcu biedne zwierzątko zrobiło tę nieszczęsną kupkę w biegu i w popłochu, brudząc podłogę aż na trzech kwadratach. A pani Kowalkowska patrzyła na nas z wyraźnym obrzydzeniem i jak na gromadę wariatów.

Graliśmy w karty do godziny jedenastej. Asia się nie pokazała.

Więc to na pewno musi być jej matka — rozmyślaliśmy wszyscy, nie odzywając się na ten temat ani jednym słówkiem i udając zajętych kartami.

Nie wypuszczono nas na kolację, zjedliśmy więc obiad Asi i podzieliliśmy się starym zasuszonym chlebem, który popiliśmy gorącą wodą.

Pani Kowalkowska siedziała jak obrażony posąg.

Sabina poczęstowała ją naszym jedzeniem, ale odsunęła kubek z tak pogardliwą miną, że rozzłościła nas na siebie jeszcze bardziej.

Gdy skończyliśmy jeść tę obrzydliwą kolację, Julek położył głowę na stole, nakrył ją rękami i powiedział:

— No, dziewczęta, rozbierajcie się. Czas spać.

Byliśmy już tak zgrani z sobą, że rozumieliśmy się jak łyse konie bez niepotrzebnego gadania. Więc Fredzio, Franek i Bolek przybrali te same pozycje co i on, a my rozebrałyśmy się przy swoich łóżkach i położyły, nakrywając kocami.

— Już! — zawołała Sabina.

— Dziewczęta! — wykrzyknął Julek podnosząc się od stołu. — Zamykajcie oczy!

I w tym momencie z miną zdecydowaną na wszystko zaczął rozpinać spodnie.

Pani Kowalkowska podniosła się ze stołka, popatrzyła na nas z nienawiścią i wyszła bez słowa, zamykając nareszcie drzwi za sobą.

Niewiele spaliśmy tej nocy, szukając klucza od tajemniczej sprawy toczącej się między Asią a jej matką.

Co było powodem tej dziwnej nienawiści dziewczynki do własnej matki?...

Czy jest jakaś możliwość przyjścia Asi z pomocą?...

Sabina, Irena i ja stałyśmy na stanowisku, że bez względu na to, co jest między nimi, naszym obowiązkiem jest solidaryzować się z dziewczynką i pomagać jej, a nie matce.

Fredzio, jako doświadczony pedagog, twierdził, że jak długo nie znamy prawdy, nie wolno nam się wtrącać w sprawy między matką a dzieckiem. Zresztą pani Kowalkowska pogardliwie trzymała je przed nami w tajemnicy, a nie mogliśmy nikomu przyjść z pomocą, sami pomocy potrzebując.

Już wieczorem cały obóz dowiedział się o naszym pokojowym areszcie i gdy rano też nie pozwolono nam wyjść, wielki manifestujący tłum rozpoczął wrzeszczeć przed komendą. Tłum ten składał się z naszych uczniów, ich rodziców, pozostałych profesorów. Do tego dołączyła się szkoła powszechna ze swym ciałem pedagogicznym i swoimi rodzicami oraz wszyscy ci, którzy tylko mieli ochotę wyrażać Amerykanom swe niezadowolenie. A że było takich akurat dziewięć tysięcy, straszliwy harmider powstał przed komendą. Szybko więc Kwadratowy Łeb zdjął wartę sprzed naszych drzwi i pozwolił nam chodzić po obozie. Strasznie poważnie odbywały się tego dnia lekcje w szkole, a że za nami wszystkimi i za dziećmi z gimnazjum bez przerwy włączyli się żołnierze z Military Police, dnia tego musieliśmy odwołać nasze zakonspirowane dożywianie.

Co się zaś stało z Asią, w dalszym ciągu nikt nie wiedział.

Matka Pauliny nie przyszła już więcej do naszego pokoju, ale widzieliśmy ją przechadzającą się z Kwadratowym Łbem po obozie.

Po południu we wszystkich blokach, w których mieszkała młodzież szkolna, odbyły się rewizje.

Asia jednak wpadła jak przysłowiowy kamień w wodę.

Tego wieczora redakcja znów podjęła swą pracę, a my nie mogliśmy zasnąć, martwiąc się bardzo.

6. AURORA VEL ASIA VEL PAULINA

Następnego dnia po obiedzie, gdy wczesny zmrok otoczył obóz, przyszedł do naszego pokoju kolega z klasy Asi i poprosił mnie z Ireną, żebyśmy z nim poszły. Po jego minie można było się spodziewać, że nareszcie część tajemnicy odsłoni się przed nami.

— A uważajcie! — zawołał tylko Franek. — Za każdym z nas włączy się Amerykaniec!
— Niech się pan nie obawia — uśmiechnął się chłopiec. — To będzie nasza warszawska koronkowa robota.

Poszłam ochoczo na tę warszawską koronkową robotę z chudziutkim chłopcem, który poprowadził nas bez słowa do jednego z bloków. Jak Franek przewidział, w pewnej odległości za nami szedł znudzony i kolebiący się w biodrach „empik”. Doprowadził nas do miejsca przeznaczenia i stróżował przy drzwiach wyjściowych czekając na nasz powrót. Chłopiec zaprowadził nas do jednego z pokoi na parterze, gdzie zebrane tam towarzystwo nudziło się gromadnie, jak wszystkie towarzystwa we wszystkich pokojach w obozie.

— Pani — zwrócił się do mnie nasz przewodnik — zostanie tutaj i będzie grać w karty. A pani pójdzie ze mną.

Bardzo mnie zmartwił taki obrót sprawy, ale że wszystko wyglądało dość poważnie, nie upierałam się dla zadowolenia własnej ciekawości.

Chłopiec otworzył okno i po wymianie szeregu umówionych świstów wyprowadził Irenę oknem z bloku.

Udawaliśmy, że gramy w karty, żeby wszystko wyglądało naturalnie w razie nagłej rewizji, ale właściwie wraz z tymi życzliwymi i częściowo wtajemniczonymi ludźmi głowiliśmy się nad zaistniałą obecnie sytuacją.

Po pół godzinie, która minęła bez żadnych wypadków, wróciła oknem bardzo wzburzona Irena i pożegnawszy się z gospodarzami pokoju popędziłyśmy do naszego rodzinnego-Cyrku, odprowadzone znów przez bardzo durnego „empika”, w którego tępym łebku nawet nie zajaśniało podejrzenie, że wracamy z koronkowej warszawskiej roboty.

W Cyrku splawiliśmy obcą połowę redakcji, która zabrawszy radio, poszła pracować do innego pokoju i nareszcie Irena opowiedziała historię Asi-Pauliny Kowalkowskiej.

Ojciec jej, Janusz Kowalkowski, znany chirurg warszawski, ożenił się z łódzką Niemką, urodzoną i wychowaną w Polsce, ale obracającą się w sferze niemieckiej finansjery. Pani Gertruda Schwarzbach wychodząc za doktora była młodą wdową i miała córeczkę z pierwszego małżeństwa, Trudę. Przeniósłszy się do Warszawy i wszedłszy w grono przyjaciół i znajomych męża utrzymywała jednak dalej stosunki towarzyskie z dawnym swym gronem, a zarówno język polski, jak i niemiecki przeplatały się w mieszkaniu doktorostwa i były na równych prawach.

Do gorących dni przed wybuchem wojny wszystko dla naszej Asi-Pauliny było proste, jasne i łatwe. Co prawda matka bardziej kochała Trudę, ale za to ojciec kochał tylko ją. Te dziecinne wrażenia nie były takie ważne, bo jak twierdziła sama Asia, różnica w odnoszeniu się matki do nich obu ledwie się dawała wyczuć.

Dopiero przed samym wybuchem wojny Asia zauważyła, że coś bardzo silnego i bardzo ważnego rozdzieliło rodziców. Kłócili się parę razy ostro i wrogość jakaś i jakby oczekiwanie zawisło nad domem.

Z dniem wybuchu wojny doktor Kowalkowski raz jeszcze pojawił się w domu, bo dnię całe i noce pracował szpitalu. Paulina ostatni raz widziała wtedy ojca. Przedostał się przez zwały zburzonych kamienic i przy detonacjach rozrywających się bomb i pocisków rozmawiał z nią w najdalszym kącie piwnicy. Warszawa przeżywała już ostatnie dni oblężenia.

Dziewięcioletnia dziewczynka pomimo przerażenia tym, co się działo dokoła, zrozumiała i zapamiętała na całe życie ostatnią rozmowę z ojcem. Właściwie to nie była rozmowa.

Właściwie to był tylko monolog doktora, który oskarżał się przed dzieckiem o nie przemyślane małżeństwo z Niemką. Doktor miał przecucie własnej śmierci i przewidywał ciężki los, jaki w przyszłości czekać będzie jego dziecko. Parokrotnie kazał jej powtarzać, że jest Polką, że jest jego córką i że nie wolno jej o tym zapomnieć. Małą dziewięcioletnią dziewczynkę wtajemniczył w wyjątkowo ciężką i trudną sytuację, w jakiej się znajdzie, gdy jego zabraknie i gdy Niemcy wkroczą do Warszawy. Wy tłumaczył też dziecku, jaką przepaść

będzie przed nią otwierała i w jaką będzie ją wciągała własna matka. Ale równocześnie nakazał kochać ją i szanować, gdyż to, co będzie robiła dla niej i dla Trudy, będzie rzeczą z jej punktu widzenia naturalną i zrozumiałą. Żegnając wśród łez Paulinę powtarzał ciągle: „Pamiętaj, córeczko, że jesteś córką Polaka, że jesteś Polką i że swojej polskości nie możesz ani utracić, ani sprzedać, ani zapomnieć”.

Nałożywszy ciężkie brzemię na wątłe barki małej dziewczynki, poszedł spełniać dalej swój obowiązek i zginął pod gruzami zaimprovizowanego szpitala w jednej z piwnic.

Po wejściu Niemców do Warszawy pani Gertruda pochowała uroczyście męża na Powązkach, przeniosła się ze zrujnowanego pociskiem mieszkania do innego, jeszcze ładniejszego, i jako rodowita Niemka zaczęła się obracać w czysto niemieckim towarzystwie. Podczas gdy Warszawa cierpiała, głodowała, ginęła, w mieszkaniu pani Kowalkowskiej było jasno, dostatnio, wesoło. Rychło starsza o prawie sześć lat od Pauliny Truda zaczęła się bawić i zapępiała mieszkanie gromadami młodych lejtnantów.

A Paulina?

Paulina kłamała. Paulina wynosiła z domu żywność. Uciekała do polskich koleżanek, ażeby nie zapomnieć języka polskiego i nie znając motywów jej postępowania, można by rzeczywiście uważać, że była dzieckiem trudnym do prowadzenia.

Gdy ofensywa radziecka ruszyła od Sarn w kierunku Wisły, narzeczony Trudy ofiarował swej przyszej teściowej mieszkanie w jednym ze swych domów we Frankfurcie nad Menem. Pani Kowalkowska przewiozła tam dwoma nawrotami najcenniejsze rzeczy, następnie wraz z córkami zamieszkała na razie w Breslau, gdzie przebywał służbowo przyszły mąż Trudy. Ofensywa wojsk radzieckich na Wrocław zmusiła ich do ucieczki dalej na zachód.

Korzystając z zamieszania podczas transportu ewakuacyjnego Asia, czyli Paulina, uciekła i ukryła się, żeby wrócić do Polski i być Polką, tak jak przyrzekła to ojcu przed śmiercią. Irena skończyła. Siedzieliśmy zgnębieni tą opowieścią, równocześnie pełni podziwu dla małej samotnej dziewczynki, która przez sześć lat prowadziła z uporem tak bardzo nierówną walkę.

— Jak zamierzasz ustosunkować się do tej sprawy, Ireno? — zapytał wreszcie Fredzio.

Płomienne oczy Ireny zapaliły się.

— Przyrzekłam Asi, że nie spocznę, póki bezpieczna od wszelkich zakusów matki nie znajdzie się w kraju.

— Czy nie można by tej sprawy załatwić polubownie? Za zgodą jej matki? Asia jest przecież niepełnoletnia. Prawnie odpowiada za nią jej matka — o tym nie wolno nam zapominać.

Wszelkie poczynania w innym kierunku graniczą z przestępstwem. Pani Kowalkowska uszanuje przecież w Asi jej polskie pochodzenie i jej uczucia. A gdy Asia stanie się pełnoletnia, będzie dopiero miała prawo sama wybierać i decydować o sobie — ostrożnie rozpatrywał sprawę Fredzio.

— Nonsens — przerwała ostro Irena. — Jeśli matka capnie Asię, wywiezie ją do Frankfurtu, będzie posyłała do niemieckiej szkoły. Dokumenty, legitymacje, papiery będą automatycznie wyrobione na Niemkę Kowalkowska. Za sześć lat jakżeż dziewczyna da sobie radę z zawilgocionymi sprawami zmiany narodowości, zmiany kraju, gdy nie będzie znała nikogo i nikt jej nie pomoże. Nie jesteś przecież tak nieludzki, ażeby ją na to skazywać.

— Na litość boską, Ireno! Nie jestem nieludzki, ale nie chcę, żebyś się wpakowała w awanturę, której konsekwencje mogą być dla ciebie smutne. Zrozum, że my nie mamy żadnego prawa... nam nie wolno... wykradać matce jej dziecka.

— Nie będę wykradać matce dziecka. Ja tylko muszę pomóc polskiej sierocie, którą chcą zniemczyć.

— Ależ nie zapominaj, że Asia jest pół-Niemką.

— Nie jest pół-Niemką! — zakrzyknęła Sabina. — Jest bardziej Polką niż my tutaj wszyscy. My jesteśmy Polakami, bo nimi być musimy, bo nie możemy być kimś innym, bo nawet nie

stanęliśmy wobec problemu, kim mamy być. Asia jest Polką z nazwiska, z urodzenia i z wyboru. Bylibyśmy skończonymi lajdakami, gdybyśmy jej nie pomogli!

Irena spojrzała na Sabinę z wdzięcznością za to poparcie.

— Nie egzaltujcie się — spokojnie powiedział Julek. — Rzeczywiście stoimy w obliczu dwóch prawd: Asia jako córka Niemki Gertrudy i Asia jako córka Polaka Kowalkowskiego. Jedną z tych prawd musimy wybrać, a na drugą zamknąć oczy, zatkać uszy i znieczulić sumienie. Ot co!

— Pomagamy Asi — odezwała się z zaciętością Sabina.

— Czekajcie — zaoponował Fredzio. — Jak dotąd, znamy sprawę tylko od strony Asi. Dzieci są czasem zdolne do bardzo zręcznych mistyfikacji. Potrafią opowiadać wzruszające historie, nawet zupełnie prawdopodobne. Przy konfrontacji okazuje się, że to wszystko jest wysrane z palca. Przecież ty, Ireno, jako pracownik społeczny doceniasz chyba wartości wywiadów społecznych. Bez zebrania informacji z drugiej strony...

— Miałbyś rację, gdybym poznała Asię dzisiaj. A ja przecież znam ją i obserwuję od stycznia. Prawie już dziesięć miesięcy opiekuję się nią i wiem, że mogę wierzyć każdemu jej słowu. Poza tym muszę ci wyjaśnić, że długie lata pracy w opiece społecznej wyrabiają i wyostrzają jakiś szósty zmysł. Ten szósty zmysł ostrzega zawsze, gdy opowiadana wzruszająca historia jest wysrana z palca. Dla długoletniego pracownika służby społecznej wywiad o petencie jest tylko potwierdzeniem wyobrażenia, które zwykle krystalizuje się przy pierwszej rozmowie.

— Pozwolisz jednak, że ja się nie oprę na twoim szóstym zmyśle — powiedział sarkastycznie Fredzio — i sam sprawdzę, jak jest naprawdę.

— Nie zamierzasz chyba rozmawiać z Kowalkowską — poderwała się ze strachem Irena.

— Owszem, zamierzam. Chcę mieć obraz sprawy przedstawionej przez obie strony.

— Zepsujesz mi wszystko. Asia do mnie należy i nie wolno ci się wtrącać.

— Asia poza tym, że jest twoją wychowanką, jest też moją uczennicą i jej los leży mi tak samo na sercu i tak samo jak ty gotów jestem wziąć na siebie odpowiedzialność.

— Kowalkowską wyciągnie z ciebie informację, że kontaktowaliśmy się z Asią...

— Nie bój się. Nic ode mnie nie wyciągnie. To ja od niej wyciągnę, jak naprawdę sprawa się przedstawia i albo ogłoszę swoje desinteressement, albo będę ci pomagał.

— Ale musicie się szybko zabierać do roboty, bo Amerykanie szaleją, gdzie się ta smarkuła schowała — powiedział Bolek.

— A gdzie właściwie ona siedzi? — zadała nareszcie Zula pytanie, które od samego początku cisnęło nam się na język.

— Sama nie wiem — roześmiała się Irena. — W każdym razie twój, Fredziu, uczniowie, których wychowujesz i o których wszystko wiesz — nie mogła teraz ona odmówić sobie sarkastycznego tonu — mają fantastyczną zabawę. Podawali mnie sobie w ciemnościach z ręki do ręki. I tak mnie prowadzili, że zupełnie zgłupiałam i nie potrafiłabym określić, w której wreszcie stronie obozu się znalazłam. Asia siedzi w podziemnym pokoiku, do którego idzie się przez lochy, przez jakieś składy koksu i jakieś piwnice. Wraz z Asią rezydują tam butle z bimbrem i jakieś tajemnicze skrzynie. Gdyby tu mieszkał Eugeniusz Sue, doczekalibyśmy się wstrząsającej powieści pod tytułem: „Tajemnice obozu”.

— A jak się z nią porozumiesz? — zapytał nadrabiając miną Fredzio.

— Znowu przez twoich wychowanków — uśmiechnęła się do niego słodko Irena.

Fredzio wrócił z komendy zły jak nieszczęście.

— Cholerrrrna, wstrrrrrętna Niemrrrrra — mamrotał, znajdując ulgę w przeciąganiu litery „r” w nieskończoność.

Rozmowa z panią Kowalkowską potwierdziła wyznania Asi. Wykazała też usposobienie jej matki mało subtelne, oschłe, a nawet graniczące z okrucieństwem.

— Powiedziała mi, że do problemu Asinej polskości podchodzi jako do hysterii graniczącej z maniakalnymi stanami choroby umysłowej. Oświadczyła, że po odzyskaniu córki zamknie ją na rok w szpitalu dla psychicznie chorych. Boże wielki!

Nie zdążyliśmy się nawet oburzyć, gdy wpadł nasz blokowy-geograf z rozporządzeniem, że dla wygodniejszego dokonania rewizji w bloku wszyscy mają wyjść na plac.

Kordony wojsk amerykańskich oddzielały bloki od siebie i rewizja naraz we wszystkich budynkach zatrudniła nareszcie drzemiące w nudzie jednostki wojskowe.

Obóz też nareszcie miał swoją sensację.

— Kwadratowy Łeb powiedział, że nie zostawi kamienia na kamieniu, a Asię odszuka — informowali nas jedni.

— Kwadratowy Łeb ogłosił nagrodę za wydanie miejsca jej ukrycia — oznajmili inni.

7. ZA DANUSIĘ JURANDÓWNE!

— Ale jak by nie było, to wszystko nie jest jednakże w porządku. Matka jest matką — wrócił do swych refleksji Fredzio, gdy znaleźliśmy się wreszcie w naszym pokoju.

— Matka powinna być matką — sprostowała Sabina.

— Ale zrozum — powiedziała Irena. — Gdyby wtedy, gdy ukrywałyśmy się w piwnicy niedaleko Odry, ruszył front radziecki lub gdyby Amerykanie nie wywieźli nas z Neustadt, byłibyśmy już dawno w Polsce. Asia mieszkałaby wraz z nami. Nie znalibyśmy żadnej pani Kowalkowskiej, nie potrzebowałbyś odgrywać roli Hamleta i...

— Irena ma zupełną rację — przerwał Julek. — Będziesz musiał, Fredziu, w stosunku do pani Gertrudy ugotować swoje sumienie na twardo. Oddanie dziecka Niemcom byłoby wstrętnym świństwem z naszej strony. A dziewczynie stałaby się wielka krzywda. Dość już tych krzywd! Krzywdzono nas przez całe wieki! A my ciągle byliśmy prawi i nieszczęśliwi. Raz, do starego diabła... Raz, do starego diabła — powtórzył prawie krzyżąc — pokrzywdźmy my. Od dzieciństwa roniliśmy krokodyle łzy, że podli Niemcy porwali Danusię Jurandównę. Teraz mamy nareszcie okazję odplacić im tą samą monetą. Wstrętnej Niemce ukradniemy Asię za Danuškę Jurandównę...

— Za Danuškę Jurandównę!!! — wrzasnęliśmy wszyscy, bardzo przejęci przemową Julka. Fredzio też wrzasnął wraz z nami, co pobudziło najpierw Sabinę, a później resztę naszej miłej paczki do histerycznego śmiechu.

Gdy więc wszelkie opory w Cyrku zostały przełamane, przystąpiliśmy do radzenia, co i jak należy nam teraz uczynić. Po skrupulatnym rozważeniu wszelkich pomysłów i propozycji okazało się, że Asia, a więc z nią i Irena, muszą po angielsku zniknąć z obozu.

Wynalezieniem kogoś, kto przeprowadzi je za druty obozowe, mieli się zająć chłopcy z gimnazjum, którzy ręczyli za paru ludzi wychodzących i wracających bez zwracania na siebie uwagi Amerykanów.

Sabina wykombinowała męskie ubranie dla Asi. Przez chłopców wydała zarządzenie, żeby ucięto Asi warkocze i ostrzyżono ją na chłopaka. Następnie sprzedała za marki okupacyjne swoje młotki, obcęgi i wagę z odważnikami, ażeby dostarczyć Irenie choć trochę pieniędzy na drogę. I tak się rozpędziła w gromadzeniu dla Ireny pieniędzy, że ku naszej radości, zażądała natychmiastowego uregulowania karcianych długów honorowych, jak dotąd symbolicznych, bo przecież siedzieliśmy w obozie bez grosza.

Fredzio ofiarował Irenie swój sygnet, Franek zegarek, a Bolek płaszcz nieprzemakalny. My chcieliśmy oddać nasze ubrania otrzymane z Unry, jedyne rzeczy, jakie posiadałyśmy, ale Irena ich nie przyjęła — nie chciała obarczać się gratami.

Marszrutę dla uciekinierek wyznaczyliśmy najpierw w kierunku granicy radzieckiej. Ale potem przestraszyliśmy się konsekwencji w razie wpadnięcia w pasie przygranicznym w ręce posterunków amerykańskich, które tam przecież pewno czuwały. Wobec tego Irena

postanowiła dotrzeć do kolei i uciekać w stronę Alp. Miała nadzieję, że po drodze uda jej się natrafić na jakiś obóz mniej zabity od świata deskami, z którego można by się było wydostać do kraju.

Na te jej projekty w pierwszej chwili podskoczyłyśmy nerwowo. To jest podskoczyła Sabina, ja, a nawet Zula i postanowiłyśmy wyrwać z obozu wraz z nią, ale Fredzio popukał się znacząco palcem w czoło. Tym dosadnym ruchem uświadomił nam, jak bardzo naraziłybyśmy Asię. Zniknięcie większej liczby osób z naszego pokoju, w który i tak bez przerwy utkwione były oczy komendy, naprowadziłoby panią Kowalkowską łatwo na trop i ułatwiło ujęcie dziewczynki.

Podczas jednej z licznych dyskusji Julek wpadł na pomysł wyszukania na terenie obozu osoby podobnej do Ireny, która by po jej wyjeździe zgodziła się zamieszkać w naszym pokoju i imitować Irenę. Gdyby ten podstęp się udał, istniała nadzieja, że Kowalkowska i Kwadratowy Łeb szturmować będą dalej obóz, podczas gdy Irena będzie miała czas urządzić się jakoś gdzie indziej.

Wszystko więc zostało omówione i urządzone, zorganizowane i zdecydowane.

Ale nagle w ostatniej chwili przeprowadzaczce dali znać, że nie mogą podjąć się przerzucenia Ireny i Asi poza teren obozu wobec straszliwie zaostrzonych zarządzeń.

I znów stanęliśmy w punkcie, z którego wyszliśmy.

Następnego deszczowego poranka wlokłam się ociekającymi wodą uliczkami obozowymi zamyślona i smutna, gdy nagle tuż kołomnie zahamował jeep i nasz francuski unrak wychylił się zza kierownicy.

— Dlaczego nie przychodzicie na konwersacje? — zapytał.

— Wie pan, mamy takie zmartwienie... Nie sposób nam teraz myśleć o nauce — odpowiedziałam.

Rozmowa urwała się.

— Ja bardzo dużo wiem — powiedział nagle. — Czy dziewczynką, która zniknęła, opiekowała się ta pani, która prowadzi żłobek i przedszkole dla dzieci? Ta, co ma takie prześliczne oczy? — zapytał.

— Tak — odpowiedziałam.

— Niech jej pani powie, że dziś o godzinie ósmej wieczorem zostawię samochód za kuchnią obozową. Zabiorę go stamtąd o ósmej piętnaście i pojedę prosto na dworzec kolejowy w Bambergu. Niech jej też pani powtórzy, że i ja nienawidzę Niemców, a nie znoszę Amerykanów. Aha... W samochodzie będą leżały koce, którymi można się nakryć — zakończył zupełnie dla mnie w pierwszej chwili ni w pięć, ni w jedenaście. Następnie dodał gazu i zniknął mi sprzed oczu w bramie, która się przed nim otworzyła i natychmiast zamknęła.

Stałam i stałam w tym samym miejscu, a deszcz kapał i kapał... Wreszcie zawróciłam i pognałam do naszego pokoju.

— Deus ex machina! — wrzasnęłam wpadając.

Z początku nie chciano mi uwierzyć, potem omawiano możliwości podstępu, wreszcie Irena przy pomocy swego szóstego zmysłu postanowiła zaryzykować.

A o godzinie ósmej minut siedemnaście, niebezpiecznie wywieszeni przez parapet okna, zobaczyliśmy, jak unrak przejechał przez bramę i brama spokojnie zamknęła się za jego samochodem.

Na drugi dzień już prawie o świcie wyruszyłam na uliczki obozowe i bez końca wałęsałam się w pobliżu bramy. Zmarzłam solidnie, zanim zobaczyłam samochód naszego unraka.

Zatrzymał go przy mnie.

— Dzień dobry — powiedział.

— Czy udało się panu pomyślnie załatwić swoje sprawy w Bambergu? — zapytałam trzęsąc się ze zdenerwowania i z zimna.

— O tak! — uśmiechnął się. — Załatwiłem pomyślnie. I wie pani? Spotkałem tam jedną panią, którą znałem z widzenia.

— Niepodobna? — ucieszyłam się teatralnie.

— Tak — uśmiechnął się porozumiewawczo. — Ta pani była tam z młodym chłopcem. Kupiłem im bilety kolejowe do Monachium. Tam można zatrzymać się w hotelu Unry. Na pewno są tam też i jakieś komitety polskie lub placówki. Blisko Monachium jest też Murnau ze swoim obozem, jeszcze nie zlikwidowanym. Słyszałem, że stamtąd odchodzą transporty do Włoch, do II Korpusu Andersa.

— Och! Nawet nie potrafię panu powiedzieć tak ładnie po francusku, jak powinnam, o naszej dla pana wdzięczności — zaczęłam się jąkać.

— Głupstwo. To mnie polecono pozdrowić was i podziękować. Ale mam wrażenie, że to zupełnie niepotrzebne, bo spełniliśmy tylko nasz obowiązek. Dziecko, które patrzyło na zbrodnie niemieckie, dokonywane w Warszawie, nie może wychowywać się i mieszkać między Niemcami. My Francuzi przeżywaliliśmy podobne rzeczy i dlatego możemy to zrozumieć. A Amerykanie niestety nie rozumieją.

— Uhum — westchnęłam.

— Obawiam się tylko, ażeby Kwadratowy Łeb nie wpadł na trop. Zaczęłam się turlać z radości, że unracy tak samo nazywają komendanta obozu jak my, tylko po francusku. „La Tete Quadrangulaire”.

— Niech się pan nie obawia — wtajemniczyłam go w nasze posunięcia. — Od wczorajszego wieczora mieszka w naszym pokoju pewna pani, bardzo podobna do tej, która tam mieszkała. Chodzi w jej sukience, w jej palcie i pracuje na jej miejscu w żłobku i przedszkolu. A cały obóz da się pokrajać, że to jest pani Irena Nowakowska.

— Brawo! — ucieszył się unrak. — Macie głowę na karku.

— Tak — zgodziłam się z nim. — To była nasza polsko-francuska koronkowa robota.

— Ale, ale... — zgasił motor, który już zapuszczał. — Mam jeszcze jedno ważne zlecenie i nie bardzo wiem, jak je wykonać. Liczę na pani pomoc.

— Niech pan mną rozporządza — zgłosiłam się ochoczo, gotowa dla niego wskoczyć w ogień i wodę.

— Kto to jest „Mały Ołówek”?

Przez chwilę stałam oglupiała i wyteżałam resztki przytłumionej w życiu obozowym inteligencji.

Co to może być „Le Petit Crayon”? „Le Petit Crayon” to dosłownie po polsku „mały ołówek”. Ach, prawda...

— Le Petit Crayon! Ołówek! To piesek, który mieszka w naszym pokoju. Unrak aż się położył na kierownicy.

— Już to zlecenie — mówił zaśmiewając się — musi pani za mnie wykonać. Proszę go ucałować i powiedzieć, że pewna młoda osoba zawsze go będzie kochała i nigdy o nim nie zapomni. A tak się martwiłem, jak mam dyskretnie to załatwić. Myślałem, że to bardzo romantyczna sprawa i że zostałem wykorzystany jako posłaniec miłości.

Pokładając się ze śmiechu, machnął mi ręką i odjechał.

Jeszcze przez dwa tygodnie Amerykanie polowali w obozie na Asię. Wyzaczyli rzeczywiście wielką nagrodę za wskazanie miejsca jej pobytu. Wreszcie sprawa przycichła, a z wyjazdem pani Kowalkowskiej zupełnie sama się zlikwidowała.

Panna Halina grająca rolę Ireny wróciła do swego bloku po spełnieniu patriotycznego zadania bojowego; wcale tego nie żalowaliśmy, bo nie pasowała do naszego Cyrku i patrzyła na nas jak na gromadę pomylnych.

8. ADIEU, PIĘKNE DNI ARANJUEZU!

Po tych przygodach znów bardzo duszno zrobiło się nam w obozie. Wiadomość, że istnieją jakieś Monachiumy, a w nich hotele Unry, że istnieją komitety polskie i placówki sprawiła, że zaczęliśmy rozmyślać nad sposobami ucieczki z obozu i wędrowania trasą Ireny. Fredzio jednak zakochany w swojej szkole nie chciał słyszeć o ruszeniu się i zostawieniu w niedoli młodzieży. Twierdził, że naszym obowiązkiem jest w dalszym ciągu otaczać ją opieką. Wróciliśmy więc do pracy, do śniadań „na lewo” i dni potoczyły się szare, właściwie nieznośne, pełne niby drobnych zdarzeń, które niestety nic nie zmieniały w naszej beznadziejnej sytuacji. Aż wreszcie...

Aż wreszcie z Polski Ludowej zjechała do naszego obozu komisja do spraw repatriacji. Co to za zwierzę ta Polska Ludowa, nie orientowano się jeszcze dokładnie wskutek sprzecznych informacji podawanych przez różne stacje radiowe, mroczących już i tak skołowaciale głowy.

Toteż na wiadomość, że w miejscowej szopie, mogącej zmieścić około półtora tysiąca osób, odbędzie się kilka kolejnych zebrań, ażeby wszyscy mogli usłyszeć, o co chodzi, parotysięczny tłum wtoczył się tam na godzinę wcześniej, tratując się i walcząc o wejście. Cały nasz Cyrk, poza naturalnie Olóweczkiem, ściśnięty i z lekka zmasakrowany, tkwił pośrodku tej beczki śledzi.

Gdy zebranie się skończyło i usłyszeliśmy dokładnie wszystko, co chcieliśmy słyszeć, poproszono nas o opuszczenie sali, ażeby zrobić miejsce następnym tłumom, które wrzeszczały i hałasowały przed szopą. Ale nie byliśmy tacy durni. Każdy z nas postanowił wysłuchać tych pocieszających, budzących nadzieję i zaufanie wiadomości po raz drugi, wraz z następną grupą. Ale że do takiego przekonania doszli jednostkowo wszyscy, którzy z narażeniem całości żeber dostali się do wnętrza, nikt nie chciał wyjść. Co prawda poniektórzy zaczęli wznosić okrzyki „anty”, usiłowali wznieść tumult, ale reszta zgromadzonych spokojnie chciała wysłuchać wszystkiego i dała im w tłoku takiego „sera”, że do żadnych ekscesów nie doszło.

Prelegenci komisji, rozbawieni naszym uporem, powtórzyli z grubsza jeszcze raz to, co zbity tłum chciał usłyszeć, a my nareszcie zlitowawszy się nad oczekującymi swej kolejki gromadami innych obozowiczów i w nie mniejszym stopniu nad własnymi zebrami oraz obolałymi nogami — opuściliśmy szopę.

Ja jednak robiłam, co mogłam, ażeby za wszelką cenę zostać w szopie i uczestniczyć w zebraniu z drugą grupą.

Nie czyniłam tego tylko ze względów patriotycznych. Spośród mężczyzn pięcioosobowej komisji jeden, w cywilu, wydał mi się znajomy. Usiłowałam sobie przypomnieć, kto to jest i skąd go znam. Gdy przemawiał, traciłam to wrażenie, bo jego głos i mimika twarzy nic mi nie mówiły. Ale gdy przemawiali inni, a on stał z boku, przysięgłabym, że znam go świetnie. Usiłowałam więc zostać na następnym zebraniu, podczas którego może udałoby mi się rozwiązać tę dręczącą zagadkę. Nawet jednak gdybym posiadała zjednoczone siły herosów antycznych, nie udałoby mi się pokierować moimi krokami. Nie dotykając bowiem nogą podłogi, zostałam wyniesiona w tłumie na plac jednym wrotami, podczas gdy drugimi walił inny tłum.

W naszym Cyrku huczało od omawiania wiadomości z zebrania, a ja siedziałam z ćwiekiem w głowie, nawet w nocy nie mogąc zasnąć, z natrętną twarzą znajomego-nieznajomego, mającą mi przed oczami.

Pracował w magistracie?

Nie. Nie mogłam go przyłożyć ani do żadnego wydziału, ani do żadnego z pokoi biurowych. Był znajomym kogoś z mojej rodziny?

Przykładałam go w myślach kolejno do wszystkich, ale nic z tego nie wychodziło.

Nie! Niestety nigdzie nie pasował.

Wymiętoszona po prawie bezsennej nocy, podczas której nie udawało mi się skierować myśli ku jakiejś innej sprawie, nawet ku kojącym, jak wieść niesie, baranom — usiłowałam je na próżno liczyć — popędziłam rano przed blok komendantury z postanowieniem rozwiązania zagadki dla dobra mego skotłowanego umysłu.

Doczekałam się nareszcie, że komisja wyszła zwiedzić obóz.

Podążyłam za nią w tłumie gapiów, obserwując mego znajomego-nieznajomego. Krępowalam się podejść do niego. Jakież pytanie mogłabym mu zadać? Chyba tylko takie: „Kto pan jest i skąd ja pana znam?” Mogłam go też poinformować: „Pana twarz nie daje mi spokoju”. Ale to wydało mi się zbyt głupie. Wlokłam się więc za komisją i dalej wpatrywałam w niego, a pamięć natężałam prawie aż do bólu.

Wreszcie jakaś kobieta z dzieckiem na ręku podeszła i zaczęła z nim rozmawiać.

Przepchnęłam się bliżej.

Właśnie w tej chwili znajomy-nieznajomy uśmiechnął się do dziecka.

Uśmiechnął się, a mnie spadł ciężar z serca. Poznałam go.

O Matko! Przecież to pan Nowakowski, który przez parę miesięcy uśmiechał się do nas znad łóżka pomyłonej Zosi w niemieckim obozie pracy. Przecież to mąż Ireny!

Przepchałam się więc do niego i zapytałam:

— Przepraszam. Czy pan jest panem Nowakowskim?

— Tak — odpowiedział i przyjrzał mi się uważnie. — Czy my się znamy? Bo jakoś nie mogę sobie przypomnieć...

— Nie. Pan mnie nie zna. Ja pana znam z fotografii, którą miała przy sobie pana żona Irena. Jakoś głupio sformułowałam to zdanie, bo on okropnie zbladł i krzyknął:

— Nie żyje?

— Żyje! żyje! — uspokoiłam go. — I mniej więcej orientuję się, w jakich stronach przebywa. Odetchnął ciężko.

— Czy może mi pani opowiedzieć wszystko, co się jej tyczy?

— Naturalnie — odpowiedziałam i zaprowadziłam go do naszego Cyrku, gdzie wszyscy razem i każdy z osobna opowiadaliśmy o Irenie, o nas, o Irenie, o Asi, o Irenie, i o naszej sytuacji, o naszym życiu. On rewanzował nam się opowiadaniem o kraju. A po obiedzie, który zjadł z nami, załatwił swoje sprawy w komisji i pognął za Ireną, ażeby dogonić ją jeszcze na terenie „żony” amerykańskiej.

My wszyscy zaś, całym Cyrkiem, oczywiście z Ołówieczkiem i ze szkołą, zapisaliśmy się na pierwszy repatriacyjny transport do kraju.

Wiele jednak osób straszonych wrogą propagandą i jątrzonych przez ludzi typu Marzeckiego nie zdecydowało się na powrót. I oni to utworzyli tragiczną, przez długie lata straszącą w Europie klasę tak zwanych „dipisów”, to znaczy „Displaced Persons” — „ludzi bez miejsca”. W beznadziejnych obozach, w beznadziejnej nudzie, w nieróbstwie demoralizowali się, coraz bardziej staczając się na marginesy urządzonych w życiu, dążących do postępu i pracujących dla niego społeczeństw.

My zaś w obliczu wielkiej niewiadomej, jaką stanowiła przyszłość, ochoczo ładowaliśmy się na samochody repatriacyjne.

Do Polski wrócili wszyscy tak zwani „sybiracy” i większa część „górników”, bo i kłócąca się ongiś o to Zula, i płacząca Karolcia, i Kapet, i Franciszek, i profesor ze szkołą, Julkowie i Bolkowie, a nawet Ołówieczek.

ZAKOŃCZENIE PIERWSZE

Zula wyszła za mąż za swego narzeczonego. Franek douczył się w gimnazjum dla pracujących i tak się rozpędził, że nawet skończył Politechnikę.

Profesor Fredzio jest profesorem i dalej kształci i wychowuje młodzież.

Sabina, wbrew swym lękom, została wspianą siłą biurową i jej wysoko rozwinięty zmysł organizacyjny okazał się niesłychanie pożyteczny w pierwszych powojennych latach, gdy z niczego trzeba było budować, jak skutki pokazały, „wielkie coś”.

Ja zamieszkałam z Sabiną i wróciłam do pracy w biurze. Skrupulatnie przepisuję cyferki z jednego ważnego papierka na drugi ważny papierek, ponieważ praca w działach finansowych właśnie na tym polega.

Ołówek przestał być własnością Cyrku, ten bowiem już nie istniał, i stał się własnością Asi.

Irena, skłócona ongiś z mężem, przebaczyła mu jej tylko znane jakieś „typowo męskie” przestępstwo.

A przez Irenę i pana Nowakowskiego przytrafiło się coś, co wszystkich nas postawiło w stan kolizji z Prawem.

Przestępstwo, którego dopuściliśmy się, miało miejsce w urzędzie stanu cywilnego. Tam to Zula i ja zeznałyśmy bez zmrużenia powiek, że Anna Nowakowska, lat piętnaście, jest nam znana jako córka małżonków Nowakowskich. A Fredzio i Sabina zeznaniami swymi przesunęli w tymże urzędzie stanu cywilnego datę zawarcia ślubu małżonków Nowakowskich o prawie cztery lata, ażeby Asia nie stała się dzieckiem przedślubnym.

Te ostatnie wiadomości przekazuję tylko w wielkim zaufaniu i na ucho. Bo po co na ten temat ma być niepotrzebne gadanie, skoro:

Asia skończyła medycynę, jest już lekarzem, odwiedziła matkę i siostrę we Frankfurcie, a w kraju ma dwóch braciszków Nowakowskich i jest już nareszcie nie tylko osobą pełnoletnią, ale i obywatelką kraju, o przynależność do którego tak rozpaczliwie walczyła w dzieciństwie.

ZAKOŃCZENIE DRUGIE I JUŻ NA PEWNO OSTATNIE

To drugie zakończenie będzie na pewno ostatnie, ale bardzo przepraszam za to, że będzie też trochę umoralniające.

Ongiś, gdy byłam młoda, piękna i głupia, wzdychałam i marzyłam o życiu bez pracy, o „pięknych dniach Aranjuezu”. Mój prywatny diabeł Asmodeusz (do którego zresztą jestem bardzo przywiązana), powiódł mnie drogą męczącą do miejsca, gdzie bez pracy miałam i dach nad głową, i wyżywienie, czyli do obozów amerykańskich.

Tam to przekonałam się, że życie bez celu, że życie bez pracy staje się koszmarem, naprawdę niemożliwym do wytrzymania, o czym zawiadamiam z poważaniem.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Wstęp

I. Ku

1. Asmodeusz zaczyna działać
2. Przywiązuję się do Ireny
3. Aurora Fitzgerald
4. Znajdujemy Sabinę
5. A jednak nie z deszczu pod rynnę
6. Koniec makabry. Niech żyje wolność!

II. Piękne dni Aranjuezu. Porcja pierwsza

1. Święci Jerzowie
2. Jest także mowa o rozmnożonych Jeźdźcach Apokalipsy
3. Sabina a kana, kana a moralność, moralność a fortepian
4. Organizujemy

5. Jeszcze kana i inne organizacyjne kombinacje
6. Narażam się Aurorze Fitzgerald
7. Dobry Wuj Sam
8. Miraż ośmiuset befsztyków
9. Vive la paix!... lecz nie koniec
10. Zrealizowane marzenie... i co z tego?

III. Krótkie intermedium

IV. Piękne dni Aranjuezu. Porcja druga

1. Karczma się pali
 2. Karczma pali się dalej
 3. Nie dajemy się Buchenwaldowi
 4. Cyrk adoptuje Ołóweczka
 5. Grom z deszczowego nieba
 6. Aurora vel Asia vel Paulina
 7. Za Danusią Jurandównę!
 8. Adieu, piękne dni Aranjuezu!
- Zakończenie pierwsze
Zakończenie drugie i już na pewno ostatnie

Redaktor: Alina Walczak Redaktor techniczny: Witold Urbański Korektor: Ewa Hofman

WYDAWNICTWO MORSKIE

GDYNIA 1965

Wydanie drugie. Nakład 10 000 + 250 egz. Ark. wyd. 11,25. Ark. druk. 12. Papier druk. sat. kl. III 60 g. Oddano do składania 6.III.1965 r. Podpisano do druku i druk ukończono w lipcu 1965 r. Gdańskie Zakłady Graficzne, Gdańsk ul. Świętojańska 19/23. Zara. 569. Cena zł 15.— D-3